KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 9/276** **1970**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. WYZIEMBŁO : **ODWROTNA STRONA SŁOWIANOFILSTWA**

ZB. BYRSKI : **WYWIAD Z PROF. I. SVITAKIEM**

J. DREWNOWSKI : **SOCJALIZM W POLSCE**

B. OSADCZUK : **PAKT SOWIECKO-NIEMIECKI**

A. GUTOWSKI : **JEST ŹLE - BĘDZIE GORZEJ**

SPIS RZECZY

Marcin Wyziembło:	*Odwrotna strona słowianofilstwa*	3
Zbigniew Byrski:	*Wywiad z prof. I. Svitakiem*	15
Jan Drewnowski:	*Socjalizm w Polsce*	25

◆

Zygmunt Haupt:	*Balon*	40

OBSERVATORIUM

Gustaw Herling-Grudziński:	*Doświadczenia syberyjskie*	48

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*Chińczycy poza Chinami*	54
Brukselczyk:	*Widziane z Brukseli*	60
Zbigniew Byrski:	*Światowa Konferencja młodzieży*	70
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	77
Marcin Wyziembło:	*A propos Rotszyldów*	85

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczuk:	*Pakt sowiecko-niemiecki*	87
Borys Lewicкyj:	*Sowiecka biurokracja a społeczeństwo* ..	92

K R A J

Antoni Gutowski:	*Jest źle — będzie gorzej*	112

SPRAWY I TROSKI

Danuta Mostwin:	*Prawda o Polakach*	128

KSIĄŻKI

Józef Lewandowski:	*„Dzieje przemysłu" Al. Bocheńskiego* .	131
Jolanta Dworzecka:	*Nowości prozy amerykańskiej*	136
Maria Danilewiczowa:	*Krajowe nowości wydawnicze*	140
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	144

◆

—	*Wydarzenia miesiąca*	147
H. Dorski J. Garliński, St. Gombiński, J. D. Haraszewski, B. Heydenkorn, K. A. Jeleński, D. Mostwin, E. Sztejn, B. Szubska, M. D. Zakrzewski:	*Listy do Redakcji*	153
Al. Klugman:	*Wyjaśnienie*	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1970

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Prof. Zygmunt S. Birkenmayer, University Park, Penna (USA), po raz drugi	F. 55,00
Z. Blewaska, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz czwarty	F. 11,00
Bogdan Brodziński, Teheran	F. 90,00
Czytelnik z Polski, po raz dziewiąty	F. 6,00
J.P.B. (USA)	F. 137,50
Gabriel Krężlewicz, Washington, po raz drugi	F. 27,50
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz siódmy	F. 100,00
Włodzimierz Ledóchowski, Johannesburg	F. 100,00
Anna Nowicka, Albany, N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 75,50
François Prause, Rongoon (Burma), po raz czwarty	F. 100,00
S.K., River Forest (USA)	F. 110,00
Juliusz S. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz piąty	F. 154,00
W. Sudyło, Irwington, N.J., po raz trzeci	F. 39,00
Irena i Jerzy Szwede, Palo Alto, Cal. (USA), zamiast kwiatów na grób śp. inż. Stefana Majde	F. 82,50
Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej *Kultury* w Toronto, zebrane ze składek członków (obecnie 85 osób) i z dochodowych imprez, urządzanych przez Towarzystwo	F.1100,00
A. Yaremowicz, Hillsport, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 10,00
Dr Georg Zawuski, Saarbrücken (NRF), po raz drugi	F. 20,00
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz czternasty	F. 100,00
Bezimiennie z Afryki Południowej	F. 155,00
Bezimiennie z Leiden (Holandia)	F. 30,00
Bezimiennie z New Yorku, po raz trzeci	F. 44,00
Bezimiennie z Paryża, po raz ósmy	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

KOMUNIKAT

SZKOŁA PODCHORĄŻYCH PIECHOTY
W OSTROWI MAZOWIECKIEJ

W Londynie, 28 listopada br., odbędzie się Zjazd, na który Komitet zaprasza Panów Oficerów Kadry i Kolegów.

Zgłoszenia proszę kierować na ręce ppłk. J. Różańskiego — 70, Herne Hill, London, S.E.24. England.

Jako materiał do opracowywanej Książki o SPP — wszystkie wspomnienia, a zwłaszcza o Kolegach poległych, zamordowanych, odznaczonych,

— o życiu w Szkole,

— o życiu każdego z nas przez pół wieku, gdzie i jak i fotografie, proszę kierować, nie zwlekając do ppłk. dypl. S. Żochowskiego, 83, Underwood Road, Eight Mile Plains, Brisbane, 4123 — Australia.

Imprimé en France.

Odwrotna strona słowianofilstwa

Działo się to jesienią 1939 roku, gdy Chruszczow, ówczesny I sekretarz Ukrainy przyjechał do „wyzwolonego" Lwowa, by wygłosić przemówienie na wielkim publicznym wiecu. Przemawiał po ukraińsku, czyli w języku znanym tylko części wiecowej publiczności. Wyznaczono więc P., młodego podówczas komunistę, by tłumaczył przemówienie na język polski.

Wszystko było dobrze do chwili, kiedy to Chruszczow zapewnił, że Armia Czerwona wyzwoliła raz na zawsze uciskane przez Polskę narody: ukraiński, białoruski, jewrejski. P. przetłumaczył to na język polski lecz został natychmiast skarcony wzrokiem przez mówcę. Powtórzyło się to dwa razy. A po przemówieniu Chruszczow po ojcowsku, dobrotliwie, perswadował swemu tłumaczowi: *„Ej, towariszcz, towariszcz! Ja ich toże nie liubliu, no cztoby tak srazu, pri wsiem narodie ich prosto naprosto Żidami nazywat', eto nie charaszo!"*.

Jak wiadomo, być jewrejem w Rosji też nie jest dobrze, ale słowo „Żyd" w języku rosyjskim jest obelgą. Przytaczam tę anegdotkę jednak w innym celu, nie dla rozważań nad aktualnymi elementami kwestii żydowskiej tylko jako wprowadzenie do polemiki ze spojrzeniem Zenona Mielnickiego na problematykę polsko-rosyjską, a zwłaszcza na rosyjską[1]. Innymi słowy: podzielam wiele uczuć autora, wiele uwag i konkluzji uważam za słuszne, ale żeby tak od razu i publicznie całą Rosję i wszystkich Rosjan pod jeden strychulec?

W tym dowcipie „z życia" i dołączonym do niego komentarzu zawiera się w istocie rzeczy już konkluzja, jaka zrodziła się we mnie po przeczytaniu artykułu. Konkluzja, podobna do wiele

1. „W polskich oczach" *(Kultura*, maj 1970). Por. także „Struś a sprawa polska" Hanny Kostek *(Kultura*, lipiec-sierpień 1970).

tych — dobrotliwych lub uszczypliwych — rodzących się w każdym czytelniku dziesiątki razy po przeczytaniu chybionej pozycji publicystycznej, rodzących się i gasnących bez spowodowania polemiki, na domiar publicznej.

Jeśli jednak Mielnicki zmusza do chwycenia za pióro, to dlatego, że porusza problematykę istotną, animującą Polaków od pokoleń. Problematyka ta istnieć będzie również w przypadku, gdyby coś w najbliższym czasie w sytuacji Polski i Polaków zmieniło się na lepsze.

Nie można więc skwitować tej problematyki dowcipem ani przemilczeniem. Chcąc nie chcąc, trzeba wytoczyć „ciężką artylerię" argumentów, dowodów, faktów. Trzeba sięgać niekiedy do faktów zgoła elementarnych, podręcznikowych, nudnych.

Czy istnieje nieprzemijający duch dziejów Rosji i odpowiednio — Polski? Mielnicki uważa, że tak, że są to duchy, przenikające dzieje od początku do dziś, z czego należy sądzić, że nie przeminą nigdy. Jest jakieś mistyczne przeznaczenie, misja dziejów Rosji, istniejąca podobnie jak i równie aprioryczna misja dziejów Polski, tylko że przeciwstawna. Nie są to konstrukcje krytyka, lecz dosłowne stwierdzenia autora, zawarte w następujących choćby sformułowaniach „... głębokie przekonanie o określonej misji cywilizacyjnej powierzonej Polsce, o zadaniu które trzeba wypełnić". „... substancja rosyjskości...". „... Polakom *dane jest* wyjątkowo ostre widzenie spraw rosyjskich...". „... jest to Polakom dane jako obowiązek...". „Polska upadła bo jakby zapomniano, że przedmurze jest wyznaczeniem określonej misji cywilizacyjnej". „Uniwersalne posłannictwo Imperium...".

A więc jeszcze jeden uniwersalny w założeniu schemat historiozoficzny, jakich w Polsce było już dużo i jakie odgrywały i odgrywają dużą rolę w polskim życiu umysłowym i uczuciowym. Jako pierwszy stworzył, chyba pod wpływem Hegla lub heglistów, uniwersalną, nomotetyczną koncepcję historii Polski — Joachim Lelewel: Polska była silna, gdy była państwem ludzi wolnych, upadła, gdy naród do samej tylko warstwy szlacheckiej został ograniczony. Koncepcja Lelewela była indukcyjna, wypływała bowiem z badań tego wielkiego uczonego i na tyle była oparta o fakty, na tyle uwzględniała dialektykę rozwojową, że podważenie z biegiem czasu dużej części dowodów nie obaliło jej i w jakiejś postaci, często zresztą nadużywana, utrzymuje się po dzień dzisiejszy.

Już ta pierwsza koncepcja uniwersalistyczna, mimo że naukowa, miała jednak cechę wspólną ze wszystkimi następnymi, mniej naukowymi: była pragmatycznym elementem politycznym, istotnym elementem programu politycznego. Od tego czasu żadne

ugrupowanie polityczne nie obchodzi się bez swej oryginalnej, zapożyczonej lub częściowo zapożyczonej koncepcji przeszłości, rzutowanej w teraźniejszość i przyszłość. Bo czymże była w II połowie ubiegłego wieku słynna walka „konserwatywnej" szkoły krakowskiej i „pozytywistycznej" szkoły warszawskiej, jak nie starciem na arenie politycznej?

W Polsce musiało być tradycją, że walka polityczna odbywała się wokół przeszłości. To co się zrodziło w okresie niewoli, jako reakcja na nią, przetrwało niewolę. Bo przecież i w okresie międzywojennym zarówno piłsudczycy jak i endecy, pepesowcy i komuniści odwoływali się raz po raz do przeszłości, do czasu nieistniejącego. A teraz tym bardziej, bo tam, gdzie nie wolno mówić o teraźniejszości, istnieje zawsze jakaś furtka w postaci rzekomego dyskutowania na temat przeszłości.

Istnieje również oficjalna linia historiozoficzna PRL. Propaganda partyjna w kraju (Gomułka, niektórzy historycy-aprioryści, dziennikarze itd.) wiele wysiłku wkładała w systematyczne przekonywanie — nas i siebie — że duchem dziejów Polski, jej posłannictwem, było i jest przeciwstawianie się niemieckiemu parciu na Wschód, że istnieje odwieczna, mistyczna apriorycznośc, biologizm tego parcia równie jak i biologizm tego odporu. Ilekroć więc Polska wojowała na Wschodzie, czyniła to dla swojej zguby, bo sprzeniewierzała się swojemu mistycznemu posłannictwu.

Tej teorii PPR-PZPR nie stworzyła, lecz w atmosferze najgłębszej goryczy okupacyjnej i powojennej zaadoptowała dawniejszą, narodowo-demokratyczną koncepcję dziejów Polski Romana Dmowskiego, co doskonale przysłużyło się jej „wiarygodności": koncepcje tworzone w komunistycznym nurcie myślowym cieszyły się (i cieszą) o wiele mniejszym zaufaniem społeczeństwa.

Koncepcja ta do niedawna spełniała nieomal uniwersalną rolę ideologiczną: uzasadniała konieczność uległości w stosunku do Związku Sowieckiego („Sojusz ze Związkiem Sowieckim gwarancją naszej niepodległości"), system totalitarny, władzę poza społeczeństwem i wbrew niemu („tylko PPR zrozumiała interesy dziejowe Narodu"), niszczenie wszelkiej samorządności, rujnowanie kraju wprzęgnieciem go w system sowieckich zbrojeń („groźba neomilitaryzmu i neofaszyzmu w NRF"). Nawet cel, czyli socjalizm uzasadniano niesuwerennie, lecz jako pochodną historiozoficznej koncepcji interesu narodowego.

Wytworzony został osobliwy system ideologiczny: nacjonalizm w służbie innego, zwierzchniego nacjonalizmu, etatyzm niesuwerenny uzależniony od innego, suwerennego etatyzmu. Ale to temat na odrębny artykuł. Dla nas chwilowo ważniejsze są następujące stwierdzenia: po pierwsze — każdy nieuprzedzony przyz-

na, że endecko-pezetperowska koncepcja „ducha dziejów Polski" była rezultatem swoistego preparowania przeszłości, w której jeśli nawet fakty są prawdziwe, to nabrały specyficznego charakteru poprzez ocenzurowanie innych, też prawdziwych, faktów. Ta koncepcja zakłada również spojrzenie na przeszłość poprzez pryzmat doświadczeń II wojny światowej — wszelka w przeszłości próba porozumienia się z Niemcami była bardziej lub mniej, ostro piętnowana jako działanie na rzecz aktualnego a więc i odwiecznego wroga. Musiały również zostać ocenzurowane inne sfery historii, przede wszystkim zaś ponure elementy stosunków rosyjsko-polskich. Z podręczników, nie tylko elementarnych, zniknęły wojny moskiewskie XVII wieku, mordy kozackie, Repnin, Suworow, Nowosilcow, Murawiow-Wieszatiel, Kroże i tak dalej do Katynia włącznie, nie tylko dlatego, że godziły w „budownictwo przyjaźni", ale również dlatego, że rujnowały klarowny obraz stosunków polsko-niemieckich, rujnowały historiozofię, rujnowały ideologię.

Cóż, zabiegi intelektualnie wątpliwe, o czym przestrzegał jeszcze przed II wojną światową Józef Feldman, akcentujący wszystkie komplikacje stosunków dziejowych, ale w jakiejś mierze skuteczne, bo ułatwiające społeczeństwu i tak nie mającemu innego wyboru, pogodzenie się wewnętrzne z niekochanym *status quo*.

Po drugie — ten systemat, tak bardzo potrzebom pragmatycznym podporządkowany, właśnie od strony pragmatycznej został, jeśli nie obalony, to przynajmniej nadwerężony. Dojście do władzy socjaldemokracji w Niemczech Zachodnich pod hasłem nawiązania przyjaznych stosunków z Polską, pierwsze pojednawcze wystąpienia nowego kanclerza, z miejsca rodziły w Warszawie nerwową sytuację. Wystąpienia warszawskie przeciwko NRF musiały zostać utemperowane, ale wraz z tym rodziło się coś nieuchwytnego, trudnego do określenia a tym bardziej do zmierzenia, ale będące symptomem osłabienia autorytetu, nawet policyjnie pojętego autorytetu władzy — zanik centralizującej idei, nie tylko w społeczeństwie, ale i w szeroko pojętym aparacie. Służenie Związkowi Sowieckiemu, zbrojenia, system policyjny, klepanie polskiej biedy, wszystko to nadal istniało, ale nabierało mniejszego sensu niż poprzednio. „Jeśli nie chcemy mówić o ziemi, mówimy: niebo nie jest puste!" Ale teraz rozmowy o niebie traciły sens i sprawy naziemne nabierały ostrzejszego znaczenia. Od tego nie może abstrahować żadna analiza wydarzeń polskich 1967 i 1968 roku. Bo w tym tkwi zarówno ważny element rezonansu dążeń studenckich jak i strachu rządzących, jak i poszukiwanie nowego spoiwa, którym, raczej z mniejszym powodzeniem, okazali się być od dawna niekochani przez władzę ludową „syjoniści".

Śmiem twierdzić, że koncepcja historiozoficzna Zenona Mielnickiego ma duże podobieństwa do oficjalnej koncepcji PRL. Zostawmy na uboczu mesjanistyczno-prowidencjalną terminologię. Nie rozpoczynajmy również dyskusji wokół tego, że co prawda u Mielnickiego mamy tylko pozornie projekcję przeszłości w teraźniejszość. Faktycznie jest to projektowanie teraźniejszości w przeszłość. „Substancja rosyjskości" nie została wyindukowana z dziejów Rosji, przeciwnie, dzieje te zostały „ustawione", jak mówili propagandyści.

Nie jest to zabieg oryginalny. Podobnie jak Dmowski adaptował Treitschkego ducha dziejów Niemiec, sprowadzającego się do parcia na Wschód, tak samo Mielnicki zastosował XIX-wieczną, słowianofilską, wojująco-nacjonalistyczną koncepcję „rosyjskości" i wyprowadził z niej zarówno „polskość" jak i „zachodniość". W tym celu abstrahował zarówno od dialektyki dziejów Rosji, jak i zupełnie przemilczał istnienie Niemiec, jako problemu w polityce polskiej.

Oczywiście adaptacja została połączona z odwróceniem. Jeśli dla słowianofilów „rosyjskość" była ucieleśnieniem dobra, to dla Mielnickiego jest ucieleśnieniem zła, misja Rosji przeistoczyła się ze szlachetnej w szkaradną. Pozytywną „misję" słowianofile przypisywali Rosji i Rosjanom, autor — odpowiednio Polsce i Polakom. W jednym są zgodni: w ostrym piętnowaniu dekadencji Europy Zachodniej i jej kultury, którą trzeba zbawić. Ale o tym na końcu polemiki.

Główne miejsce w rozważaniach Mielnickiego zajmuje stereotyp „rosyjskości" i Rosjanina.

Poglądy społeczeństwa polskiego na te sprawy nie odznaczają się zbyt wielką głębią. Istnieje w społeczeństwie pewien dość ludowy schemat Rosjanina, negatywny, uzasadniony bardziej bezpośrednią obserwacją, niż analizą. W tym schemacie mieszczą się: uległość wobec władzy połączona z zatraceniem godności własnej, podatność na ogłupianie plus „dostojewszczyzna", plus alkoholizm. Któż tego stereotypu nie wyznaje! *Nie łączy się on zresztą z żadnym konkretnym wyznaniem wiary politycznej, nie jest dowodem opozycyjności,* bo jest powszechny wśród wysokich dygnitarzy partyjnych, niezależnie nawet od przynależności do takiej czy innej „grupy". Ale charakterystyczniejsze może od taniej sensacyjności w rodzaju: tow. X mówił to, a tow. Y mówił coś zbliżonego, są łamy preferowanych przez Komitet Centralny PZPR czasopism. Przecież dla *Kultury* (tej z Wiejskiej), *Miesięcznika Literackiego, Współczesności* — w literaturze, kulturze sowieckiej nic się nie dzieje, nic na czym można by skupić uwagę! Cóż, przejaw tego samego stereotypu, co więcej, hodowanie go, chyba nawet z dużą dozą świadomości!

Z tego ogólnego frontu wyłamywała się *Polityka,* drukująca Dudincewa, Erenburga, Sołżenicyna. Ale czy tak dużo czytelników pamięta treść „Nie samym chlebem", tytuł powieści Sołżenicyna, lub skąd zrodziło się pojęcie „odwilży" i „przymroku"?

To nie tylko wina cenzury, że Sołżenicyn jest w Polsce mniej znany niż we Francji, Włoszech lub Szwecji.

Polska rusycystyka była zawsze dziełem jednostek i nie stworzyła tradycji. To prawda. Zainteresowanie społeczeństwa własną rusycystyką było zresztą zawsze dość znikome, a w miarę zanikania dość dużej i ważkiej ongiś warstwy porewolucyjnych repatriantów, wychowanych na styku obu kultur, zamiera. Nie oskarżajmy jednak zbyt mocno społeczeństwa polskiego. Ten brak zainteresowania to niesłuszna, lecz naturalna reakcja. Finowie np., mający relatywnie doskonałe warunki uprawiania rusycystyki we wszystkich jej dziedzinach, zaniedbali ją zupełnie i ponoć nawet dla potrzeb dydaktycznych importują specjalistów z państw o gorszych warunkach uprawiania tej dziedziny wiedzy.

No, a w Polsce ludowej warunki się nie polepszyły. Każda próba już nie tylko wypowiedzenia jakiejś własnej całokształtowej myśli, lecz chociażby ujawnienia szczegółu, dawno co prawda już ujawnionego, lecz mogącego wywołać niezadowolenie „starszego brata" skazana jest na niepowodzenie. To tym bardziej otwiera wrota dominacji stereotypów.

Cechą charakterystyczną każdego stereotypu jest jednoznaczność, jednostronność. Stereotypy Mielnickiego nie są bezpodstawne. Ale wszystkie, te lepsze i te gorsze, mają jedną wadę: są w sprzeczności z autentycznym życiem. Zjawiska społeczne są zawsze wielostronne i wieloznaczne, stanowią, używając modnego terminu, wprowadzonego do nauki przez Claude Levi-Straussa, „strukturę", w której poszczególne elementy nabierają znaczenia tylko w kontekście z pozostałymi. Inaczej mówiąc, stereotyp może być sam w sobie wspaniałym przedmiotem badania, ale jako punkt wyjścia do badania struktury przezeń objętej jest nieprzydatny, jako rezultat badań — wręcz błędny.

To dotyczy każdego stereotypu. Ale określanie Rosji jest szczególnie trudne, w Rosji sprzeczności są silniejsze niż te, do których na ogół jesteśmy przezwyczajeni. A literacki obraz Rosjanina ma się w wielu wypadkach tak do rzeczywistości jak nasz polski, literacki, obraz górala do jego autentyku. Zresztą, w poprzednim numerze *Kultury* zwróciłem uwagę na dowcipne spostrzeżenie Zdenka Nejedlego, iż chcąc spowodować powiedzenie głupstwa przez Anglika lub Francuza, wystarczy skierować rozmowę na Rosję. Powodzenie gwarantowane, twierdził czeski uczony.

Krytyka stanowiska Mielnickiego nie jest zresztą nowa. Do-

konał jej jeszcze w ubiegłym wieku wielki filozof rosyjski (zresztą wielki przyjaciel Polaków, doprawdy zbyt mało przez nas znany) — Władimir Sołowiow, powtórzył już w naszym wieku Nikołaj Bierdiajew: „... Słowianofilska filozofia historii nie chce znać antynomiczności Rosji i bierze pod uwagę tylko jedną tezę rosyjskiego życia. Rosja nie byłaby tak trudna do zrozumienia *(tainstwiennaja),* gdyby była tylko taką jak ją słowianofile widzą"[2].

Chodzi o to, że tak u Mielnickiego jak i u jego poprzedników-przeciwników, zarówno „rosyjskość" jak i „polskość" są w jakiejś mierze prawdziwe, ale mimo nie tożsame z psychiką narodową, charakterem narodowym. Te ostatnie pojęcia są określane przez czynniki w jakimś stopniu trwałe, bo przechodzące z pokolenia na pokolenie, ale i jednocześnie zmienne, wraz z warunkami materialnego i psychicznego bytu, na domiar zróżnicowane wewnętrznie.

Ale przecież nie mniejsze są różnice „poziome", w ramach każdej epoki. Nie w naszych czasach stwierdzono, że są Murawiowowie, którzy wieszali i ci których wieszano. I tylko w dowcipie można mylić tych których okradziono, z tymi którzy ukradli. Dostojewski był niewątpliwie genialnym wyrazicielem istotnych elementów rosyjskiej psychiki. Ale nie wyrażał jej w sposób pełny. Już nie mówiąc o wywierającym po dzień dzisiejszy większy wpływ niż się nam zdaje, Władimirze Sołowiowie, brakuje w omawianym eseju Lwa Tołstoja. To nie jest jeden ciąg, to raczej rozpięcie łuku sprzeczności literatury rosyjskiej.

Ba, Herzen i Dostojewski! Tych nazwisk ustawiać w jednym szeregu, wymawiać jednym tchem, jakby to było jedno i to samo, nie można. Zrównywać ich, to znaczy zarzucać Herzenowi antypolskość. Ale Herzen to piękna postać również i naszej, polskiej, emigracyjnej walki politycznej. Zarzucać mu, że był rewolucjonistą, że był maksymalistą jest w swojej konsekwencji potępieniem większości polskich bojowników o niepodległość. Bo czy walka o niepodległość nie była niegodzeniem się z „małością"? A od strony precyzji: nie był chyba Herzen takim maksymalistą, skoro ciągle w Związku Sowieckim spotyka go zarzut, że był liberalny, zbyt, w sposób zachodni, skłonny do kompromisów, że od Marksa odpychały go skrajność i dogmatyzm poglądów tego ostatniego. No cóż, dla Mielnickiego liberalizm jest też czymś podejrzanym, niedobrym...

Z innych względów podejmę walkę i o Lenina. Nie był, jak twierdzi Mielnicki, spadkobiercą Pobiedonoscewa i Stołypina, ani też Mikołajów i Aleksandrów, tym bardziej zaś nie był człowiekiem, który „... widział, że marksizm jest genialnie demagogicz-

2. Nikołaj Bierdiajew: *Dusza Rossii.* Moskwa 1915, str. 12.

nym narzędziem do stworzenia nowego Imperium". Wystarczy choć trochę zagłębić się w literaturze przedmiotu, by dostrzec — pisze o tym przekonywująco, choć bez wniosków Bieńkowski — że rewolucja uczyniła z Rosji scentralizowane, imperialistyczne państwo wbrew Leninowi. Ostatnie lata Lenina upływają na rozpaczliwych i — sądząc z wydanych jego prac — bezowocnych rozmyślaniach nad tym, w czym spoczywał błąd budowniczych nowego, w założeniu wolnego państwa.

Tu zresztą dotyka Mielnicki jednego z istotniejszych problemów współczesności: Czy aplikacja doktryny marksistowskiej dała tak okropne rezultaty dlatego że istniał (istnieje) błąd w doktrynie, czy też okropności są konsekwencją aplikowania dobrej doktryny w złych, nieodpowiednich, rosyjskich warunkach?

Jak większość ludzi z doświadczeniami umiarkowanymi na wschód od Łaby jestem przekonany, zwłaszcza po pogrzebaniu w dniu 21 sierpnia 1968 roku „ostatniej nadziei komunizmu" (Smrkovsky), że aczkolwiek w Związku Sowieckim specyficzna sukcesja Rosji odgrywa istotną rolę, to wszelkie rządy komunistyczne, w każdym kraju, niezależnie od sukcesji, muszą prowadzić do zbliżonych objawowo, a merytorycznie identycznych, rezultatów.

Pogląd, że zatrute owoce komunizmu są związane z rosyjską glebą, ma już swoją historię od pierwszych lat porewolucyjnych i zdaje się, że w Polsce się począł. To przecież Maria Koszutska mówiła Leninowi, że „My zrobimy to samo, ale zrobimy to lepiej", kojąc tym samym jego rany. Tak myśleli komuniści w Polsce w 1944-5 roku i w 1956 roku, a Kuroń i Modzelewski i później. Tak samo przez długi czas uważali wielcy reformatorzy czechosłowaccy. Mam podstawy do twierdzenia że komunistów w krajach satelickich już więcej nie ma, została tylko liturgia komunistyczna, stosowana zarówno przez inkwizytorów jak i heretyków. Wywodząc się z zupełnie innych środowisk, do zupełnie innych dążąc celów, pod tym przynajmniej względem Mielnicki bliższy jest reformatorom komunistycznym.

Ale wróćmy do centralnego punktu rozważań Mielnickiego, do „rosyjskości" apriorycznej, stworzonej przez złą opatrzność, niezmiennej w założeniu i której zmienić niesposób. Więc co pozostaje? Zniszczyć naród? A jeśli znajduje się w nim 10 sprawiedliwych? I jak takiego gigantycznego przedsięwzięcia dokonać? Bo jeśli duch narodu jest apriorystyczny lub chociażby biologiczny, to nawet wynarodowienie niewiele pomoże, bo pierwiastek skażony przeniesie się do innych narodów. Aż strach pomyśleć, jaka część społeczeństwa polskiego i jego kultury z Rosji i Rusi się wywodzi. Od samych Iwanów np. Wańkowicz, Iwaszkiewicz, Iwanicki, Iwanowski, nie mówiąc o Waśkowskich, Waśniewskich. A ilu od Piotrów, Wasylów! Wszystko to szlachta, wielu ludzi noszących te nazwiska do polskiej elity się zalicza.

Bo przegrody między polskością a rosyjskością nie były ongiś tak przepastne, jak by się teraz (stereotyp!) zdawało. Pani Barykowa, impregnowana przeciw rosyjskim wpływom, była zjawiskiem autentycznym, ale nie była to postawa ani wyłączna, ani też w czystej postaci zbyt często spotykana. Można by się tu powołać na wiele autorytetów, lecz myślę że i Cat-Mackiewicz wystarczy.

Pojęcia „Polak" i „Rosjanin" nie zawsze były do tego stopnia wyłączające się, jak stały się obecnie. Nawet w okresie niewoli do rosyjskich urzędów płynął potok „młodszych synów", szukających utrzymania i kariery i znajdujących je. Od czasów mickiewiczowskiej Telimeny, korzystającej z faworów u wielkiego łowczego dworu i majora Płuta, od którego autor wolał Rosjanina Rykowa (powtórzy się to u Żeromskiego), urzędy i towarzystwo pełne były Polaków. Któż zliczy wszystkich generałów Polaków i polskiego pochodzenia w przeddzień rewolucji, tych wszystkich „Napoleonów Cezariewiczów" Kłębowskich, Januszkiewiczów, Mrozowskich, Andryczów, Jacynów, Dowborów? Istniały duże psychiczne regiony dwunarodowości, o stopniowości wyboru narodowości pisali zarówno Wieresajew (Smidowicz), jak i Strumilin (Strumiłło-Pietraszkiewicz), po polskiej stronie też nie byle kto, bo Stanisław Stempowski. W tym wypadku był to jednak wybór między polskością a ukraińskością, podobnie jak u obu Wacławów Lipińskich, z których jeden został legionistą i polskim historykiem, a drugi jako Wiaczesław, też historyk, stał się wybitną postacią ukraińskiego ruchu narodowego.

Nie ja jeden zresztą doznałem lekkiego szoku, gdy czytając papiery po Bronisławie Piłsudskim, bracie Marszałka, zorientowałem się, że nawet notatki na marginesach polskich książek robił po rosyjsku!

Te zjawiska należą teraz do przeszłości. Chyba dlatego, że rozwój poczucia narodowego w Europie Środkowej i Wschodniej przebiega z opóźnieniem w stosunku do Europy Zachodniej. Ale również i dlatego, że ustrój w swym założeniu socjalistyczny, który — zdawało się początkowo — rozwiązywał problem narodowy, przezwyciężał nacjonalizmy, szybko stracił tę swoją zdolność, natomiast obecnie jest czynnikiem aktywizującym nacjonalizm i szowinizm. Skłonny jestem nawet zaryzykować tezę, że „Moskwa" nie tylko krzewi szowinizm u siebie ale również jest skądinąd zainteresowana w antyrosyjskości społeczeństw zależnych. W sposób szczególnie jaskrawy ujawniło się to w Czechosło-

wacji, ale nie tylko w 1968 i 1969 roku. Obserwowałem sowiecką grę w Pradze i Bratysławie od szeregu lat i zastanawiałem się, dlaczego jest tak gruboskórna, zrażająca społeczeństwo — ongiś tak filorosyjskie. Znając inteligencję ludzi tę politykę uprawiających, nie mogę wykluczyć świadomości konsekwencji. Również w najnowszej historii Polski szereg momentów wskazywałby na zasadność tego przypuszczenia. Chodzi o to, że Moskwa jest zainteresowana w istnieniu elementów pogłębiających zależność krajów satelickich i zmniejszających możliwość porozumienia się rządów satelickich z rządzonymi społeczeństwami. Bardziej jednak chyba Moskwa jest zainteresowana, by nie nastąpiła koordynacja ruchów opozycyjnych, i tych w krajach satelickich, i tych pierwszych z ruchami w Związku Sowieckim. Nie zapomnijmy, że co prawda „odwilż" w Polsce dała większą liberalizację niż w Związku Sowieckim, ale mimo to była procesem wtórnym w stosunku do tego co działo się w „centrali". A z kolei zdobycze społeczeństw „kadeelowskich" mają istotne znaczenie dla wszystkich prądów liberalnych, rosyjskich i nierosyjskich, w Związku Sowieckim.

Oczywiście nawet najpełniejsza liberalizacja w Związku Sowieckim nie rozwiąże sama przez się wszystkich nabrzmiałych problemów, nie usunie wszystkich zadrażnień, nie uspokoi namiętności. Co więcej, przypuszczam że w ramach liberalizacji, namiętności trzymane przez tyle czasu pod pokrywą, zduszone i nagle wyzwolone, mogą spowodować niejeden dysonans i trudność polityczną. Ale mimo wszystko górować musi zrozumienie współzależności dążeń wolnościowych, tego że — używając warszawskiej gwary — na jednym wózku jedziemy.

Proszę o wybaczenie, że *gros* moich rozważań wokół „rosyjskości" się obraca. Ale u Mielnickiego „polskość" jest misją wynikającą z istnienia „rosyjskości". Jest więc pojęciem wtórnym. Posiada więc w tym ujęciu ten sam mankament, jaki miała historiozoficzna koncepcja PPR-PZPR, o czym mowa była wyżej. Jest podmiotem zależnym od istnienia określającego ją przedmiotu. Wraz z zanikiem przedmiotu lub jego istotnymi przeobrażeniami traci treść, traci rację bytu. Nie jest to rozważanie abstrakcyjne. Problem rosyjski istnieje i ciąży nad całym życiem polskim. Przewidywać szybkich i radykalnych zmian ku lepszemu nie ma podstaw. Ale liczyć się ze zmianami ku lepszemu bynajmniej nie jest romantyzmem politycznym. Zawężanie życia narodu tylko do jednego parametru oznacza nie tylko zubożanie, ale również wystawianie na niebezpieczeństwo — na szczęście tylko teoretyczne — jego celów życiowych, zwanych w skrócie ideologią. Podobnie jak w kryzysie znalazła się PZPR w obliczu zwycięstwa wyborczego socjaldemokracji niemieckiej.

„W polskich oczach" jest w jakimś stopniu odbiciem psychiki społeczeństwa, w którym tkwi Mielnicki. A psychika ta jest obolała. Nie zapominajmy, że mniej więcej od 1957 roku, równolegle do postępów tego, co nazywamy uczenie „restalinizacją" a potocznie „braniem za mordę", narasta gorycz, zniechęcenie, niewiara w celowość działania. Wspaniale wykpił tę postawę goryczy i zniechęcenia Sławomir Mrożek w „Indyku" („— A może byśmy coś zasiali? — Ech, nie warto!"), ale sam też przekonał się o duszności polskiej atmosfery. Nawet dla odpornych, próbujących na przekór wszystkiemu ciągle coś działać, rok 1968 był ciężkim szokiem: wykańczano „syjonistów", ale przecież istotnym przedmiotem ataku były resztki niezależności polskiego świata intelektualnego i w ogóle tzw. inteligencji. Generalnie rzecz biorąc, polski świat intelektualny tę trudną próbę postaw zdał pięknie, z czego nie wielu ludzi poza Polską zdaje sobie sprawę. Ale nie mógł przecież zapobiec wzrostowi zamordyzmu. Rozgoryczenie wzrosło bardzo wydatnie.

A tam, gdzie nie wolno nic, gdzie wszelka myśl samodzielna jest ocenzurowana, jest sprzeczna z prawem, tam wolno wszystko. Tu Mielnicki ma rację. Ale nie tylko w odniesieniu do Rosji. W warunkach rozgoryczenia zrodził się u Mielnickiego bunt totalny. Bo Mielnicki jest maksymalistą...

Maksymalizm ten może najlepiej ilustruje stosunek Autora do kultury Zachodu, tego współczesnego nam Zachodu. W Polsce istniał i istnieje kult Zachodu. Żywią go wszyscy. Intelektualiści, żyjący odblaskiem myśli Sartre'a i Levi-Straussa, i chłopcy podziwiający sylwetkę zagranicznego samochodu, dziewczyna obnosząca tani nowy sweterek, i członek Biura Politycznego wysyłający córkę na studia do Francji za państwowe pieniądze. O tym kulcie można rozmaicie. Moim zdaniem nawet w prymitywniejszych formach tego kultu dochodzi do głosu, przynajmniej obok innych elementów, tęsknota za wolnością, wyrażona na takim poziomie, na jakim kogoś stać, jakaś klaustrofobia zamkniętego społeczeństwa.

Ale w tym kulcie, właśnie z powodu jego powszechności, jest dużo irytującej powierzchowności. A na domiar miłość jest jednostronna. „Zachód" na ogół jest w stosunku do tej miłości nie tylko obojętny, ale często nawet nie zdaje sobie z jej istnienia sprawy. „W Polsce, to znaczy nigdzie!" — tak, niestety, było i jest.

A więc gorycz, jeszcze jedno źródło goryczy. W ujęciu maksymalisty gorycz przybierze charakter potępienia Zachodu, jego zdobyczy społecznych, jego kultury dekadenckiej, jego literatury nic nie mówiącej, jego sztuki żyjącej tylko złudzeniami. No cóż, nie wiele w tym nowego. Nie chcę na ten temat podejmować dysku-

sji, bo po prostu nie cierpię słowianofilstwa, a to co Mielnicki na ten temat pisze wprost ze słowianofistwa się wywodzi.

Tylko że jeśli ataki słowianofilów na „zachodników" miały wyłącznie teoretyczny charakter, to ich argumenty, przejęte przez Stalina, pustoszyły wielkie sfery kultury nie tylko rosyjskiej, pustoszą zresztą po dzień dzisiejszy. I jeszcze ktoś tam o zgniliźnie demoliberalnego Zachodu mówił, ale kto, tego już nie pomnę.

Marcin WYZIEMBŁO

Wywiad z prof. I. Switakiem

Nota biograficzna: Prof. Ivan Svitak, członek Instytutu Filozoficznego Czeskiej Akademii Nauk w Pradze, został usunięty z Akademii Nauk i Komunistycznej Partii Czechosłowacji w roku 1964. Równocześnie z tym uniemożliwiono mu wykłady na Uniwersytecie Karola w Pradze. W okresie demokratyzacji w Czechosłowacji w roku 1968, prof. Ivan Svitak rozpoczął ponownie działalność dydaktyczną i publicystyczną, biorąc ponadto czynny udział jako jeden z najwybitniejszych intelektualistów czeskich w programie reform zainicjowanych przez ówczesne kierownictwo Czeskiej Partii Komunistycznej. Jego wystąpienia na masowych zebraniach górników i robotników w Morawskiej Ostrawie zyskały mu sławę uczonego, będącego czynnym szermierzem przywrócenia socjalizmowi jego humanistycznego oblicza. Na krótko przed inwazją wojsk Paktu Warszawskiego, Ivan Svitak został zaproszony przez Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku celem wygłoszenia cyklu wykładów. Po okupacji Czechosłowacji przez armię sowiecką reżym kolaboracyjny w Pradze pozbawił Ivana Svitaka obywatelstwa czechosłowackiego. Obecnie Ivan Svitak przebywa w Stanach Zjednoczonych, pracując naukowo jako visiting professor na Uniwersytecie Columbia, prowadząc jednocześnie rozległą działalność publicystyczną.

Pytanie 1: Po usunięciu Pana z Partii w okresie rządów Novotnego i po wszystkich tragicznych doświadczeniach jakie przeszła w ostatnich latach Czechosłowacja pozostał Pan nadal marksistą. W związku z tym uważa Pan za możliwe obalenie rządów komunistycznej biurokracji przy zachowaniu w zasadzie niezmienionej struktury ekonomicznej krajów Bloku Komunistycznego. Zgodnie z tym sądzi Pan, że w tego typu ustrojach możliwy byłby szeroki margines wolności, dopuszczający swobodę publicznego głoszenia poglądów we wszystkich sprawach politycznych, religijnych i filozoficznych; że ponadto systemy takie zachowałyby takie fundamentalne zasady demokracji jak niezależne od władzy wykonawczej sądownictwo, całkowitą swobodę nauki i literatury, oraz wolne od kontroli organów państwowych lub partyjnych związki zawodowe. Czy rzeczywiście wierzy Pan, że wszystkie te prawa i przywileje demokratyczne, z których korzysta przynajmniej część społeczeństw kapitalistycznych mogą być przywrócone i zachowane w socjalistycznym ustroju gospodarczym?

Odpowiedź: Pytanie obejmuje właściwie nie jedną, ale trzy kwestie. Obecnie pojęcie „marksizmu" stało się wybitnie wieloznaczne

i myślę, że wielu ludziom trudno byłoby odpowiedzieć na pytanie czy są marksistami czy nie, bez drobiazgowej analizy tego słowa. W Pradze, gdy kiedykolwiek wynikała tego typu kwestia pomiędzy mną a partyjnym funkcjonariuszem, miałem dość prostą „formułkę". — Jeżeli ty jesteś marksistą — mówiłem, — to ja nim nie mogę być. Jeśli nie jesteś — to ja nim jestem. Oczywiście tego typu odpowiedź, której nie traktowałem zresztą zbyt serio, nie wyjaśnia zbyt wiele, a w szczególności nie można posługiwać się nią na Zachodzie. W tym wypadku potrzebna jest większa precyzja. Kiedy przybyłem do Stanów Zjednoczonych i gdy na pytanie: czy jestem marksistą odpowiadałem twierdząco, wielu moich nowych znajomych było zaszokowanych faktem, że po doświadczeniach z armią sowiecką, które ma za sobą Czechosłowacja, zaliczam się nadal do obozu marksistowskiego. Sądzę jednak, że do tej kategorii zaliczam się nie ja jeden. Myślę, że za marksistę uważa się również Leszek Kołakowski, nie mówiąc już o takich zachodnich intelektualistach jak Jean Sartre, Charles Wright Mills, Erich Fromm i wielu innych. Oczywiście ich „marksizm" jest zgoła odmienny od „marksizmu" sowieckiego czy chińskiego. Z grubsza biorąc, bo interpretacji i odcieni marksizmu jest zapewne bardzo wiele, należy rozróżnić przynajmniej kilka rodzajów współczesnego marksizmu: sowiecki, chiński, zachodnioeuropejski, odmianę jugosławiańską oraz wschodnioeuropejską. Jeśli jako rysy charakterystyczne i cechy odróżniające mój „marksizm" od innych jego odmian mam uważać idee, które przyświecały w roku 1956 Polskiemu Październikowi, czechosłowackiej rewolucji demokratycznej i drodze jugosławiańskiej — w tym sensie mogę uważać się za marksistę. Między innymi dlatego, że jedyną ideologią, mającą jakąś wagę i znaczenie we Wschodniej Europie, jest zhumanizowany marksizm — idea socjalistycznej demokracji, będąca dźwignią oryginalnej humanistycznej myśli, jaka legła u podstaw marksizmu jako ideologii i teorii naukowej. Oczywiście tego typu marksizm nie ma nic wspólnego z jego stalinowską lub maoistowską wersją. Dlatego uwzględniając zmiany rewolucyjne lub reformy, których widownią może stać się powtórnie Europa Wschodnia, należy pamiętać, że marksizm w tej części świata jest potężną siłą intelektualną i taką prawdopodobnie pozostanie. Tyle jeśli chodzi o jego rolę polityczną i dziejową. Jeśli zaś chodzi o funkcję marksizmu jako metody naukowej, to należy przypomnieć, że analiza historyczna oparta na zasadach marksistowskich jak również materializm dialektyczny są ważnymi elementami w badaniach naukowych, dotyczących rozwoju społeczeństw i zjawisk kulturalnych i stosowana jest nie tylko w Europie Wschodniej, ale i na Zachodzie. Na nieszczęście w krajach Europy Zachodniej i w Ameryce marksizm jest błędnie utożsamiany przez wielu ludzi z polityką sowieckiej Partii Komunistycznej. Ze swej strony pragnę zaznaczyć, że stalinizm lub neostalinizm jest negacją marksizmu w jego oryginalnym kształcie, jaką nadali mu klasycy. Dlatego właśnie, jeśli podkreślam wagę i znaczenie marksizmu w jego humanistycznej postaci w Europie

Wschodniej, to dlatego, że jest on jedyną platformą, z której możemy skutecznie atakować stalinowską lub neostalinowską praktykę. Taką właśnie wykładnię i koncepcję antystalinowskiego marksizmu przyjmuję i akceptuję. Druga kwestia zawarta w pierwszym pytaniu, która pozostaje zresztą w związku z przedstawionym przez mnie stanowiskiem: uważam, że idea zdemokratyzowanego ustroju socjalistycznego jest jedyną i skuteczną formą i metodą walki z totalitarną władzą biurokracji komunistycznej. Z drugiej strony, mamy już pewne doświadczenie wyniesione ne z wydarzeń w Czechosłowacji. Nie można obalić totalitarnego systemu, czyniąc biurokrację komunistyczną i partyjny aparat siłą kierującą ruchem ludowym, walczącym o reformy. Sądzę, że nieświadomość tej oczywistej prawdy była najpoważniejszym błędem reformatorów z okresu czechosłowackiej demokratyzacji. I to jest pierwsze doświadczenie wyniesione z wiosny 1968 roku. Ruch ludowy, dążący do reform i do zmiany systemu, może obejmować komunistów i nie komunistów, ale ruch tego typu nie może być kierowany ani przez komunistów ani przez Partię Komunistyczną. Komuniści mogą w tym ruchu masowym uczestniczyć, ale sama Partia Komunistyczna zawodzi w sytuacji rewolucyjnej — ściśle biorąc, w momencie, gdy mobilizacja społeczeństwa ma doprowadzić do zmiany systemu.

Demokracja socjalistyczna jest wielką ideą, która bynajmniej nie zbankrutowała. Nie straciła ona w krajach Europy Wschodniej swej siły atrakcyjnej i gdyby wpływy sowieckie zostały w tej części świata zahamowane, idea ta mogłaby znaleźć swe pełne ucieleśnienie. Była ona myślą przewodnią w reformach jugosławiańskich, w Polsce w roku 1956, jak również w okresie węgierskich ruchów rewolucyjnych w tym samym roku. Zwycięska rebelia przeciwko totalitarnej biurokracji komunistycznej może nas zaprowadzić w przyszłości do jakiegoś nowego nieznanego dotychczas systemu, który może powstać na gruncie socjalistycznej ekonomii. Moja ostatnia uwaga będzie odpowiedzią na pytanie czy wierzę w to, że prawa ludzkie podeptane rządami komunistycznej biurokracji mogą być przywrócone i zabezpieczone w systemie gospodarki socjalistycznej. Dość charakterystycznym zjawiskiem towarzyszącym wiośnie czeskiej roku 1968 był fakt, że powszechnie czytanym i dyskutowanym wówczas dokumentem była Deklaracja Praw Człowieka uchwalona przez ONZ w roku 1948. Myślę, że większość moich współziomków wierzyła i wierzy w możliwość zachowania pewnych swobód obywatelskich i praw ludzkich w socjalistycznym systemie. Sądzę, a wskazują na to doświadczenia minionych lat i wieków, że pragnienie wolności jest twórczą i niezniszczalną cechą natury ludzkiej. Historia udowodniła, że nawet w najbardziej surowych systemach dyktatorskich jeszcze okrutniejszych od obecnych neo-stalinowskich rządów, pragnienie zdobycia i rozszerzenia wolności jest nieprzeparte i niemożliwe do wykorzenienia. Ta cecha natury ludzkiej jest siłą, która skłania nie tylko poszczególnych ludzi; nie tylko przedstawicieli inteligencji, ale wszystkie warstwy społeczeń-

stwa do opozycji przeciwko władzy totalitarnej, niszczącej swobody. Być może, że moje przekonanie, iż w warunkach stalinowskiej lub neo-stalinowskiej wszechobejmującej kontroli, masy ludowe mimo wszystko dążyć będą do odzyskania wolności, brzmi jak utopia, sądzę jednak, że przeszłość dostarcza nam wielu przykładów, w których systemy dyktatorskie nie okazały się ani tak silne ani tak trwałe jak się z pozoru wydawały. Stwierdzam, jeszcze raz, że w doświadczeniach rewolucji czesko-słowackiej komunistyczni i nie komunistyczni intelektualiści, robotnicy i inteligencja dali nam odpowiedź na pytanie: jak rozbić totalitarny system od wewnątrz — bo z zewnątrz było to zupełnie niemożliwe. Byli oni tak bliscy ostatecznego zwycięstwa, iż jedynym wyjściem dla ratowania totalitarnej dyktatury było wkroczenie wojsk sowieckich. Niemniej doświadczenie historyczne zostało zdobyte i każdy przyszły ruch antytotalitarny będzie nawiązywał i opierał się na doświadczeniach czechosłowackiej rewolucji. Pokazały one, że spontaniczna masowa mobilizacja mas przeciwko totalitarnej władzy jest możliwa i że może ona doprowadzić do przywrócenia swobód obywateli pod jednym warunkiem: że ruchem tym nie kieruje Partia Komunistyczna ani komunistyczna biurokracja, ale przywódcy, którzy by umieli i chcieli rozwinąć w pełni aktywność i inicjatywę społeczeństwa a w konsekwencji uchronić je przed zdradą.

Tragedią bowiem rewolucji czeskiej było to, że Partia Komunistyczna i jej aparat zdradziły tę gigantycznych rozmiarów inicjatywę i energię ludową, doprowadzając masy w krytycznym momencie do całkowitej niemal demobilizacji. Uderzającą cechą owych dni był fakt, że Dubczek, który do momentu inwazji miał za sobą niemal cały naród, nie odważył się w decydującej chwili przeciwstawić się sowieckim czołgom. Według mnie, Dubczek miał szansę ratowania programu demokratyzacji przez dalsze ożywienie ruchu ludowego, poprzez inspirowanie go mocniejszą i bardziej zdecydowaną wolą walki. Gdyby odrzucił decyzję Konferencji w Ciernej i Bratysławie, gdyby w większym stopniu liczył na masy i większą wiarę pokładał w sojuszu robotników i inteligencji, mógłby mimo wszystkich przeszkód uratować Czechosłowację dla demokracji. Sądzę, że to właśnie doświadczenie — doświadczenie popełnionych błędów musi być wzięte pod uwagę w wypadku, gdyby podobna rewolucyjna sytuacja powtórzyła się nie tylko w którymkolwiek kraju Europy Wschodniej, ale przede wszystkim w samych Sowietach, gdzie oczywiście sytuacja byłaby odmienna, ponieważ ewentualne akcje armii sowieckiej nie miałyby tam charakteru interwencji z zewnątrz.

Pytanie 2: W ciągu ubiegłych 17 lat, a w szczególności po XX Kongresie KPZS, a nawet przed nim, Europa Wschodnia była widownią co najmniej czterech prób obalenia totalitarnej dyktatury partii komunistycznych i przywrócenia socjalistycznych form rządzenia opartych na zasadach demokratycznych. Za pierwszą taką próbę uważam program „Nowego Etapu", zainicjowany przez Imre Nagy'ego w roku 1953-54 w okresie jego pierwszych rządów na Węgrzech. Druga próba

— to Polski Październik wspierany masowym sojuszem studentów, inteligencji zawodowej i robotników. Trzecią próbą było powstanie węgierskie w roku 1956 stłumione zbrojną interwencją sowiecką. Ostatnim wydarzeniem tego typu, którego celem było stworzenie systemu władzy, opartego na socjalistycznej bazie bez biurokratycznej antydemokratycznej nadbudowy, była inicjatywa czechosłowacka kierowana przez takich przywódców partyjnych jak Dubczek i Smrkovski. Wszystkie te próby i wysiłki podejmowane w rozmaitych okresach i odmiennych warunkach historycznych i politycznych kończyły się klęską. W swojej poprzedniej odpowiedzi starał się Pan wskazać przynajmniej jedną z przyczyn tragedii czeskiej, którą upatruje Pan w niewłaściwym kierownictwie ruchu reformatorskiego. Niemniej wydaje mi się, że bolesne doświadczenie wydarzeń w Czechach wymaga szerszej odpowiedzi. Przywódcy i aktywiści czescy i słowaccy mieli już za sobą bogate i różnorodne doświadczenia innych krajów, które niewątpliwie powinny były rozszerzyć ich wiedzę o strategii i taktyce rewolucyjnej w walce z komunistyczną biurokracją i z groźbą sowieckiej inwazji. Dlatego sądzę, że niepowodzenie tych prób musi uczynić wielu liberalnych marksistów coraz bardziej sceptycznymi i coraz bardziej przyczynić się do osłabienia ich wiary w praktyczne możliwości wyjścia z zaklętego koła, jakie stworzył komunizm, a raczej jego jedyna realna siła, jaką są na Wschodzie rządzące partie komunistyczne. Wydaje się, że muszą powstać jakieś bardziej sprzyjające warunki historyczne i międzynarodowe dla powstania sytuacji rewolucyjnej dającej szanse sukcesu. Jaka jest Pańska opinia w tej sprawie?

Odpowiedź: Drugie pytanie nasuwa trzy kwestie, które w sumie stanowić mogą odpowiedź. Po pierwsze, każdy izolowany ruch wolnościowy w Europie Wschodniej zagrożony jest sowiecką interwencją wojskową. Cennym doświadczeniem ostatniego dwudziestolecia jest świadomość, że każda taka izolowana rewolta zostanie zlikwidowana, jeśli tylko czołgi sowieckie będą miały możliwość wkroczenia w granice państwa objętego ruchem rewolucyjnym. Dwa warunki wystarczają do tego, aby doprowadzić do klęski każdą rebelię we Wschodniej Europie: pierwszy — to możliwość zbrojnej interwencji bez ryzyka międzynarodowych powikłań dla ZSSR. Drugi — izolowanie rewolty antybiurokratycznej w jednym kraju. Dlatego w przyszłości każdy ruch wolnościowy przeciwko totalitarnej władzy, który zrodzi się w poszczególnym kraju, a którego materialna i militarna siła jest niezdolna do wojskowej konfrontacji z ZSSR, musi tej izolacji uniknąć. Musi szukać sprzymierzeńców wśród podobnych warstw społecznych w innych narodach Bloku Wschodniego. Akcja musi być zainicjowana wspólnie, skoordynowana i prowadzona solidarnie.

Na nieszczęście, pamiętamy, iż 14 lat temu w okresie Polskiego Października, w przeciwieństwie do Węgier, Czechosłowacja nie wsparła ruchu demokratycznego. Gorzej, Czesi odegrali wówczas negatywną rolę. Natomiast po 12 latach byliśmy świadkami odwrotnego zjawiska. Rewolucja czeska spowodowała wrogą postawę Polski i Węgier, zapewniając ich aktywne uczestnictwo w inwazji wojsk Paktu Warszawskiego. Przy tej okazji Związek Sowiecki wykorzystywał antagonizmy i wszelkiego typu animozje w obrębie Bloku Wschodniego, żeby zapewnić sobie solidar-

ność pozostałych rządów komunistycznych w zduszeniu naszego ruchu rewolucyjnego. W przyszłości powinniśmy wobec Sowietów starać się zastosować tę samą taktykę, jaką oni stosują wobec nas. Musimy zjednoczyć antybiurokratyczne siły socjalistyczne w całej Europie Wschodniej. Jestem przekonany, że po doświadczeniach roku 1956 i 1968 nie tylko Czesi, Słowacy, ale Polacy, Węgrzy i Jugosławianie uświadomią sobie ostatecznie, że izolowane ruchy rewolucyjne muszą skończyć się klęską.

Druga kwestia. Tragiczny rezultat Polskiego Października, węgierskiej rewolucji i czeskiej rebelii uwarunkowane były tym, że dotychczas armia sowiecka mogła zawsze i bez przeszkód interweniować zbrojnie w Europie Wschodniej (oczywiście poza Jugosławią i Albanią, chronionymi położeniem geograficznym — dop. Redakcji). Niemniej sprawa ta pozostaje w przyszłości otwarta. Czy czołgi sowieckie będą w stanie w ten sam sposób interweniować w warunkach rozwijającego się konfliktu z Chinami w ciągu najbliższych 10 lub 20 lat? Myślę, że dotychczasowe powodzenie eksperymentu rumuńskiego, ściśle biorąc to, że Rumunia uniknęła sowieckiej interwencji wojskowej było spowodowane napięciem i zaostrzającymi się konfliktami na granicy chińsko-sowieckiej. W tym wypadku nie Nixon, ale Mao Tse-tung był tym, który uchronił Ceaucescu przed losem Dubczeka. Im bardziej Związek Sowiecki będzie uwikłany w konflikty ze swym potężnym wschodnim sąsiadem, tym bardziej nadzieje na powodzenie rebelii przeciwko dyktaturom biurokracji komunistycznych w Europie Wschodniej będą rosły.

Trzecia uwaga, która nasuwa się w związku z doświadczeniami czeskimi: powinniśmy zapytać się najlepszego nauczyciela — Historii, co powinniśmy w przyszłości czynić. Myślę, że sprawy Europy Wschodniej należy traktować w kategoriach bardziej ogólnoświatowych. My — Polacy, Czesi, Słowacy winniśmy pojmować patriotyzm inaczej niż go rozumiano w XIX wieku. Dotychczas traktowaliśmy przyszłość naszych narodów w kategoriach zbyt lokalnych, żeby nie rzec prowincjonalnych. Postaram się wyjaśnić moje stanowisko bliżej. Kraje nasze — Polska, Czechosłowacja i Węgry odzyskały niepodległy byt w sytuacji historycznej raczej dość wyjątkowej w latach 1918-19, gdy po I Wojnie Światowej nastąpiły nie często powtarzające się wydarzenia. Wydarzeniami tymi były jednoczesne osłabienie dwóch wielkich mocarstw: Niemiec Wilhelmińskich, na skutek klęski wojennej i Rosji, rozdartej Rewolucją i porażką militarną. Dzięki temu te dwa potężne czynniki, wpływające od wieków na losy Wschodniej Europy, straciły możliwość kontroli nad tą strefą świata. Właściwie dzięki tylko tej dość wyjątkowej sytuacji, którą przyniósł wynik I Wojny Światowej, obydwa nasze kraje mogły istnieć jako suwerenne państwa w latach 1919-1938.

W momencie, gdy Niemcy hitlerowskie odzyskały swą dawną potęgę, ta, sprzyjająca naszej suwerenności, równowaga sił przestała istnieć, a Czechosłowacja została okupowana, po czym nastąpiły dalsze znane wydarzenia. Natychmiast po roku 1945 na

czoło osłabionej i podzielonej Europy wysunęła się Rosja jako drugie najpotężniejsze mocarstwo świata i z tą chwilą szanse na utrzymanie suwerenności naszych krajów praktycznie zmalały niemal do zera. Rzeczywistością ostatnich 180 lat, z wyłączeniem krótkiego okresu międzywojennego, gdy kraje nasze były albo podzielone przez zaborców jak Polska albo stanowiły w całości część monarchii austro-węgierskiej jak Czechy i Słowacja, był fakt, że dominującymi i narzucającymi swą politykę narodami w tej części świata byli Niemcy i Rosjanie. Dlatego od roku 1945 powinniśmy byli ostatecznie zrozumieć, że miejsce naszych narodów — miejsce narodów małych, o ile chcą zachować suwerenny byt, jest w federacji.

Idea federacji krajów Europy Wschodniej nie jest czymś nowym. Promotorem jej był Tito w pierwszym okresie powojennym. Była to w istocie droga, która mogła stworzyć szansę historyczną dla narodów naszej strefy geograficznej. Dlatego właśnie Stalin, który sens tej idei dobrze zrozumiał, usunął Jugosławię z tak zwanego obozu socjalistycznego, odrzucając propozycję jakichkolwiek federacji. Wiedział doskonale, że związek 120 milionów obywateli, tworzących unię krajów Europy Wschodniej, mógłby skutecznie przeciwstawić się rosyjskiemu szowinizmowi i imperializmowi; że potrafiłby on obronić skutecznie swą własną niezależną politykę i neutralność.

Pytanie 3: W przekonaniu redakcji *Kultury* zjednoczony front robotników i inteligencji jest nieodzownym warunkiem, zarówno obecnie jak i w przyszłości rozpoczęcia jakiejkolwiek akcji przeciwko komunistycznej biurokracji, ponieważ ani inteligencja i studenci ani robotnicy, działający z osobna, nie będą w stanie podważyć fundamentów totalitarnego systemu. Z drugiej strony, rządy komunistyczne, świadome niebezpieczeństwa takiego przymierza, czynią wszystko, aby zabezpieczyć się przed sojuszem robotników i inteligencji, co ułatwia im charakter kontroli sprawowanej w systemie totalitarnej władzy. Jakie w związku z tym, są według Pana, możliwości utworzenia takich frontów inteligencji zawodowej, studentów i robotników w krajach Europy Wschodniej i jakie praktyczne kroki należy podjąć celem zjednoczenia tych warstw przeciwko komunistycznej biurokracji?

Odpowiedź: Sądzę, że istotnie wspólny front inteligencji, studentów i robotników jest fundamentalnym warunkiem jakiejkolwiek walki wymierzonej przeciw totalitarnej dyktaturze komunizmu. Rozumiem też stanowisko sceptyków, którzy zdają sobie sprawę jak łatwo jest w warunkach wszechkontroli organów państwowych taki ruch wyśledzić i zniszczyć w zarodku. Pomimo jednak ogromnych trudności — i tu wracam ponownie do doświadczeń czeskich — należy uprzytomnić sobie, że masowy ruch rewolucyjny zrodził się w kraju, który przez 20 lat był obiektem surowej kontroli i presji organów bezpieczeństwa; gdzie młodzież poddawana była bezustannym zabiegom wychowawczym, wtłaczającym do głowy ideologię partyjną. Mimo to właśnie ta młodzież domagała się przede wszystkim swobód i socjalistycznej demokracji, stając w pierwszych szeregach walczących z totalitarnym reżymem. Jest to zjawisko, w które w istocie trudno wie-

rzyć. Niemniej jest ono faktem. Dlatego mamy prawo, między innymi, spodziewać się, że i w samym Związku Sowieckim będą potężniały coraz bardziej szeregi ludzi przeciwstawiających się komunistycznej dyktaturze. Nie ma w tym żadnego paradoksu, jeśli się stwierdzi, że dyktatura jest nie tylko źródłem ucisku, ale zgodnie z prawami historii — tworzy siły społeczne walczące z presją dyktatorskiego reżymu. Tak było w przeszłości i tak jest obecnie. Oczywiście państwa kapitalistyczne i ustroje dyktatorskie XIX stulecia różnią się od systemów totalitarnych doby współczesnej, których wszechobejmująca władza i kontrola są nieporównywalne z dawnymi reżymami policyjnymi. Niemniej nie można wytłumaczyć i pojąć demokratycznego ruchu ludowego w Polsce, na Węgrzech i w Czechosłowacji, który doprowadził do przejściowego upadku systemu totalitarnego i paraliżu organów ucisku inaczej, jak słabością współczesnych ustrojów biurokratycznych oraz ukrytą siłą i dynamiką buntu żyjącej w tych krajach ludności.

Załamania się systemów totalitarnych miały miejsce na tle sytuacji wyjątkowych, niemniej były one faktami. Nikt nie spodziewał się, że w roku 1968 właśnie Czechosłowacja, ten najwierniejszy satelita Rosji, stanie się promotorem socjalistycznej demokracji. Dlatego sądzę, że w pewnych okolicznościach, a raczej w szczególnie sprzyjających warunkach historycznych, nawet najsurowszy reżym totalitarny może się załamać. To, co wydaje mi się szczególnie ważne, to sytuacja, w której przymierze inteligencji i robotników może doprowadzić elitę komunistycznej władzy do takiej izolacji w społeczeństwie, że zmusi ją do uczynienia pewnych koncesji na rzecz ludności. Raz wywalczone na władzy totalitarnej ustępstwo wzmacnia i aktywizuje ruch przeciwko całemu systemowi. Pierwszy krok, pierwsze ustępstwo pod presją mas jest kamieniem, który porusza lawinę. Wiemy, że w górach lawinę spowodować może pojedynczy głos człowieka. Nic więc dziwnego, że intelektualiści swoim zbiorowym głosem protestu spowodowali reakcję lawinową w społeczeństwie czechosłowackim. Dlatego obcy mi jest sceptycyzm. Jeśli dobrze zrozumiemy historię, jeśli pojmiemy kierunki rozwoju w ZSSR, dojdziemy do wniosku, że rozwój cywilizacyjny tego kraju musi zmobilizować coraz szersze kręgi ludności przeciwko elicie władzy sowieckiej. Elita ta zresztą zmienia się wraz z przemianami, którym podlegają narody Związku Sowieckiego. Nowe kadry partyjne, zasilające organy władzy, będą musiały mieć większe zrozumienie dla wiedzy i technologii, a nie mogąc lekceważyć przedstawicieli nauki, na których coraz bardziej opiera się ich potęga, zmuszone będą do coraz większych ustępstw. Nie możemy tego oczekiwać zbyt rychło. Nie możemy w szczególności spodziewać się szybkiego zwycięstwa nad ustrojem totalitarnego ucisku, niemniej mamy powody oczekiwać powstania nowych warunków historycznych i wynikających z nich trudnych obecnie do sprecyzowania odmiennych sytuacji politycznych. 20 lat temu w okresie stalinowskiego apogeum, nikt w istocie nie oczekiwał zmian, które

przyszły w epoce Chruszczowa. Sądzę, że po neostalinowskiej epoce Breżniewa jakiś nowy „Chruszczow" może pojawić się na sowieckiej widowni i to niekoniecznie w okolicznościach takiej aktywizacji mas ludowych jaka towarzyszyła działalności Dubczeka i czeskich reformatorów. Niemniej dopuszczam możliwość zaakceptowania bardziej liberalnej polityki przez przyszłe kierownicze czynniki KPZS. Sądzę, że rozwijający się konflikt z Chinami skłoni Związek Sowiecki i Europę Wschodnią w kierunku praktykowania bardziej liberalnej polityki, przy czym właśnie my Polacy, Czesi, Słowacy i Węgrzy powinniśmy ten chińsko-sowiecki antagonizm wykorzystać dla naszych celów.

Z dużą satysfakcją czytałem książki Leszka Kołakowskiego, Czesława Miłosza, a w szczególności manifest pisany przez Kuronia i Modzelewskiego. Wydaje mi się, że kierunki polskiej socjalistycznej myśli reformatorskiej wzmocnione doświadczeniami ruchu demokratycznego w Czechach będą rozprzestrzeniać się na całym obszarze Europy Wschodniej i że ewentualny sojusz inteligencji i robotników tych krajów będzie mógł w przyszłości przeciwstawić się z powodzeniem brutalnej sile Sowietów. W ten sposób może powstać całkowicie nowa sytuacja polityczna w tej części świata.

Chciałbym obecnie ująć w kilku punktach doświadczenia czechosłowackiego eksperymentu. W skrócie przedstawiają się one następująco:

Wniosek pierwszy: demokratyzacja czeska różniła się od wielu poprzednich ruchów rewolucyjnych. Była to rewolucja, która rozwijała się w ramach społeczeństwa socjalistycznego. Innymi słowy, była to rebelia polityczna skierowana nie przeciwko systemowi socjalistycznemu, ale przeciwko odhumanizowaniu ustroju demokracji socjalistycznej rządami totalitarnej władzy biurokratycznej. Tego typu rewolucja, której przykładem były wydarzenia czeskie, nie miała do końca okresu stalinowskiego historycznego precedensu. Choć rewolucja ta nie przyniosła sukcesu, dała nowe bogate doświadczenie. Jest ona symptomem tego, że ruchy rewolucyjne naszej epoki nabrały nowego charakteru.

Drugi wniosek: rewolucja spowodowana była między innymi chronicznym kryzysem ekonomicznym, a więc sytuacją, w której społeczne stosunki wytwórcze nie nadążały za rozwojem technologii, doprowadzając do antagonizmu między możliwościami, jakie otwiera przed produkcją współczesna nauka a hamulcami jakie stwarza system władzy społecznej. W obliczu analogicznych antagonizmów stają zresztą wszystkie państwa komunistyczne.

Wniosek trzeci: współczesne ruchy rewolucyjne spowodowane są nie tylko niezaspokojonymi materialnymi potrzebami społeczeństw i kryzysami ekonomicznymi dawnego typu. Świadomość rewolucyjna rodzi się również na gruncie potrzeby przywrócenia swobód, zmiany dotychczasowego stylu życia i ogólnej atmosfery politycznej, przytłaczającej obywateli państw komunistycznych. Można by stwierdzić, że czynnikiem dominującym w rebeliach, u których podłoża mogą być problemy materialne, są cele bardziej

idealistyczne, wykraczające poza sferę codziennych potrzeb ludności.

Wniosek czwarty: ruch demokratyczny jest rebelią zmierzającą do zmian strukturalnych w państwie. Ruch ten stawia sobie za cel zmianę instytucji i organizacji państwowych. W efekcie, doprowadza do okresowego zahamowania czynności niektórych organów państwa, powodując częściowy paraliż systemu totalitarnego, który nie jest jeszcze wprawdzie rozbity, ale którego niektóre funkcje ulegają zawieszeniu. System załamuje się całkowicie, ale nie w formie nagłej, ale w wyniku rozwijającego się procesu, który doprowadza do stopniowej atrofii jego najważniejszych instytucji.

Wniosek piąty: ruchy izolowane, rozwijające się w granicach jednego kraju, nie mają perspektyw sukcesu. Warunkiem zwycięstwa jest rozszerzenie ruchu poza granice państwa, w którym się zrodził. To czego potrzebujemy — to międzynarodowego poparcia naszych celów.

Wniosek szósty: interwencja wojskowa powstrzymała proces demokratyzacji i reformy, żadną miarą nie zahamowała jednak ani kryzysu ekonomicznego, ani fermentu społecznego rozwijającego się w kraju. Przeciwnie, te dwa kryzysy uległy dalszemu pogłębieniu. W konkluzji: zbrojna interwencja nie jest w stanie rozwiązać ani politycznych ani ekonomicznych problemów. Po interwencji i okupacji kraju, konieczność reform strukturalnych odczuwają wszyscy; nie tylko intelektualiści, ale również pozostałe warstwy. W ten sposób inwazja przeciwko Czechosłowacji przyczyniła się jedynie do zaostrzenia istniejących fermentów. Na zakończenie chciałbym uzupełnić moje wnioski stwierdzeniem, że w sytuacji potęgującego się kryzysu rola biurokracji partyjnej jest nie tylko kontrrewolucyjna. Nie będąc zdolną do kierowania ludnością, biurokracja komunistyczna staje się agentem i kolaborantem wojskowej machiny Związku Sowieckiego. Partia komunistyczna i komuniści dopuszczają się w tych warunkach zdrady interesów mas pracujących i inteligencji — innymi słowy — całego narodu. Ostatnia uwaga, którą chciałbym się podzielić z czytelnikami *Kultury:* Jeśli demokratyczno-socjalistyczne prądy nie zwyciężą, jedynym wyjściem dla biurokratycznej władzy komunizmu pozostanie faszyzm. To jest przyszłość, która czeka ludy Związku Sowieckiego i Europy Wschodniej, jeśli ruchy, przywracające elementarne swobody ludności nie utorują sobie drogi w tych krajach. Z goryczą muszę strawestować słynną leninowską formułę, którą zastosować należy obecnie w innym kontekście historycznym. „Faszyzm — jako ostatnie stadium komunizmu". Czy faszyzm ma być przyszłością Wschodniej Europy i Związku Sowieckiego? Amerykanie lądują na księżycu, a rosyjskie czołgi okupują centrum Europy — Pragę. Reszta jest milczeniem.

Wywiad z prof. Ivanem Svitakiem przeprowadził dla *Kultury*
Zbigniew BYRSKI

Czerwiec 1970 roku

Socjalizm w Polsce

1. Jaki ustrój panuje w Polsce?

Istnieje pilna potrzeba ustalenia poglądów na ustrój panujący obecnie w Polsce, na jego istotę, charakterystyczne właściwości i tendencje rozwojowe. Bez tego nie można ani zrozumieć prawidłowo tego co się dzieje, ani wyznaczyć dróg postępowania.

Sporo już rzeczy prawdziwych i wnikliwych napisano o ustroju Polski i ustrojach takich jak polski[1]. Są to jednak ujęcia ułamkowe. Często aż dziwne, dlaczego z oczywistych faktów autorzy nie wyciągają wniosków. Ciągle brakuje opartej na faktach syntezy. Dżilas pierwszy zaczął mówić prawdę, ale nie dał dotąd systematycznej charakterystyki tego typu ustroju. Kuroń i Modzelewski mają jasną myśl krytyczną, ale ich wnioski i projekty naprawy graniczą z utopią. Najjaśniejszy i najpełniejszy jest Bieńkowski. Ale i on zatrzymuje się w pół drogi. A zdawałoby się, że właśnie jako marksista mógłby poprowadzić rozumowanie do końca i wyciągnąć z niego wnioski. Trudno się powstrzymać przed zacytowaniem jego własnych słów: „... jest groźnym objawem, kiedy zwyczajni ludzie trzeźwiej oceniają zjawiska społeczne od marksistowskich specjalistów" (str. 46 odsyłacz). Niestety ten groźny objaw jest niemal regułą. Marksiści nic istotnego nie umieją powiedzieć o ustroju, który został zbudowany w imię Marksa.

Fakty niezbędne dla określenia natury ustroju panującego

1. Nie próbuję tu dać bibliografii zagadnienia. Wspominam tylko prace mające największe znaczenie dla oceny sytuacji w Polsce. Wiele słusznych punktów można by wybrać z prac publikowanych na Zachodzie, ale tam systematycznego, całościowego spojrzenia jeszcze bardziej brak niż w pracach pisanych w krajach „socjalizmu".

w Polsce są powszechnie znane. Przypomnieć tu warto tylko niektóre, a mianowicie te, które charakteryzują sposób w jaki sprawowana jest władza. Rządzi Partia. Oczywiście nie ogół członków Partii, tylko Biuro Polityczne i aparat Komitetu Centralnego wraz z sekretarzami wojewódzkimi. To grono rządzące jest nieusuwalne, odnawia się w istocie rzeczy przez kooptację i nie podlega krytyce. Władza, którą sprawuje jest ustawodawcza, wykonawcza i sądowa. Partia bowiem (jak to trafnie zauważa Bieńkowski) działa poza i ponad obowiązującym systemem prawnym. Konstytucji nikt nie traktuje poważnie. Wybory są fikcją. Posłuch władzy jest zapewniony przez aparat policyjny, który przenika wszystkie dziedziny życia. Kontrola nad informacją uniemożliwia kształtowanie się opinii społecznej. To wszystko nazywa się dyktaturą proletariatu, ale w rzeczywistości masy pracujące nie tylko nie sprawują żadnej dyktatury, ale są pozbawione wszelkiego wpływu na rządy, a nawet nie mają żadnej możności obrony swoich interesów.

Opis to bardzo sumaryczny, ale każdy kto żyje w tym ustroju wie, że taka właśnie jest prawda. Nie chodzi tu o szczegółowy opis, lecz tylko o elementy pozwalające odpowiedzieć na pytanie: co to za ustrój, który ma takie właściwości? *Czy to jest jakiś rodzaj socjalizmu?*

Według Marksa socjalizm jest ustrojem, który nastąpić musi po upadku kapitalizmu. W kapitalizmie prywatna własność środków produkcji prowadzi do wyzysku proletariatu przez burżuazję. Nieuchronny proces rozwoju sił wytwórczych prowadzi jednak do rozkładu tego ustroju. Nastąpić musi po nim ustrój, w którym środki produkcji staną się własnością mas pracujących i będą używane w ich interesie. W ustroju tym nastąpi prawdziwa wolność i demokracja, bo masy pracujące będą miały nie tylko wolność osobistą i polityczną, ale także władzę nad środkami produkcji. Tak Marks widział socjalizm. Element wolności uważał za tak bardzo istotny dla tego ustroju, że myślał nawet o możliwości zamierania państwa, które traktował jako aparat przymusu.

Wielu twierdzeń Marksa nie da się obecnie utrzymać, ale jego zasadnicza teza, że kapitalizm musi ustąpić ustrojowi, w którym gospodarka będzie prowadzona w interesie całej ludności, a nie tylko wąskiej klasy posiadaczy, znajduje dobitne potwierdzenie w rozwoju współczesnego świata. Elementy socjalizmu, które stopniowo zyskują na znaczeniu mogą mieć w praktyce różną postać, ale niemal bez wyjątku ukształtowały się pod wpływem marksowskiej koncepcji socjalizmu. Dlatego też najwłaściwiej jest uważać za socjalizm to, co pod tym terminem rozumiał Marks.

Gdy zdamy sobie więc sprawę, co jest istotą ustroju socjalistycznego, odpowiedź na nasze zasadnicze pytanie musi być negatywna. *Ustrój istniejący w Polsce nie jest żadnym socjalizmem.* Z socjalizmu zachował tylko relikt instytucjonalny: państwową własność środków produkcji. Jest to jednak bez znaczenia, bo tej instytucji brak treści społecznej. Nie chodzi przecież o slogany, ale o fakty. Ustrój ten jest zaprzeczeniem tego, co Marks uważał za socjalizm i o co walczył.

Marksiści krajów „socjalistycznych" pierwsi powinni byli to zauważyć i wołać na alarm, że Marks został zdradzony. Wiemy jednak, że wbrew oczywistym faktom, powtarzali posłusznie frazesy o tym, jak wspaniałe sukcesy odnosi socjalizm w Związku Sowieckim. Dopiero ostatnio niektórzy z nich zaczynają *dostrzegać* niepokojące *objawy,* ale przecież właśnie od nich należałoby oczekiwać *wyjaśnienia procesu,* który do tych objawów doprowadził i wskazania sił społecznych, które determinują kształtowanie się ustrojów takich jak sowiecki i polski i określają ich przyszły rozwój.

Chyba jeszcze bardziej zdumiewający był brak zrozumienia procesów społecznych zachodzących w Związku Sowieckim i fałszywa ocena istoty budowanego tam ustroju ze strony intelektualistów Zachodu, zarówno marksistów jak i takich, którzy nie przyznawali się do marksizmu. Jest to wprost niesamowity przykład paraliżu intelektualnego. Rutynowani badacze zagadnień społecznych traktowali najoczywistsze fakty tak, jakby nie istniały, a jeśli nawet niektóre z nich dostrzegali, to nie wyciągali z nich żadnych wniosków[2].

W bardzo wielkim skrócie spróbuję przedstawić poniżej pogląd na istotę ustroju panującego w Polsce i na jego perspektywy rozwojowe. Będę używał kategorii analizy marksowskiej, bo nadają się one najlepiej do traktowania tego rodzaju zagadnień.

2. *Nowa formacja społeczno-ekonomiczna i nowa klasa panująca*

Panujący w Polsce ustrój powstał w drodze zwyrodnienia socjalizmu. Ściśle mówiąc ze zwyrodnienia socjalizmu w Związku Sowieckim i przeszczepienia go w tej formie na grunt polski.

Rewolucja Październikowa była autentyczną rewolucją socjalistyczną, ale grupa sprawująca władzę w Związku Sowieckim bardzo szybko przestała działać w interesie mas pracujących. W stosunku do normalnej drogi realizacji zasad socjalizmu nastąpił ruch wsteczny. Jest w nim coś podobnego do wstecznego wpływu

2. Socjologia tego zbiorowego zamroczenia jest fascynująca. Bardzo warto podjąć badania w tej dziedzinie dopóki jeszcze „na żywo" obserwować można przedstawicieli tego sposobu myślenia. Za kilka lat będzie za późno.

faszyzmu na normalny bieg rozwoju formacji kapitalistycznej. Ale faszyzm zawsze pozostał odmianą kapitalizmu. Natomiast odejście od zasad socjalizmu w Związku Sowieckim doprowadziło do stanu rzeczy, który można określić jako odrębną, nową formację społeczno-ekonomiczną.

Jest to formacja klasowa. To znaczy, że istnieje w niej klasa wyzyskująca i klasy wyzyskiwane. Każda formacja klasowa wyróżnia się właściwymi jej instytucjami, które umożliwiają zjawisko wyzysku. W niewolnictwie niewolnik jest własnością pana, musi pracować na rozkaz pana i nie ma żadnych praw do owoców swojej pracy. W feodalizmie chłop pańszczyźniany przywiązany do ziemi pana pracuje na niej i spełnia powinności, które wynikają z jego przynależności stanowej. Większość produktu jego pracy przypada panu. W kapitalizmie kapitalista posiada środki produkcji a robotnik, chociaż osobiście wolny, nie ma innego sposobu zdobycia środków utrzymania prócz pracy najemnej. Mechanizm rynku działa na rzecz kapitalisty, który w postaci niskich płac zabiera robotnikowi dużą część jego produktu.

W naszej nowej formacji, którą nazwijmy *sowietyzmem*[3] robotnik i pracownik umysłowy są zatrudnieni przez państwo. Państwo określa ich warunki pracy tzn. zabiera im taką część produktu ich pracy jaką chce. Śrubę wyzysku łatwiej tu nawet przykręcić niż w kapitalizmie, gdzie każdy kapitalista działa na własną rękę. Tutaj akcja jest skoordynowana. Prócz form wyzysku właściwych kapitalizmowi stosuje się także formy wyzysku pochodzące z feodalizmu (zakaz opuszczania kołchozów) i niewolnictwa (masowa instytucja karnych obozów pracy). Ale to nie wszystko. Prócz form wyzysku przeniesionych z minionych formacji, sowietyzm stosuje ponadto swoją własną formę wyzysku, która jest dla niego charakterystyczna: jest to wyzysk przez biurokratyczne ograniczanie uprawnień politycznych i ekonomicznych mas pracujących. Robotnik w kapitalizmie był wyzyskiwany bo miał niską płacę, ale za tę płacę mógł kupić co chciał. Inaczej w sowietyzmie: żeby zaspokoić swoje potrzeby nie wystarczy zapłacić, trzeba prócz tego prosić o przydział i zasłużyć na jego otrzymanie. Mieszkań, wczasów, kuracji nie można ostrzymać inaczej. Nie można też bez specjalnego „przydziału" kupić wielu trwałych dóbr konsumpcyjnych. Oczywiście nie można wyjechać za granicę. Nie można swobodnie poruszać się po kraju. Nie można osiedlić się w stolicy itd. itd. Na to wszystko potrzeba

3. Neologizm jest w tym wypadku nieunikniony. Nowa formacja powinna być określona nowym terminem, aby uniknąć wszelkich nieporozumień. Wybrany termin, chociaż brzmi trochę chropowato, ma tę zaletę, że można go użyć we wszystkich językach. A to, że jest wzięty z oficjalnej nazwy Związku Sowieckiego słusznie przypomina gdzie ta formacja wzięła swój początek.

specjalnych zezwoleń, które państwo przyznaje rzekomo według obowiązujących przepisów, ale w praktyce zupełnie arbitralnie. Ta możność dowolnego ograniczania i przywracania swobody działania jednostki, odbierania i przywracania jej uprawnień, stanowi skuteczny instrument nacisku państwa na obywatela. Przepisy regulujące uprawnienia i obowiązki obywatela są bardzo liczne, niezmiernie skomplikowane i sformułowane niejasno, co pozwala władzy na ich dowolną interpretację. W praktyce jednostka jest zdana na łaskę biurokracji. Może albo otrzymać wszystkie przywileje albo być prześladowana a nawet uznana za przestępcę.

System ten jest formą wyzysku bo ogranicza zakres w jakim jednostka może korzystać z owoców swojej pracy a jednocześnie jest uciskiem bo ogranicza jej wolności obywatelskie. Połączenie tych dwóch elementów jest charakterystyczną cechą sowietyzmu.

Dla pełnego obrazu tej formacji brakuje jeszcze istotnego elementu a mianowicie klasy wyzyskującej. Mówiliśmy dotąd, że państwo stosuje wyzysk wobec mas pracujących. Ale państwo to instytucja. Musi ono działać na czyjąś korzyść, muszą istnieć konkretne osoby prosperujące na wyzysku innych. Nie trudno zidentyfikować tę klasę. Jeden ze sposobów jej określenia to danie odpowiedzi na pytanie: „kto nie podlega wyzyskowi"? Okaże się, że jest taka klasa, do której biurokratycznych ograniczeń się nie stosuje. Gąszcz przepisów, przez które nie mogą przebrnąć zwykli ludzie, dla tej klasy nie istnieje. Członkowie tej klasy mogą sobie wybierać najlepsze mieszkania, wczasy krajowe spędzają w zarezerwowanych dla nich lub nawet specjalnie budowanych pensjonatach, paszporty i wyjazdy zagraniczne są do ich dyspozycji na zawołanie, odrębny system lecznictwa troszczy się o ich zdrowie (nie ma tu braku łóżek w szpitalach ani braku leków zagranicznych), o przydziałach samochodów i innych trwałych dóbr konsumpcyjnych i o specjalnych sklepach nawet nie warto wspominać. Ciekawe jest natomiast, choć oczywiście zupełnie logiczne, że z brakiem ograniczeń ekonomicznych (tj. brakiem wyzysku) łączy się również brak ograniczeń wolności osobistych (tj. brak ucisku). Nieprawomyślne książki konfiskowane na poczcie rozdawane są członkom tej klasy, a chwalenie się czytaniem *Kultury* (za co zwyczajni ludzie idą do więzienia) jest, a przynajmniej było do niedawna, jednym ze znaków, po których można było rozpoznać członków tej klasy. Znaków tych zresztą nie brakuje. Uderzająca jest cyniczna otwartość z jaką stawia się ich ponad prawem i obsypuje wyłącznymi przywilejami w ustroju, który ma pretensję do nazywania się socjalistycznym[4].

4. O tym, że taka klasa istnieje powszechnie wiadomo od czasu głośnej książki Dżilasa na ten temat. A jeszcze dawniej genialnie scharakteryzował

Teraz tylko należy wyjaśnić kim są ci ludzie, na których spływa tyle łask ze strony państwa. Okazuje się, że ich rdzeń to rządzący aparat partyjny i ci, którymi bezpośrednio ten aparat się posługuje, a więc „góra" biurokracji państwowej i „technokracji" kierującej przedsiębiorstwami. Wszystko staje się jasne. Ta klasa, która rządzi, sama sobie przyznaje przywileje. Dokładnie tak jak się dzieje i musi się dziać w każdej formacji opartej na wyzysku.

Klasie tej należy nadać nazwę. Wybranie trafnego terminu nie jest łatwe. Po rozważeniu różnych możliwości[5] proponuję nazywać ją „burżuazją aparatczykowską[6]". Podkreśla to związek tej klasy z aparatem partyjnym i sowietyzmem jako formacją społeczno-ekonomiczną, a jednocześnie jej charakter jako klasy wyzyskującej. W odniesieniu do Polski będę używał zamiennie terminu „właściciele Polski Ludowej", nadając mu to samo znaczenie.

Burżuazja aparatczykowska ma interesujące cechy. Stanowić by mogła fascynujący przedmiot studiów socjologicznych i to szczególnie dla socjologów marksistowskich, bo pozwoliłoby to im zaobserwować klasę wyzyskującą w stadium powstawania i krzepnięcia. Tutaj możemy tylko po krótce wskazać na główne jej cechy.

Nie należy sądzić, że w skład burżuazji aparatczykowskiej wchodzą wszyscy członkowie Partii. Bardzo do tego daleko. Ogromna większość członków Partii należy do klas wyzyskiwanych a tylko przez przynależność do Partii deklaruje gotowość służenia interesom wyzyskiwaczy. Uderzające jest, że przynależność do tej klasy daje się bardzo precyzyjnie określić. Nie ma tu szerokiego marginesu, takiego jak między drobnym kapitalistą a producentem drobnotowarowym, gdzie przynależność klasowa dużych grup ludności jest niejasna. Granica między aparatczykowską burżuazją a innymi klasami jest ostro zarysowana. Przypomina granicę pomiędzy chłopstwem a szlachtą w feodalizmie. Pochodzi to prawdopodobnie stąd, że jednym z kryteriów przynależności jest korzystanie z biurokratycznych przywilejów, a te łatwo się instytucjonalizują: ostatecznie sprawa sprowadza się do tego, czy komuś jakiś przywilej przysługuje czy nie, czy ktoś jest na jakimś rozdzielniku czy nie jest. A to są sytuacje zupełnie jednoznaczne.

Interesująca jest także ostrość z jaką świadomość przynależności występuje wśród jej członków. Przejawia się to w sposobie ich zachowania się. To właśnie wskutek ich sposobu bycia mądrość ludowa nadała im miano „właścicieli Polski Ludowej[7]".

Z poczucia przynależności do wyższej klasy i z faktu korzystania z przywilejów wynika ekskluzywność. Właściciele Polski Ludowej stanowią zamknięte w sobie środowisko. Ten system powoduje brak kontaktu a więc i zrozumienia spraw nie będących sprawami klasy. Ten przedział jest konsekwentnie przestrzegany i w żadnym razie nie można go uznać za dzieło przypadku. Przynależność do burżuazji aparatczykowskiej staje się stopniowo dziedziczna. Jest to naturalny wynik ekskluzywności. Oficjalnie propaganda nieostrożnie się do tego przyznała pisząc o „bananowych dzieciach".

Wszystkie te cechy składają się na klasyczny obraz klasy panującej, strzeżącej zazdrośnie swoich przywilejów i pogardzającej klasami wyzyskiwanymi.

Możemy także stwierdzić istnienie innych zjawisk społecznych charakterystycznych dla społeczeństwa klasowego. Funkcjonowanie klasy panującej powoduje powstawanie specyficznych grup społecznych od niej uzależnionych. A więc przede wszystkim zostaje utworzony aparat ucisku. Wiemy do jak wielkiego znaczenia doszedł on w stalinizmie (Bieńkowski to doskonale opisał, nie wchodzimy więc tu w szczegóły). Dalej mamy grupę sykofantów klasy panującej: są to ludzie, którzy chociaż sami nie są członkami tej klasy, służą jej wiernie dla korzyści, które otrzymują. Awansowani do klasy panującej rekrutują się najczęściej właśnie z tej grupy. Można powiedzieć, że grupa ta spełnia zadania propagandy i informacji (czy dezinformacji), bardzo szeroko rozumianej. Do tej grupy należą zwerbowani intelektualiści, literaci, artyści, prawie wszyscy dziennikarze, filmowcy, pracownicy radia i telewizji. Jeszcze jedna grupa, mniej ważna, ale charakterystyczna, to „pieszczochy Polski Ludowej". Spełnia ona także rolę propagandową, ale nie przez chwalenie władzy, tylko przez to, że łaski udzielane

ją Orwell. Kuroń i Modzelewski nazwali ją „Centralną polityczną biurokracją" i to oni sformułowali trafne i sugestywne twierdzenie, że środki produkcji są zbiorową własnością tej klasy. Sformułowanie to doskonale oddaje istotę rzeczy, bo chociaż formalnie środki produkcji nie należą do tej klasy, faktycznie sytuacja jest taka jakby rzeczywiście do niej należały.

5. „Nowa klasa" Dżilasa jest zbyt ogólnikowa. „Centralna biurokracja polityczna" Kuronia i Modzelewskiego brzmi precyzyjnie ale jest przydługa, a poza tym, chociaż klasa ta wytwarza się rzeczywiście wokół centralnej biurokracji politycznej, to jednak nie jest z nią identyczna. „Czerwona burżuazja" przywodzi na myśl socjalizm, kiedy powinniśmy podkreślać, że nie mamy tu do czynienia z formacją socjalistyczną. Ze wszystkich najlepsza jest nazwa spontaniczna od dawna nadana tej klasie w Polsce: „właściciele Polski Ludowej". Niestety nie można jej przyjąć jako terminu o powszechnym zastosowaniu.

6. Może w skrócie *aparatczina?* Brzmi to nawet sugestywnie i może nawet nie szkodzi że z rosyjska, ale chyba zbyt brzydko i nie bardzo zrozumiale.

7. Nikt, kto mieszka w Polsce nie ma trudności w odróżnieniu właścicieli Polski Ludowej od zwykłych ludzi i to na pierwszy rzut oka.

przez władzę tej grupie, mają przedstawić władzę w korzystnym świetle (tj. wprowadzić w błąd klasy wyzyskiwane). Ta grupa to sportowcy i aktorzy.

Bardzo ciekawa jest w tym systemie rola inicjatywy prywatnej. Wymaga ona dokładnego zbadania. To co tu powiem o jej roli odnosi się wyłącznie do Polski, bo w Związku Sowieckim inicjatywy prywatnej właściwie nie ma (prócz działek przyzagrodowych, które mają inną specyfikę), a o innych krajach demokracji ludowej nie mam dość informacji. W polskim modelu prywatna inicjatywa jest ustawiona w taki sposób, że nie może funkcjonować bez nadużyć różnego rodzaju. Zachodzi więc pytanie, dlaczego toleruje się jej istnienie, szczególnie, że nie dopuszcza się jej tam, gdzieby mogła być pożyteczna (np. żywienie zbiorowe, niektóre usługi), a zezwala się na jej rozwój tam, gdzie, jak się zdaje, nikomu nie przynosi pożytku. Oto możliwe wyjaśnienie tej zagadki: klasa aparatczykowskiej burżuazji zapewnia sobie wysoką stopę życiową przez system przywilejów, o których była mowa. Ale nie posiada wysokich dochodów pieniężnych i wskutek tego ma niską zdolność akumulacji majątku. Prywatna inicjatywa tutaj znajduje swoje uzasadnienie. Ponieważ zawsze działa na granicy przestępstwa, a często wyraźnie przekracza prawo, musi kupować sobie tolerancję za łapówki dla średnich i niższych szczebli aparatu partyjnego i w ten sposób przyczynia się do bogacenia pewnych grup burżuazji aparatczykowskiej. Dotyczy to szczególnie prowincjonalnego aparatu partyjnego, który siłą rzeczy ma mniejszy dostęp do ekskluzywnych przywilejów rozdawanych w Warszawie[8].

3. Zasady funkcjonowania sowietyzmu

Przedstawiliśmy powyżej w głównych zarysach zasadnicze elementy potrzebne do zrozumienia istoty i zasad funkcjonowania sowietyzmu jako formacji społeczno-ekonomicznej. Wiemy już, że sowietyzm to formacja klasowa powstała drogą zwyrodnienia socjalizmu, w której klasą wyzyskującą jest burżuazja aparatczykowska.

8. Nadużycia i kradzieże przybrały zresztą takie rozmiary, że stały się zagadnieniem gospodarczym w skali krajowej, po prostu jedną z cech charakterystycznych sowietyzmu. Stają się one nawet czasem przedmiotem badań naukowych. Ale takie badania wymagają ostrożności i dyskrecji. Istnieje wyraźna tendencja do tuszowania nadużyć, w które wmieszany jest średni i wyższy aparat partyjny. Pamiętamy także, że czasopismo *Po Prostu* zostało znienawidzone przez aparat partyjny i w końcu rozwiązane (w 1957) przede wszystkim za to, że konsekwentnie demaskowało dwie właściwości ustroju: wyzysk robotników w sektorze państwowym i nadużycia wojewódzkiego i powiatowego aparatu partyjnego.

Masy pracujące a więc robotnicy, chłopi i inteligencja utrzymywani są w tej formacji na niskim poziomie stopy życiowej. W stosunku do robotników i inteligencji następuje to poprzez niskie płace. W stosunku do chłopów przez niekorzystne dla nich warunki skupu ich produktów. Oprócz wyzysku tymi metodami, które są zbliżone do metod kapitalizmu, istnieje dodatkowo wyzysk metodą charakterystyczną dla sowietyzmu a mianowicie poprzez „biurokratyczne ograniczenia". Są one jednocześnie formą wyzysku ekonomicznego i ucisku politycznego, szczególnie uciążliwą dla wyzyskiwanych i uciskanych a wprost nie do zniesienia dla tych, którzy są świadomi stosunków panujących w innych formacjach.

Burżuazja aparatczykowska jest klasą, która w tej formacji jednocześnie panuje politycznie i czerpie korzyści ekonomiczne z działalności produkcyjnej gospodarki narodowej. Korzyści te realizuje ona częściowo przez pobieranie płac wyższych niż klasy pracujące, ale głównie przez system darmo lub pół darmo przyznawanych przywilejów; uzupełnia swoje dochody nielegalną eksploatacją prywatnej inicjatywy.

Mimo wyższych płac i wszystkich przywilejów, z których korzysta klasa panująca w sowietyzmie, różnica poziomu jej konsumpcji z konsumpcją klas wyzyskiwanych nie jest aż tak wielka jak to bywa w innych formacjach (wczesnym kapitalizmie i feodalizmie). Klasa panująca jest też stosunkowo bardzo nieliczna. Stąd też część dochodu narodowego konsumowana przez tę klasę nie jest mimo wszystko duża. Zdawałoby się, że z tego powodu wyzysk nie powinien być zbyt wysoki, bo nawet stosunkowo niewysoka stopa wyzysku powinna wystarczyć dla zapewnienia wysokiego poziomu konsumpcji klasy panującej. Tymczasem wyzysk ciągle jest bardzo dotkliwy. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że *w interesie burżuazji aparatczykowskiej leży utrzymanie niskiego poziomu życiowego mas pracujących z powodów politycznych.* Ludność utrzymywana na niskim poziomie życiowym jest bardziej potulna. Przynęta drobnych przywilejów działa skuteczniej na biedaków. Łatwiej więc jest rządzić. W systemie, gdzie wyzysk i ucisk są nierozdzielne, jest to wzgląd o decydującym znaczeniu. Nie dąży się więc naprawdę do podniesienia stopy życiowej mas. Deklaracje na ten temat starają się zamydlić oczy zainteresowanym, ale wszyscy widzą jasno, że produkcja rośnie a stopa życiowa się nie podnosi. Ogólnie znane fakty potwierdzają tę prawdę. Należy je tylko systematycznie przedstawić.

Wyzyskowi podlegają inteligencja, chłopi i robotnicy, ale mechanizm tego procesu i argumentacja, która mu towarzyszy jest w każdym wypadku odmienna.

Polityka pauperyzacji inteligencji przez niedopuszczanie do

podwyżek płac i ograniczanie jej możliwości zarobkowych jest powszechnie znana. Nie wolno jednak o niej dyskutować.

Sprawę niedopuszczenia do podniesienia stopy życiowej chłopów dyskutuje się natomiast jawnie: nazywa się to „zapobieżeniem przechwytywania dochodu narodowego przez sektor indywidualny". Znajduje to wyraz w planach i bieżącej polityce gospodarczej. Ale bez wielkiego skutku. Rozwój gospodarki pociąga za sobą w sposób samoczynny wzrost stopy życiowej chłopów. Jest to jedyny znaczniejszy wzrost stopy życiowej, który w gospodarce polskiej zachodzi, ale dzieje się to *wbrew* zarówno hasłom jak i faktycznej polityce państwa, które mimo czynionych wysiłków nie umie tego wzrostu całkowicie wyeliminować.

Utrzymywanie stopy życiowej robotników na niskim poziomie jest, przeciwnie jak najbardziej zamaskowane. Głosi się hasła poprawy bytu robotników, ale w praktyce na nich właśnie spada największy ciężar wyzysku. Oni mają najniższe płace, a także do nich stosuje się dyscyplinę płac, podwyższanie norm a ostatnio nawet stwarzanie sytuacji grożącej bezrobociem. Istnieją co prawda nieliczne grupy robotników, które przekupuje się wyższymi płacami i szczególnymi przywilejami. Są to grupy, co do których zachodzi obawa, że mogłyby się organizować i protestować. Nie znaczy to zresztą, że ich stopa życiowa rośnie pokaźnie, mają one jednak poczucie, że dzieje się im lepiej niż innym.

Ta tendencja do hamowania wzrostu stopy życiowej mas pracujących ma bardzo doniosłą konsekwencję: *apartczykowska burżuazja ma negatywny stosunek do prób usprawnienia gospodarki.* Po prostu dlatego, że nie ma żadnego interesu w ich popieraniu. Jej własny wysoki poziom życiowy jest zapewniony a wzrost poziomu życiowego mas jest niebezpieczny. Najlepiej więc tak kierować gospodarką, żeby ludzie ciężko pracowali, czuli się uzależnieni od władzy, nie mieli za dużo wolnego czasu i nie uzyskiwali niezależności, którą przynosi poprawa bytu. Jeśli takie są interesy panującej *aparatczyny,* po co gospodarkę usprawniać, po co osiągać większą produktywność? Wypróbowane stalinowskie metody zarządzania doskonale spełniają swoje zadanie.

Tutaj leży rozwiązanie zagadki, dlaczego w gospodarce krajów „demokracji ludowej" panuje od lat dziwna „ogólna niemożność" doprowadzenia do końca jakiejkolwiek reformy systemu. Dlaczego ciągle zaczyna się od początku, dlaczego wszystkie usprawnienia proponowane przez ludzi zdolnych i najlepszej woli nigdy do niczego nie doprowadzają. Są one sabotowane przez ośrodki władzy klasy panującej, która działa w swoim interesie klasowym[9].

9. Najbardziej wypróbowaną metodą tego sabotażu jest obsadzanie kluczowych stanowisk w kierownictwie gospodarki narodowej przez ludzi pozbawionych wszelkich kwalifikacji. Po każdej takiej nominacji niewtajemniczeni zadają sobie pytanie, w jakim koszmarnym śnie taki kandydat mógł komuś w KC przyjść do głowy. Ale w tym szaleństwie jest metoda. Nie ma lepszego sposobu na unicestwienie każdej reformy.

Mamy tu jeszcze jeden powód, żeby sowietyzm uznać za formację wsteczną: uniemożliwia on usprawnienie gospodarki.

4. *Tendencje rozwojowe sowietyzmu*

Nie można należycie zrozumieć historycznej roli żadnej formacji społeczno-ekonomicznej, jeśli się nie zna jej tendencji rozwojowych. Jakże się więc zmienia formacja sowietyzmu i czego można oczekiwać po jej przemianach?

Przemiany te następują, jak zawsze, pod wpływem rozwoju sił wytwórczych, które popadają w sprzeczność ze stosunkami produkcji. To marksowskie prawo, w sposób uderzający, daje się zastosować do sowietyzmu i pozwala na przewidzenie jego przyszłości.

Rozwój sił wytwórczych, to coraz lepsi, bardziej fachowi, zaznajomieni z nowoczesną techniką pracownicy, to coraz lepsze maszyny i coraz sprawniejsza technologia i w rezultacie coraz wyższe możliwości produkcyjne. Stosunki produkcji to kierowanie gospodarką narodową w interesie wąskiej klasy aparatczykowskiej burżuazji przy wyzysku i ucisku innych klas. Konflikt rysuje się od samego początku. Wynika on z hamowania rozwoju sił wytwórczych przez stosunki produkcji. Była już o tym mowa, że ten proces hamowania przebiega w sowietyzmie szczególnie ostro.

Jeszcze jedna okoliczność, charakterystyczna dla sowietyzmu, która oddziaływa na przebieg tego procesu. Jest to postępująca degeneracja klasy panującej. Rewolucyjne partie komunistyczne, działające w kapitalizmie, skupiały wielu ludzi wybitnych i ideowych. Z chwilą przejęcia władzy i osiągnięcia wkrótce władzy absolutnej, do partii rządzącej zaczęli napływać masowo oportuniści, którzy w przynależności partyjnej widzieli tylko drogę do kariery. Nastąpiła negatywna selekcja, w której górę brali ludzie najbardziej bezwzględni w walce o władzę a jednocześnie pozbawieni skrupułów i jakichkolwiek przekonań a często również o nienadzwyczajnym kalibrze intelektualnym. Widzimy to jasno, gdy porównamy biuro polityczne Partii sowieckiej, którego członkami byli Lenin, Trocki i Bucharin z jego aktualnym składem. Komuniści polscy nigdy nie mieli przywódców na prawdziwie wielką miarę (nie liczymy Róży Luksemburg), ale nawet w Polsce poziom ideowy PPR z roku 1945 wyraźnie odbija od bezideowości PZPR z roku 1970. Można powiedzieć, że wraz z Bieńkow-

skim Partia straciła ostatniego ideowego komunistę. To obniżanie się poziomu grupy panującej prowadzi do coraz bardziej obskuranckiej polityki (antysemityzm w Polsce model 1968/9) i do pogłębiających się niepowodzeń w zarządzaniu gospodarką, a tym samym do zaostrzania się napięcia między rządzącymi i rządzonymi.

W związku z tym przypomnieć należy osławione twierdzenie Stalina o zaostrzaniu się walki klasowej. Niezliczoną ilość razy potępiono je jako fałszywe i cytowano jako przykład wypaczenia marksizmu. Ostatnio stanowisko takie zajął Bieńkowski. Ale czy przypadkiem krytycy się nie mylą? Przecież z tego, co powiedzieliśmy wyżej wynika wyraźnie, że w sowietyzmie *walka klasowa rzeczywiście się zaostrza:* a mianowicie *walka klasowa pomiędzy aparatczykowską burżuazją a klasami przez nią wyzyskiwanymi.* Tak więc Stalin powiedział prawdę. Tylko twierdzenie jego trzeba odnieść do innego frontu walki. Wynikają stąd ważne konsekwencje.

Jeśli zdamy sobie sprawę, że w miarę trwania sowietyzmu *zaostrza się walka klasowa,* musimy również dojść do wniosku, że prowadzi to do *narastania sytuacji rewolucyjnej.* To znaczy, że stopniowo powstają warunki do rewolucji mas pracujących przeciw sowietyzmowi w imię prawdziwego humanistycznego socjalizmu.

Jeśli spojrzymy na Wschodnią Europę, nie będziemy mieli wątpliwości, że to prawda. Oznaki ruchów rewolucyjnych widzieliśmy w różnych krajach. Brakuje im jednak ciągle świadomości, że są przedwiośniem wielkiej przemiany stanowiącej konieczność historyczną, a mianowicie rozkładu sowietyzmu jako formacji społeczno-ekonomicznej. Świadomość nieuchronności upadku sowietyzmu i zwycięstwa humanistycznego socjalizmu jest konieczna, aby podtrzymać nadzieję i wzmocnić determinację rewolucjonistów. Dlatego sformułowanie i upowszechnienie teorii upadku sowietyzmu ma ważną rolę do spełnienia.

Dotychczas wszystkie ruchy rewolucyjne we Wschodniej Europie kończyły się klęską. Jest to nieuniknione, dopóki Związek Sowiecki jest czujnym żandarmem sowietyzmu. Ale i tam sowietyzm ulega rozkładowi. I tam narasta sytuacja rewolucyjna, podobnie jak w całej Wschodniej Europie. W jakimś stadium jej rozwoju sprawa rewolucji socjalistycznej otrzyma także poparcie ze strony ruchów narodowo-wyzwoleńczych uciemiężonych narodów Związku Sowieckiego. Oczywiście nie można teraz przewidzieć wypadków, które bezpośrednio spowodują rewolucję, ani w jakiej postaci i kolejności obejmie ona poszczególne kraje. Można jednak przewidzieć, że rozwój sytuacji musi do niej doprowadzić. Potęga militarna Związku Sowieckiego nic tu nie pomoże. Trawestując powiedzenie Lenina można powiedzieć, że rewolucja stanie się nieunikniona, gdy uciśnieni przestaną się bać a zaczną się bać uciskający. Wiemy wszyscy z historii, że tak upadł carat. I tak właśnie kiedyś upadnie sowietyzm. Niestety nie prędko.

5. Sytuacja w Polsce

W Polsce sytuacja rewolucyjna jest mniej zaawansowana niż w innych krajach „demokracji ludowej". Bezpośrednią przyczyną tego stanu rzeczy jest niski poziom ideowy i moralny PZPR. Znane są przyczyny (patrz Bieńkowski), które sprawiły, że komunizm nigdy nie znalazł prawdziwego poparcia w Polsce międzywojennej. Później najlepsi zostali wymordowani przez Stalina. Po wojnie napłynęła do Partii fala bezideowych oportunistów. Dlatego wewnątrz PZPR nigdy nie było skutecznej reakcji przeciw stalinizmowi, który przecież musi budzić wstręt w każdym ideowym socjaliście. Dlatego tak łatwo udało się zlikwidować Październik, dlatego studenci w Marcu nie znaleźli poparcia w organizacjach partyjnych, dlatego udało się rozniecić antysemityzm, dlatego stała się możliwa hańba interwencji w Czechosłowacji.

Porównanie z Czechosłowacją, a zapewne także z Węgrami i Rumunią wypada bardzo na naszą niekorzyść. Wśród aktywistów wydarzeń marcowych było co prawda wielu partyjnych. Należeli do Partii Kołakowski, Kuroń i Modzelewski, którzy pierwsi podnieśli protest przeciw sowietyzmowi. Ale były to nieliczne jednostki. Chociaż należeli do Partii, nie znaleźli w niej oparcia; byli buntownikami i tak zostali potraktowani.

Aby zrozumieć dlaczego aktywną rolę w Wypadkach Marcowych odegrali i musieli odegrać członkowie Partii, musimy sięgnąć do drugiej, głębszej przyczyny marazmu politycznego w Polsce. Jest nią opłakany stan polskiej inteligencji, bez której aktywnego udziału rozwój idej rewolucyjnych nie jest możliwy.

Bohaterskie pokolenie tych, którzy teraz mają około pięćdziesiątki, straciło swych najlepszych przedstawicieli na polu walki, uległo osłabieniu przez emigrację, a w końcu zostało nieludzko zmaltretowane w „okresie błędów i wypaczeń". Jest to pokolenie wraków życiowych, które przeprasza, że żyje. Mówię tu o masie tego pokolenia. Pomijam nielicznych, którzy zaawansowali do aparatczykowskiej burżuazji i tych jeszcze mniej licznych, którzy nie dali za wygraną.

Pokolenie czterdziestolatków, to pokolenie jedno z najgorszych, jakie Polska miała w swojej historii (są tu także oczywiście wyjątki, ale bardzo nieliczne). We wczesnej młodości wykolejone

przez wojnę, później drapieżnie starające się nadrobić stracone lata, zdemoralizowane stalinowskimi metodami wychowania, żądne korzyści osobistych i cyniczne. To w tym pokoleniu funkcjonariuszy partyjnych (odmiennie niż w Czechosłowacji) hasła socjalizmu z ludzką twarzą, głoszone przez młodzież, nie znalazły żadnego oddźwięku. To z tego pokolenia rekrutują się entuzjaści antysemityzmu. Dla sprawy rewolucji to pokolenie jest bezwartościowe.

Można więc liczyć dopiero na pokolenie, które obecnie ma lat 20 do 30. Ono musi wziąć na siebie przygotowanie rewolucji w Polsce. Pewnie zajmie mu to całe życie, tak jak przez całe życie pierwsze pokolenie PPS-owców przygotowywało niepodległość. Na tej długiej drodze Wypadki Marcowe 1968 są być może pierwszym krokiem o historycznym znaczeniu. Jeśli okaże się to prawdą, jakże wielkim symbolem staje się fakt, że wszystko się zaczęło od „Dziadów" Mickiewicza.

Dotychczas najczynniejszymi przedstawicielami młodego pokolenia byli członkowie PZPR. Wielu z nich nie tylko było członkami Partii, ale należało do aparatczykowskiej burżuazji. Należąc do uprzywilejowanej elity mniej się bali, mieli więc możność swobodniejszej dyskusji, łatwiejszy dostęp do zagranicznych materiałów, większą możliwość podróżowania, a przede wszystkim nie byli pogrążeni w nędzy, frustracji i beznadziejności, która jest atmosferą wielu rodzin inteligenckich należących do klasy wyzyskiwanej.

Sytuacja jednak ulega zmianie. Masa studencka biorąca udział w Wypadkach Marcowych była bezpartyjna a wykazała solidarność i jednolitą postawę polityczną. Ruch nie objął jeszcze wszystkich studentów, ale można mieć nadzieję, że nauka tej dotkliwej klęski nowego ruchu rewolucyjnego nie pójdzie na marne, lecz przyczyni się do wzrostu świadomości rewolucyjnej mas najpierw studenckich a potem robotniczych.

Rola partyjnych w tym ruchu będzie się szybko zmniejszać. Nie dlatego, że kto się do tego ruchu przyłączy, będzie oczywiście usuwany z Partii, ale dlatego, że stopniowo coraz mniej wartościowych młodych ludzi będzie wstępować do Partii (zgodnie z zasadą degeneracji partii w sowietyzmie). Aktywiści marcowi to prawie ostatni z rozczarowanych. Walkę więc przejmą bezpartyjni, ale oczywiście będą to bezpartyjni socjaliści bo ich celem będzie zwycięstwo prawdziwego, humanistycznego socjalizmu. Tylko bowiem socjalizm z ludzkim obliczem może w Polsce uruchomić siły rewolucyjne i tylko dzięki niemu Polska może odzyskać niepodległość.

Taka jest istota systemu panującego w Polsce i tak się rysują możliwości jego obalenia. Jest rzeczą ogromnej wagi, żebyśmy wszyscy zdali sobie sprawę z tego, w jakim ustroju żyjemy i jaka jest natura sił, które nas uciskają i wyzyskują. Żebyśmy również uświadomili sobie, że ustrój ten nie musi trwać wiecznie i że nasza wytrwała i celowa działalność może przyspieszyć jego upadek.

Tego, co tu napisałem, nie mogłem ogłosić w Kraju, ale nie wątpię, że słowa te do Polski dotrą i mam nadzieję, że zostaną zrozumiane i przyjęte przez tych, którzy nie utracili jeszcze nadziei.

Jan DREWNOWSKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Jan DREWNOWSKI ur. w 1908 w Wilnie. Od 1918 mieszkał w Warszawie, gdzie ukończył studia i habilitował się w 1938 jako docent ekonomii politycznej w Szkole Głównej Handlowej. Studia podyplomowe w Londynie 1933-35.

Wziął udział w kampanii wrześniowej jako ppor. rez. Dwukrotnie ranny, do 1945 r. w oflagu. Po wyzwoleniu oficer łącznikowy przy Brytyjskim Zarządzie Wojskowym Niemiec z przydziałem do 1 Dyw. Panc. Wrócił do Polski w lutym 1946.

Po powrocie został dyrektorem departamentu w Centralnym Urzędzie Planowania i profesorem gospodarki planowej w SGH. W lipcu 1946 wstąpił do PPS. Na tzw. procesie CUP w 1948 przeciwstawiał się stalinizacji polskiej gospodarki, po czym zostaje zwolniony z CUP, usunięty (po połączeniu partii) z PZPR, pozbawiony kierownictwa katedry i prawa wykładania i kolejno usuwany z coraz bardziej podrzędnych stanowisk w szkolnictwie wyższym.

W okresie Października 1956 przywrócony na niektóre stanowiska akademickie i mianowany członkiem Komisji Planowania i Rady Ekonomicznej, ale już w 1959 znowu pozbawiony kierownictwa katedry ekonomii.

W 1961 został profesorem w University of Ghana a w 1964 przeszedł do pracy w ONZ. Od 1967 znowu szykanowany przez odmowę przedłużania paszportu i naciski mające skłonić ONZ do zwolnienia z pracy. Tylko wskutek nieustępliwości ONZ w sprawie utrzymania ważności już zawartego kontraktu uzyskał przedłużenie paszportu do czasu ukończenia pracy w ONZ, po czym odmówiono mu zezwolenia na dalszy pobyt za granicą.

Od września 1969 objął stanowisko profesora planowania ekonomicznego i społecznego w Institute of Social Studies w Hadze i wkrótce potem zgłosił się do władz holenderskich jako uchodźca polityczny.

Balon

Przyjechałem tam już jesienią. Do pensjonatu podwiózł mnie fiakier, wiktoria w jednego konia, jak w mieście, tyle że góral-dorożkarz w cyfrowanych portkach i kapeluszu z muszelkami przysiadł bokiem jej kozioł i to na niego zdałem się gdzie się tu zatrzymać. Podwiózł mnie do niewielkiego pensjonatu już na stoku Gubałówki, nie targowałem się o pokój, zresztą miało to być tylko na parę dni, a już po sezonie i do tego zaczął wiać halny.

W pensjonacie ulokowałem się na prędce, zniosłem dosyć burkliwie zaciekawione jak to zawsze w pensjonatach spojrzenia na nowego przybysza. Do wspólnego stołu na kolację mnie przypuszczono, ale na szczęście byłem nic ciekawego, to mi dali spokój. Tylko tam ze sobą pogadywali, już tym tam pensjonarskim, umówionym językiem-żargonem, kiedy to porozumiewa się skrótami, wyślizganymi w codziennej śniadaniowo-obiadowej, werandowej mowie, te same przekomarzania się czy docinki, *lingua franca* kuracjuszy. Ale grunt że dali mi spokój, spenetrowawszy od razu obcego, niezgrabiasza, nudziarza i już.

Przez okna widać było jak z wału górskiego zstępowały dymy, kurzawa mgieł, chmur pędzonych od południa przez halny. Dudniły od podmuchów dyle ścian i gonty dachu i łopotały jakieś źle zabezpieczone żaluzje i okiennice i smreki koło domu drgały i dygotały pod uderzeniami wichru. Wiatr był duszny i ciepły i chciał wdrzeć się do domu, który postękiwał pod tym dobijaniem się. Zdawało się że szczelinami, szparami wdziera się i że napompowuje wnętrze wzmożonym ciśnieniem, że od tego dom puchnie i nadyma się i za chwilę dźwignie się z posad, fundamentów, murowańca piwnicy i pociągnie nim po stoku, pochyłości, zawadzając o drzewa, głazy i słupy przewodów, jak zerwanym z uwięzi balonem.

Porównanie z tym balonem napatoczyło mi się z bezwiednie

podsłuchiwanej rozmowy przy kolacji, rozmowy pomiędzy stołownikami pensjonatu. Ktoś lamentował że halny, a więc nowa przeszkoda i zwłoka w przedsięwzięciu o którym gazety rozpisywały się od dosyć dawna. Bo to tu miało się to odbyć, tutaj dla jakichś tam względów dowodzonych i argumentowanych wybrano miejsce startowe, i to na ten właśnie temat toczyła się przy kolacji rozmowa. Jak to zwykle w takich okolicznościach zdania były podzielone, już ktoś z uporem i zapałem dowodził swego i powoływał się na takie i owakie autorytety, meteorologiczne, fizyko-geograficzne, sezony. A że akurat w Dolinie Kościeliskiej? No tak, zaciszne, dolina, a więc jakby naturalna zasłona, stoki zalesione, gdzie tylko sporadycznie z południowego zachodu wieje „orawski", ale proszę bardzo, żadne to wydmuchowisko jak u dołów, gdzie zawsze może być kapryśnie z tą pogodą, a tu wiadomo czego należy się spodziewać. A halny to nic? zrywa się oponent, o proszę, posłuchajcie jak duje, tego przecież zawsze można się było spodziewać, a co za siła, niech się Föhn alpejski schowa. Na to ktoś inny zaczął się popisywać znawstwem wszystkich innych mistralów, sirocco, samumów, chamsinów, Gregale wiejącego z północo wschodu, mówił o huraganach, tornadach i cyklonach, jakichś tam passatach i monsunach, a o purdze kazachstańskiej słyszeliście? Na to klasyk wyjechał z Eurocyklodonami, boreaszami, zefirami, całym tym antycznym workiem eolskim wiatrów. A inny znowu o stratosferze, biosferze, jonosferze, promieniach kosmicznych, profesorze Piccard czy Amerykanach co to startując w Południowej Dakocie w hermetycznie zamkniętej kuli podwieszonej u długiego, pończoszastego worka balonu sięgnęli gdzieś tam ileś tam zawrotnych dziesiątek tysięcy metrów wysokości. Wszystko to było tylko lat temu czterdzieści przed rakietami, pojazdami przestrzennymi, orbitami, tym czym dzisiaj jesteśmy już znudzeni i zblazowani do mdłości.

Ale słuchało mi się tego nieuważnie, piąte przez dziesiąte.

Wybrałem się do miejsca gdzie ostatni raz ją widziałem, słuchałem jej żywej. Bo już jej nie było więcej. Gdzieś odeszła, zapadła się w nicość, w czeluść która rozdziawia się przed nami wszystkimi. Wszyscy tam trafimy, czy myśląc o tym czy odpychając myśl o tym, czas obecny, codzienny pozwala nam łaskawie zapomnieć o czekającej nas nicości. Była — nie ma jej. Była, i już jest gdzieś poza, tylko oglądnąć się wstecz i zacierają się rysy, kształty, cień jej. Może wydawało się tylko że była, że żyła, oddychała, śmiała się, płakała, marzyła, mówiła. No i nie mam jej i może była tylko przywidzeniem?

Kiedy to było? W jakieś miesiące po tym wszystkim. Pchało mnie by te góry zobaczyć z bliska, bo kiedy ją tam przedtem odwiedzałem to na krótko, zawsze na parę dni. A teraz chciałem

zobaczyć kształt tych gór, których sylwetka na zawsze odbiła się w jej oczach. Może by sprawdzić że nie były one takim jak ona mamidłem, że nie zabrała ich ze sobą, że nie były tylko przywidzeniem i już, że jak tam przyjadę to nie będzie pusto i nijako, jakby zrolowano jakieś dekoracje teatralne i wywieziono z całym cyrkowym bagażem, larami i penatami. Czyż to nie chowali w kurhanach tych jakichś scytyjskich ludzi, z ich całym dobytkiem, garnkami, kobiercami, utensyliami, bransoletami, bronią, końmi, psami, wozami, nałożnicami i służbą, i dzieci ich w ich dziecinnych przybraniach, koralikach, z ich dziecinnymi zabawkami. Chciałem sprawdzić czy Nietota nie zabrała ze sobą wszystkiego tego co było jej zabawą i pasją, przyzwyczajeniem, codzienną sukienką, książką, drobiazgiem, skarbem, pamiątką, otaczającego ją świata.

Skąd Nietota? To nie z Brücknera, o którym już była mowa, ani też uchowaj Boże z tego takiego młodopolskiego poety i dramatopisarza, co to sposobem młodopolskim koncypował wielkie poematy, a także na modłę młodopolską odkrywał i zachłystywał się jak to oni Tatrami. Bo Tatry wiadomo były dla Młodej Polski rezerwatem natchnień, uniesień, ekstaz, odkryć, ale przeważnie to przesiadywali oni jednak po knajpach zakopiańskich albo po willach dorobkiewiczów gdzie sobie inteligencja znachodziła wakacyjne siedziby. Tenże Tadeusz Miciński napisał coś co nosiło tytuł niebylejaki bo aż „Nietota, Księga Tajemna Tatr". Nigdy tego nie miałem w ręku i nie próbowałem, musiało to być coś na kosmiczną skalę, napisane z wielkimi ambicjami, ale gdzie mnie tam do tego. Owszem i „Kniaź Patiomkin" z flagą czarną, a także, jakże to tam było? „Chryste Panie — W konie!" Owszem bardzo zgrabny wierszyk, nie ma antologii liryki polskiej ażeby go tam nie było. Był ten Tadeusz Miciński taki sezonowy, szanowna feldmanowska „Krytyka" krakowska nawet go sobie zmonopolizowała, ale już jest zapomniany. Tylko przypomniał mi się niesamowity, tragiczny koniec tego poety. Gdzieś na Kresach, w czasie końcowego chaosu po tamtej pierwszej wojnie, było tak, o czym dochodziły groźne słuchy, relacje niekompletne, że gdzieś ten Tadeusz Miciński jechał, pewnie takim kresowym traktem, mogę to sobie wyobrazić, jakimś wynajętym zaprzęgiem, skądś, z jakiegoś może dworu gdzie zdarzyło mu się pobytować, czy z miasteczka, pewnie w drodze na jakąś stację kolejową, typowo, po inteligencku, zawsze bez miejsca, zawsze przenoszący się w miejsce inne. No, i nawet mogę sobie wyobrazić że gdzieś na jakimś wygonie wsiowym, zdziczali przez wojnę chłopi wyciągnęli go z sań i zatłukli kłonicami za to że był taki inny.

Niech więc będzie Nietota. O swym tu życiu opowiadała mi, niewiele z tego zapamiętałem. To było towarzystwo młodych, jak

ona, i wesołe. Bo u gruźlików te stany gorączkowe, rumieńce suchotnicze na twarzy i organizm w stanie fizjologicznego alarmu sobie rekompensuje, stąd podnieceni i wyprawia się brewerie, buntuje wobec nakazów lekarzy, grywa do późna w karty, sporadycznie urządza się jakąś młokosowską pijatykę. Tylko że przychodzi blade rano i w szlafroku czeka się w kolejce na „wysłuchanie" przed ambulatorium, z poczuciem winy że czytało się coś porywającego do dobrze popółnocnych godzin. No i nie ma ucieczki od diet, brania temperatury, zastrzyków, odmy, od nasłuchiwania jak na sąsiedniej werandzie ktoś głucho kaszle i odpluwa, a tak, nawet jak to w „Czarodziejskiej górze" Manna przyjęła się tam nazwa Błękitnego Henryka, kieszonkowej spluwaczki z niebieskiego szkła, a „Zauberberg" już dobrze sobie przewertowali, zblazowani, że „bujać to my a nie nas...".

Tylko jeden był tam taki, opowiedziała mi kiedyś, co to po naukowemu, systematycznie sam zabrał się z postanowieniem, że on przetrzyma, że się nie da, a że to technik, racjonalny, matematyczny, więc narzucił sobie z zacięciem i przekonaniem nakaz: jak gruźlica krtani to nie odzywać się. I nie odzywał się. W pasiastym szlafroku, w wielkim jak koło kapeluszu, ze stosem skryptów technicznych na pledzie, na leżaku, odgrodził się i zamknął w sobie, nie odzywał się tygodniami do ludzi, że to ma postanowienie i żelazną wolę wyzdrowienia, nie dania się, po naukowemu, po inżyniersku. I pewnie dotrzymał danego sobie słowa, wydrwił się, wymigał, wiedział czego chciał, kiedy tak samolubnie, skoncentrowanie, z pasją, z zamysłem uczepił się życia.

◆

A potem, kiedy już się tyle zapomniało, to zacząłem odtwarzać ją sobie z fikcji. Pojawiała się, przychodziła w najbardziej realistycznie budujących się sytuacjach, nie we śnie czy marzeniu ale tak jakby to było naprawdę. W sytuacjach nie z przeżycia ale wymyślonych, uzurpujących sobie prawo do jakiejś rzeczywistości.

Bo czym jest zapatrzenie się wstecz? Można by to przyrównać do tego kiedy się prowadzi samochód, a równocześnie patrzy w lusterko, wstecz, ku przejechanej drodze, na której wszystkie znaki, szczegóły uciekają, pomniejszają się, zatracają kształt, nikną, a że do tego odwrócone więc tym bardziej nas mamią tą swoją odwrotnością. Jeszcze chwilę temu widzieliśmy je tuż przed sobą, nadbiegające, nowe, nieoczekiwane, nieznane dotychczas, a teraz, przez mgnienie oka przelatujące obok nas tak wyraziste, a teraz już ledwie zapamiętane, bo cisną się nowe i nowe, więc te znajome wydawałoby się tak bliskie już są poza nami. Ale dopomaga nam pamięć, jakieś sprzężenia myśli, błysk czegoś podobnego do

innego już dawniej poznanego, a do tego jak zawsze wysnuwa się w nas nasz własny kłębek myśli, automatyzm doznania, i z tą spontanicznością nowych zjawisk komponuje się to nam w świat osobny, nieprawdziwy, nieistniejący naprawdę. Bo jakżeż to wszystko zależne jest także od stanu naszego samopoczucia, od wpływu jaki na nas może mieć, jak to uczenie nazywa się? Akcja hormonów wydzielania, od tego jak trawimy czy jak odbywa się w nas proces metaboliczny, albo może nas zaświerzbi, zaswędzi naskórek, nasze poczucie równowagi zachwieje się od jakiegoś innego bodźca, bo samochód bierze jakiś wiraż, przeleci nam po oczach cień drzew, nadleci jakieś bez związku wspomnienie, odwróci uwagę nic nie znaczący szczegół widziany kątem oka i już jest inaczej i nasz obraz przeszłości wykrzywia się, olbrzymieje albo maleje, raz widzimy ją jak pod lupą, gdzie każdy włos czy krosta czy zgrubienie naskórka urastają do rozmiarów szczegółów surrealistycznego pejzażu, albo odbiega znowu i karleje, niby nawet bardziej wyraziście ale jakby patrzeć przez odwróconą lornetkę. Tak, tak, nie uchwyci odbiegłego czasu, nie odtworzy tego co działo się przed paru minutami czy przed ćwierćwieczem.

Oto z runów wycinanych w drzewie buku, ze znaków na korze brzozowej, z podań, latopisów, napisów rytych w marmurze (SENATUSPOPULUSQUEROMANUSDIVOTITODIVIVESPASIANIVESPASIANOAUGUSTO... z tryumfalnego łuku Tytusa), ksiąg sądowych (*„Since you have been found guilty of these horrible treasons, the judgement of the Court is that you shall be had from hence to the Tower of London, there to remain until the day of execution and from there you shall be drawn upon hurdle to the place of execution, there to be hanged and cut down alive, and your body shall be opened, your heart and bowles plucked out and your privy members cut off and thrown into the fire before your eyes then your head to be stricken off and your body shall be divided into four quarters to be disposed at the King's pleasure. And God have mercy on your soul...*" z sentencji wyroku jaką usłyszał Sir Walter Raleigh), z napisów nagrobkowych („Tu leży pochowana nieśmiała Sara, córka... Zmarła w drugim dniu Święta Purim, w roku... ery narodu żydowskiego. Oby duchem pozostała wśród żyjących..." na szajbecu starego kirkutu z czasów tureckiego panowania w Budzie) wyczytana z dwudziestotomowej Historii Papieży Pastora czy wyzgadywana z zatartych na pieniążkach, miedziakach, szelągach, obolach, tynfach, groszach, denarach znaków, profili, symbolów odtwarza się nam przeszłość. Powolny, statyczny obraz-widmo jej, w miarę jak czas historyczny dochodzi naszej teraźniejszości wspina się ku górze, wierzchołkowej nieartykułowanych spraw dziejących się w tej właśnie chwili, w ich chaotycznym tumulcie który

nie podobna ogarnąć, którego ni pojąć ni uporządkować, kiedy zgrzyt, pisk, wstępujący dysonans, spazm spraw dziejących się w tej chwili ogłusza nas i wierci nam w uszach dojmującym crescendo. Ale tu zaczyna przechodzić na powrót w jednostajny pogłos czasu biegnącego w przyszłość, opadająca symetrycznie amplituda, tak samo odchodząca jak przyszła, odchodząca w niewiadome, w świat nadziei, oczekiwania, niosąc ufność w spokój, porządek i symetrię dziejących się rzeczy.

Kiedyś, za czasów wojny, w Anglii, zdarzyło mi się stanąć w hotelu, takim tamtejszym wielkim hotelu kolejowym, będącym jakby przedłużeniem poczekalni dworcowej. W jednym z setek numerów tego olbrzyma-hotelu gdzie zatrzymałem się na jedną noc, znalazłem współgościa. Był to Polak, młody podporucznik, który co tylko przyjechał z Bliskiego Wschodu, przyniosło go tutaj i gdzieś był w drodze do jakichś przeznaczeń. Był to bardzo młody człowiek, zresztą nijaki, pospolity, blondynowaty. Jedynym co w nim było pociągającego była młodość. Kiedyśmy się na tym jednonocnym postoju zgadali, to dowiedziałem się że na Bliski Wschód przedarł się z Rosji, przebierając się z jakiejś Workuty czy innego kraju za kołem polarnym, gdzie przyszło mu przed zwolnieniem, w wielostopniowym mrozie, po pachy w śniegu, rąbać sosny arktyczne. Z niechętnie przywoływanych wspomnień dowiedziałem się od niego czym jest to kiedy o głodzie, skąpo wydzielanych racjach, kiedy „cynga" i „ponos" i „kurza ślepota" nocy polarnej, jak to wychodziło się popędzanym na kwartały do powalania drzew. Powtarzam, mówił o tym niechętnie, zbywał mnie ciekawego, bo miał to za sobą, nawet nie pozował się na męczennika, nawet nie tryumfował że jemu to udało się wymigać, bo był młody, a starsi marli tam dziesiątkami. Nie chciał mówić o tym, bo miał to za sobą. Co uderzyło mnie u tego przypadkowego współlokatora na jedną noc w hotelowym pokoju to jego pęd, krok, zapatrzenie się w przyszłość. Parł ku tej przyszłości zziajany, zachłystujący otwierającą się przed nim drogą.

Nawracam do nękającej mnie myśli: co też ona przemyśliwała w swej samotności kiedy ogłoszono jej wyrok, w zasumowaniu, goryczy, trwodze, terrorze przed śmiercią, przed nicością. Wydaje się aż świętokradczym podrabiać cudze myśli, przypisywać niedołężnie tak samotnej, tak strwożonej własne elukubracje, podpatrywać z daleka i z innego czasu. Jedno jest pewne. Nie przeliczała w palcach lichych pieniążków, niewytartych monet niedługiego życia. Nie zabierała ze sobą niczego, zostawiała to za sobą, odepchnęła już niewarte, byłe, zapomniane i poszła w nowe, obiecujące, przyszłe, jak tamten młody żołnierz.

◆

Chciałem się wybrać jej śladem, przez Zawrat i Klamry do Morskiego Oka. Nie Morskiego Oka, bo to nazwa wymyślona przez tych tam młodopolskich poetów, nazywało się przecież naprawdę Rybie Jezioro. Te cepry to wszystko poprzekręcali, tak mi się wydaje, zrobili z tych z Podhala jakieś plemię Mohikanów, te wszystkie cyfrowane portki i parzenice, styl zakopiański, ciupagi, nawet obsadki do piór w kształcie ciupagi, cuhy, „oscypki", bryndza, beczą im te barany i owce nawet mową góralską. A to plemię przechytrze umiało tylko te „dudki" z ceprów wyciągać, a za to, za owe, dobrze popić czystej i wyborowej, a także wypisywać temu z Krzeptowskich co to ich na Goralenvolk chciał przerobić: „Wacuś, bedzies wisioł za cóś...".

No to idę! „Cała dolina moja!".

Nie pamiętam. Może była to Olczyska, bo to w tamtą stronę, stronę Kuźnic szło się do Pięciu Stawów Polskich, czyż nie? Może mi ktoś z bywalców, co to mu znane, pomoże, bo dla mnie było to obce. Potem wstępowało się na jakiś garb, wał, kamienistą ścieżką, las smrekowy zaczynał rzednąć, zrobiło się przestronniej, ze zwartych kolumn lasu reglowego jodły rozsypały się luzem, już stoją pojedynczo, od południowo-zachodniej strony obsmyczone „orawskim" wiatrem.

Teraz na potęgę duł halny. Pchany nim z góry zstępował ścieżką ktoś w kim bliżej rozpoznałem juhasa pewnie idącego z hali z dwiema bańkami mleka. Ten wyglądał już całkiem miastowo, na głowie miał cyklistówkę a na nogach narciarskie buty. Ale mijając mnie pośpiesznie rzucił w mą stronę po staremu:

— Hej, wiera, halny! Bo ponem ciśnie...

Nie dałem się temu odwieść od zamiaru, i pchając się do góry, dla dodania sobie animuszu przepowiadałem sobie zasłyszane ze sceny pierwsze strofy dramatu Calderona:

Tyżeś sprzęgnięty w parę z wichrem
bajecznym hipogryfem?
Bezblaskim gromem, bezpiórym ptakiem,
bezłuską rybą?
Tyżeś dziwolągiem czterech żywiołów,
zbytym instynktu co by pohamował
ten pęd na złamanie karku?
Kędyż, wpośród labiryntowej pustki skał
ponosisz rozbiegany koniu?

Dobrze mi się dostało za tę pretensjonalną egzaltację. Bo kiedy znalazłem się na garbie, z szarugą leżących na nim chmur przyszedł nagle prawdziwy poryw wichru. Ciął piargiem i toczył

kamieniami wielkości pięści ludzkiej. Przypadłem do ziemi i już dosłownie na czworakach zacząłem schodzić drogą powrotną.

◆

A na dole, już w pensjonacie, kiedy pakowałem swoje manatki musiałem jeszcze nasłuchać się niebylejakich lamentów. A stało się to poprzedniego wieczoru. Zapadła jakaś decyzja i miał nastąpić start niewczesny. U baterii wielkich cylindrów ze sprężonym gazem odkręcono wentyle i rozpoczęło się napełnianie sflaczałej na ziemi powłoki balonu stratosferycznego, który miał przecież sięgnąć niedostępnych dotąd wysokości, sięgnąć przyszłości. Ale w przewodach doprowadzających gaz, na skutek jakichś tarć oraz innych zjawisk towarzyszących wszelkim tego rodzaju eksperymentom, doszło do wytworzenia się fatalnej „statycznej" elektryczności, czy coś podobnego, iskra, no wszystko poszło w jednym fajerwerku.

Ten balon miał nazywać się „Polonia".

Zygmunt HAUPT

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOŚNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.2.0 lub $ 5,00, F. 25,00.

Obserwatorium

Doświadczenia syberyjskie

W artykułach pośmiertnych o Bertrandzie Russellu rzadko i tylko mimochodem wspominano jego książeczkę *The Practice and Theory of Bolshevism*, która powstała w roku 1920 i do dziś jeszcze wznawiana jest co pewien czas w Anglii. Russell przyjechał do Rosji 11 maja, a opuścił ją 16 czerwca 1920 roku. Wycieczka *Labour Party*, w której brał udział, odbywała się w atmosferze sympatii jeśli nie wręcz podziwu dla Rewolucji Rosyjskiej: *one of the great heroic events of the world's history*, czytamy o roku 1917 w *The Practice and Theory of Bolshevism*. Nie przeszkodziło to filozofowi, po miesięcznym zaledwie pobycie i w trzy zaledwie lata po zwycięstwie „wielkiego heroicznego" Października, zakonkludować: „Być może, Rosja potrzebuje twardości i dyscypliny bardziej niż czegokolwiek innego; być może, odgrzebanie metod Piotra Wielkiego jest konieczne dla jej postępu; być może, bolszewizm da się obronić jako okrutna dyscyplina, dzięki której uprzemysławia się szybko naród zacofany. Ale bolszewizm poniósł klęskę jako eksperyment komunistyczny". Do najciekawszych rozdziałów w książeczce należy opis trzech spotkań: z Leninem, Trockim i Gorkim. Gdy dwaj pierwsi zdawali się być w rozmowie z Russellem u szczytu wiary i pewności siebie, Gorkij poprosił go tylko o podkreślanie na każdym kroku „ile wycierpiała Rosja", po czym dodał że „popiera rząd nie za jego bezbłędność, ale dlatego że jakakolwiek inna alternatywa byłaby jeszcze gorsza".

Mniejsza o te wszystkie „być może", które w trybie niewarunkowym już miały się potem stać argumentem koronnym w ustach „pragmatycznych" adwokatów stalinizmu na Zachodzie. Istotna jest lapidarna diagnoza: „Bolszewizm poniósł klęskę jako eksperyment komunistyczny". Russell pośpieszył też z wyjaśnieniem, równie lapidarnym, dlaczego: „Jeśli socjalizm ma mieć szansę rozwoju, musi zostać zapoczątkowany w bogatym i kwitnącym

kraju". Tę teorię, która miała potem także zrobić karierę wśród części przynajmniej zachodnich „pragmatystów", można żywiej ująć w dwojaki sposób: „socjalizm jako najwyższe stadium kapitalizmu", albo „trzeba być bardzo bogatym żeby sobie pozwolić na luksus socjalizmu". Oczywiście jest w niej sporo prawdy, nie obcej zresztą marksistom ortodoksyjnym, ale rewolucje wybuchają niekiedy nie czekając na spełnienie się rzeczywistych bądź domniemanych praw rozwoju historycznego i gospodarczego. Tymczasem więc werdykt brzmi dość małodusznie: prawdziwy socjalizm cacy-cacy dla Anglików czy Skandynawów, a dzikie ludy na Wschodzie niech się chwilowo zadowolą stalinizmem.

Dokładnie w pięćdziesiąt lat później formuła wysnuta przez Russella z podróży do Rosji posuwa się znacznie dalej i otrzymuje swój kształt definitywny. Zeszyt poświęcony Rewolucji Rosyjskiej w *History of the 20th Century* nosi tytuł *Russia: The Non-Revolution*. Naczelny redaktor „Historii", profesor A. J. P. Taylor, tłumaczy we wstępie dlaczego „nie-rewolucja": „Tyrania Stalina pozostała niezachwiana do jego śmierci. Nie zostawił po sobie wyraźnego spadkobiercy. Ci co przyszli po nim chcieli tego samego co on. Chcieli przeżyć. Lecz brak im było jego autorytetu. Byli prawie nieznanymi biurokratami, ludźmi bez twarzy, nie ufającymi sobie nawzajem a przecież zmuszonymi do trzymania się razem. Rosja Sowiecka opierała się, i wciąż się opiera, na reputacji Stalina. Dał on Rosji żelazny fundament bezlitosnej dyscypliny, i to jest nadal jedynym źródłem władzy. Znamy nazwiska ludzi, którzy stoją na czele rządu sowieckiego. Wiemy coś niecoś o sile materialnej Rosji, nawet w dziedzinie wojskowej. Nic nie wiemy o mieszkańcach Rosji. Co myślą? Czego naprawdę pragną? Wychowano ich od najmłodszych lat w komunizmie, ale nie wygląda na to by jego idee zmieniły ich naturę. Od czasu do czasu jakaś książka czy protest publiczny wskazują, że pod powierzchnią czynne jest życie intelektualne. Nie potrafimy jednak ocenić, na ile reprezentatywni są nieliczni protestowicze. Raz jeszcze Rosjanie czekają, i tym razem nawet oni sami nie wiedzą na co". Równocześnie kończy się zabawa w „dobrego Lenina" i „złego Stalina": inny profesor, Leszek Kołakowski, pisze w artykule *The Fate of Marxism in Eastern Europe* (ogłoszonym w *Slavic Review*), że „nie ma takiej rzeczy w stalinizmie dla której nie można by znaleźć teoretycznego usprawiedliwienia w zasadach leninowskich".

Rosjanie zatem czekają i nawet sami nie wiedzą na co. Zdają się to potwierdzać sumienniejsze relacje świadków naocznych z ostatnich lat. Dla przykładu dwie: *Il diario di Mosca*, którego autor Enzo Bettiza był korespondentem prasy włoskiej w Moskwie w latach 1961-1962; i *Message from Moscow*, podpisany kryptonimem *An Observer* przez anglosaskiego pracownika uniwersyteckiego zamieszkałego w Rosji w latach 1965-1968. Bettiza biada nad „powszechnym immobilizmem politycznym", czuje w powietrzu „udrękę autokonserwacji tłumiącej wszelkie impulsy odnowy". Obserwator (nawiasem mówiąc, sympatyk socjalizmu zako-

chany w Rosji) odkrywa, że „Związek Sowiecki nie jest dziś w żadnym sensie społeczeństwem rewolucyjnym, lecz jednym z najbardziej konserwatywnych na świecie, niemal tak konserwatywnym jak imperium carskie". Do chwycenia za pióro skłoniła go, człowieka z natury niepiśmiennego, reakcja przeciętnego obywatela sowieckiego na inwazję Czechosłowacji. Najstraszniejsze było to, że pierwszego dnia zabrakło w ogóle jakiejkolwiek reakcji: życie płynęło utartym torem, jak gdyby się nic nie stało, wśród „monumentalnej apatii robotów politycznych". Komentarze uliczne odezwały się dopiero nazajutrz. Jakie? „Czechosłowacja umknęła cichaczem z obozu socjalistycznego, znalazła się na krawędzi kontrrewolucyjnej i faszystowskiej przepaści, zapomniała o swoich ogromnych długach kraju uwolnionego przez Czerwoną Armię i teraz osłanianego naszymi bagnetami przeciw groźbie NATO i odwetowców z Bonn, kraju przez nas postawionego na nogi, uprzemysłowionego i karmionego. Z jakiej niby racji Czechom, naszym podopiecznym, miałoby się powodzić lepiej niż nam? Czemuż u diabła mielibyśmy im dać to, czego sami nie posiadamy? Rozdziera się szaty nad ich losem, a nasze życie jest może słodsze?". Dla równowagi Obserwator odnotowuje głos pisarza sowieckiego w średnim wieku: „Ten kraj jest tak zacofany politycznie, tak reakcyjny i pogrążony w ciemnościach, że nie widzę realnej perspektywy zmian. Przechodzimy od brutalności do brutalności, gdyż brutalność rodzi brutalność. Drobna szczypta naszej demokratyzacji i liberalizacji w ciągu ostatnich piętnastu lat została w sposób śmieszny wyolbrzymiona na Zachodzie. Jedno wydaje się pewne — nie będzie istotnych zmian za mojego życia". Nie jest to jak widać głos optymistyczny, raczej krzyk rozpaczy, toteż w *Message from Moscow* mowa o rosnącej apolityczności a nawet antypolityczności inteligencji sowieckiej, o jej utracie wiary w socjalizm posuniętej aż do granic jawnego bluźnierstwa pod adresem nietykalnej dotąd ikony Lenina. Tylko u najmłodszych nastąpiło coś w rodzaju stwardnienia oporu i zaostrzenia postawy desperacko wyzywającej.

Wszystko to, i grubo jeszcze więcej, można również wyczytać na niewielkiej ilości stroniczek eseju Amalrika *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?*, który ukazał się obecnie po polsku w Bibliotece *Kultury* ze wstępem Adama Kruczka. Gdy książeczka Amalrika przeniknęła na Zachód, jedni podziwiali jej część pierwszą poświęconą analizie sytuacji wewnętrznej w ZSSR, kręcąc sceptycznie głowami nad „fantapolityczną" częścią drugą z prognozą nieuchronnego konfliktu zbrojnego Pekin-Moskwa i upadku Imperium Sowieckiego; inni, przeciwnie, chwalili część drugą, za niesprawiedliwą i zbyt pesymistyczną uważając pierwszą. Dla mnie esej młodego historyka rosyjskiego (którego i Kruczek i Sidney Monas w przedmowie do wydania amerykańskiego słusznie zestawiają z Czaadajewem) jest niepodzielną całością, zdumiewa właśnie mistrzostwem syntezy globalnego procesu „niedołężnienia" i „senilności" reżymu sowieckiego. Ale zgadzam się że o ile część druga wkracza w mało uchwytne i jeszcze mniej wy-

mierne rejony „futurologii", to o pierwszej da się powiedzieć sporo rzeczy konkretnych.

Mimo ostrożności i powściągliwości sformułowań (z jednym wyjątkiem o którym niżej), Amalrik jest pesymistą integralnym. Drogę pokojowego i bezbolesnego przeobrażenia społeczeństwa sowieckiego, otwartą teoretycznie (odmiana „ewolucjonizmu") przed „klasą średnią", stawia w praktyce pod znakiem zapytania pokazawszy piętrzące się na niej przeszkody. Szanse powodzenia Ruchu Demokratycznego, przy życzliwej w zasadzie ocenie jego celów, wydają mu się „zgoła problematyczne". Ukryty potencjał klas „niższych", czyli robotników i chłopów, określa jako „destrukcyjny". W posępny obraz, jak w tragedię grecką, wpisany jest kataklizm wobec którego „okropności rosyjskich rewolucji lat 1905-7 i 1917-20 okażą się idyllicznymi obrazkami".

By dojść do tak skrajnych konkluzji, trzeba mieć bardzo jednoznaczną opinię o własnym narodzie. I istotnie: ostrożny i powściągliwy Amalrik nie przebiera w sądach, nie dba o ich wycieniowanie, gdy mówi o narodzie rosyjskim. Ten „naród pozbawiony religii i moralności" wierzy tylko w swoją siłę i kieruje się tylko „świadomością siły swego reżymu, który budzi lęk w nim samym". Prawie całkowicie niepojęte są dlań idee samorządu i praworządności, w wolności widzi synonim anarchii. Wysoko za to ceni pozytywny *na pozór* ideał sprawiedliwości. Na pozór, gdyż w rzeczywistości chodzi o „najbardziej niszczący rys psychiki rosyjskiej". Rosyjska „sprawiedliwość" oznacza faktycznie pragnienie, „by nikomu nie było lepiej niż mnie" (przypominają się tu oczywiście zanotowane przez anglosaskiego Obserwatora reakcje ulicy na inwazję Czechosłowacji). Mentalność ta jest szczególnie typowa dla chłopstwa, ale też chłopi i dawni chłopi stanowią przytłaczającą większość społeczeństwa sowieckiego.

Źródła mrocznej wizji Amalrika łatwiej zrozumieć, czytając jego *Niežełannoje putieszestwie w Sibir*, książkę napisaną w latach 1966-7, czyli przed głośnym esejem, i dopiero teraz wydaną w oryginale rosyjskim staraniem amsterdamskiej Fundacji Herzena. Chociaż nużąca chwilami pedantyczną aż drobiazgowością opisu, jest to książka niezmiernie ciekawa, utrzymana w najlepszych tradycjach memorialistyki rosyjskiej, bliskiej gatunkowi który Niemcy nazywają *Bildungsroman*.

Amalrika aresztowano w roku 1965. W grę wchodziły rozmaite grzechy nonkonformizmu (interesował się półkonspiracyjnymi malarzami awangardowymi, zwłaszcza Zwierewem i Pławinskim, utrzymywał kontakty z cudzoziemcami, miał na sumieniu kilka sztuk uznanych za „pornograficzne i antysowieckie"), ale formalnie odwołano się do dekretu o *tuniejadcach*, darmozjadach, z roku 1961. Jakkolwiek pierwotnym celem dekretu wprowadzonego przez Chruszczowa było oczyszczenie wielkich miast z włóczęgów, chuliganów, nałogowych pijaków i robotników winnych chronicznego absenteizmu, przy równoczesnym zasileniu kosztem tej czystki słabo zaludnionych terenów ZSSR prawie darmową robocizną zesłańców, zaczęto go dość szybko stosować wobec „niewygod-

nych" intelektualistów. Tak pozbyto się w roku 1964 z Leningradu młodego poety Josifa Brodskiego, po procesie którego stenogram ogłosiła w swoim czasie *Kultura.*

Amalrik, zmuszony jako jedyny syn do stałego doglądania owdowiałego i ciężko chorego ojca, rozporządzał, zdawałoby się, dostatecznym wytłumaczeniem swych dorywczych zajęć. Jego batalia prawna przeciw oskarżeniu o *tuniejadstwo* zajmuje znaczną część książki. Jest bez wątpienia pouczająca, dowodzi pewnego złagodzenia arbitralności na rzecz większego poszanowania prawa, ale nie upoważnia do wniosków na wyrost, jakie wyciągnął z niej Max Hayward w słowie wstępnym do zapowiedzianego angielskiego przekładu *Podróży:* rywalizacja między milicją a KGB to trochę za mało, by zawracać sobie i innym głowę „pluralizmem biurokratycznym" jako zadatkiem „stopniowego zmierzchu post-totalitarnego". Wolno raczej zauważyć, mając w pamięci biegłość prawniczą podsądnych we wszystkich niemal sowieckich procesach ostatnich lat, że jak gdyby odżyła po niewczasie gorzka lekcja Kistiakowskiego z sympozjonu *Wiechi* o zbrodni lekceważenia norm prawa przez inteligencję rosyjską.

Autora *Podróży,* pokonanego w końcu przez „naszą sprawiedliwość która sądzi człowieka nie według jego postępków lecz po myśli oplątujących go podejrzeń", zesłano na dwa i pół roku do kołchozu w okolicach Tomska. Odbył tylko połowę wyroku, za nienaganne sprawowanie i dzięki nieustającym interwencjom przyjaciół w Moskwie. Raport o życiu w kołchozie syberyjskim, na dobrą sprawę pierwsza realistyczna opowieść o skolektywizowanej wsi sowieckiej, wypełnia resztę książki. Można tu poprzestać na wypunktowaniu. Kołchoźnicy, skrzyżowanie chłopów z robotnikami, bez minimalnej choćby świadomości przynależenia do czegokolwiek poza wymagającym i anonimowym państwem, reinkarnacja pańszczyźnianych rabów; niewydajność i marnotrawstwo, podsycane przez nawyk fatalistycznego *naplewatielstwa;* absolutny brak inicjatywy, jeśli za zrogowaciałą skórę nie załazi paląca już konieczność; zaczadzenie w oparach wódki (gdy skąpe wypłaty na to pozwalają) i samogonu (w przerwach między wypłatami); obojętność wobec wspólnego nominalnie dobytku, połączona z niewiarygodną wprost ignorancją we wszystkim co przekracza opłotki kołchozu i bydlęcego przeżuwania dnia po dniu. A na zwieńczonej tak budowli „socjalizmu wiejskiego" wiecheć wiary w siłę, nieufnego stosunku do wolności, ideału sprawiedliwości pilnującej „by nikomu nie było lepiej niż mnie" — czyli tych rysów psychiki rosyjskiej, które Amalrik skatalogował później w swoim eseju.

Obraz na pewno ścisły, pisarstwo Amalrika ujmuje w ogóle ustawiczną troską o uczciwość i precyzję. A jednak czegoś mu nie dostaje. Prawdopodobnie spojrzenia nieco bardziej w głąb, pod powierzchnię rzeczy widzialnych gołym okiem i słyszalnych gołym uchem. Młody historyk rosyjski, któremu podobałaby się jak sądzę „rosyjska" powieść Conrada *W oczach Zachodu,* bierze często skutki za przyczyny. Zapomina, na przykład, że nieufni

wobec wolności chłopi rosyjscy są w pięćdziesiąt lat po rewolucji *glebae adscripti,* ludźmi (czy podludźmi) bez paszportów. Podobnie jak Obserwator anglosaski zapomina, że rozmówki i uczucia wolnych niewolników trudno mierzyć metrem ludzi naprawdę wolnych.

Syntetyczny zarys procesu „niedołężenia" i „senilności" reżymu sowieckiego jest według mnie trafny, mniej przekonywujące wydają mi się rozważania Amalrika o narodzie rosyjskim, mimo że poparte osobistymi doświadczeniami *Niezamierzonej podróży na Syberię* (jak wszelkie zresztą generalizacje na temat „psychik narodowych"). „Kamień filozoficzny" przyszłości tkwi w prostej uwadze Kołakowskiego z wzmiankowanego wystąpienia na łamach *Slavic Review:* „Monopol władzy nie może być usunięty 'częściowo'. Oto dlaczego jedynie realne zmiany na lepsze w takich systemach mogą nastąpić w drodze mniej lub więcej gwałtownych kryzysów, które wymagają niezwykłych zbiegów okoliczności i wymykają się planowaniu z góry". Przewidywaniom, sondażom i planowaniu z góry wymykają się też „zbiorowe dusze" narodów chwilowo, delikatnie mówiąc, półoniemiałych.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

ZESZYTY HISTORYCZNE

Poświęcone najnowszej historii Polski i krajów środkowo-europejskich, wychodzą regularnie od 8-miu lat, dwa razy do roku. Napływ materiałów oraz zainteresowanie Czytelników sprawiają, że Instytut Literacki chciałby przekształcić *Zeszyty Historyczne* z początkiem 1971 roku na kwartalnik. Ażeby to zrealizować trzeba nam 1500 *nowych* prenumeratorów.

Roczna prenumerata *Zeszytów Historycznych* jako kwartalnika wynosiłaby: F. 60 (dol. 12; £. 5.00.00). Prenumeratorzy *Kultury* nadal będą korzystali z 25 % zniżki.

O tym czy projekt nasz będzie mógł być zrealizowany i czy *Zeszyty Historyczne* od przyszłego roku ukazywać się będą jako kwartalnik — poinformujemy Czytelników na łamach *Kultury* w numerze grudniowym.

Archiwum polityczne

Chińczycy poza Chinami

Wszyscy pamiętamy tzw. *roll back policy*, którą głosił John Foster Dulles. Polacy na emigracji łączyli z tą doktryną wielkie nadzieje a wielu oczekiwało wojny przeciwko Sowietom z godziny na godzinę. Później przyszło Powstanie Węgierskie i koniec wielkiej iluzji.

Jak słusznie zauważył Welles Hangen w swojej pracy pt. „Moves into Marx's Europe" — dzisiejsze wypowiedzi chińskie przypominają do złudzenia bojowe przemówienia Dullesa. *Roll back policy* zmartwychwstała — tym razem w wydaniu chińskim.

Wydaje się, że Pekin coraz lepiej zdaje sobie sprawę, że panowie typu Kazimierza Mijala, w Europie Wschodniej niczego nie dokonają. Z drugiej strony satelicka Europa stanowi bardzo istotne zaplecze dla Sowietów — tak w sensie przestrzeni jak surowców i ludzi. Na granicy rosyjsko-chińskiej działają już czeskie specjalne oddziały techniczne.

Chińska propaganda zaadresowana jest przede wszystkim do nacjonalistów w Europie Wschodniej. Chińczycy głoszą, że Sowiety uprawiają nieopisany wyzysk gospodarczy i kradną czechosłowacki uran, bułgarską miedź, węgierskie aluminium, polski węgiel itp.

Należy również podkreślić fakt, że Chińczycy nie życzą sobie pro-pekińskiego kominternu, który, być może, wzmocniłby status takich panów jak Mijal — równocześnie jednak wiązałby ręce Pekinu i zacieśniał pole manewru. W razie wybuchu konfliktu — czy pogłębienia kryzysu rosyjsko-chińskiego — Chińczycy gotowi są poprzeć nie tylko Mijalów lecz każdego przywódcę, który wystąpi przeciwko Sowietom. Za Mijalem Polacy nigdy nie staną murem... nawet przeciwko Sowietom. Pekińscy politycy zaczynają zdawać sobie sprawę z faktu, że wojny wyzwoleńcze, powstania, rewolucje, przewroty — jednym słowem *roll back policy* w Europie Wschodniej musi mieć charakter walki ujarzmionych narodów z najeźdźcą.

Rosjanie i Amerykanie czekają na śmierć Mao. Gdy zabraknie tej jednoczącej siły mogą rozgorzeć walki frakcyjne — może dojść do wojny domowej i do rozpadu zjednoczonych Chin.

Lecz może również zdarzyć się inaczej. Spadkobiercy Mao mogą okazać się bardziej liberalni — mogą wskrzesić politykę „stu kwiatów" i przeciwstawić sowieckiemu stalinizmowi bardziej otwartą i postępową formę marksizmu.

Nie bawiąc się w przepowiednie należy stwierdzić, że Chiny stanowią dziś nowy problem w polityce tak polskiej jak wschodnioeuropejskiej. Czy każdy wróg Sowietów jest automatycznie naszym potencjalnym sojusznikiem? Dążymy do wyrównania stosunków z przyszłą Rosją na zasadzie równości i *partnership*'u. Czy więc w imię tego dalekiego celu nie powinniśmy się opowiedzieć po stronie sowieckiej Rosji w konflikcie rosyjsko-chińskim?

Jest zbyt wcześnie na formułowanie konkretnej odpowiedzi na pytania powyżej przytoczone. Wszystko będzie zależało od rozwoju sytuacji. Ogólnie biorąc można powiedzieć, że nie mamy najmniejszego interesu w czymkolwiek pomagać Sowietom. Gdyby jednak konflikt wybuchł w okresie „wiosny moskiewskiej" — w okresie rewolucyjnych przemian i upadku stalinizmu — wówczas powinniśmy stanąć po stronie Rosji, oczywiście na określonych warunkach. Naszym problemem jest Rosja a nie Chiny. Chiny stanowią tylko fragment naszej polityki rosyjskiej.

Przenieśmy się obecnie z Europy Wschodniej na kontynent afrykański. W niniejszej części tego artykułu opieram się na pracy W. A. C. Adie z Oxfordu — wybitnego specjalisty od spraw Dalekiego Wschodu. Praca, którą cytuję, nosi charakterystyczny tytuł: „Chinese Chess" — Chińskie Szachy. Wrócimy jeszcze do tej starożytnej i trudnej gry, której mistrzem i entuzjastą jest Mao Tse-tung.

W dniu 16 czerwca br. Agencja Reutera doniosła, że do portu w Daar-Es-Salaam zawinął chiński statek Yao Hua. Pasażerowie składali się wyłącznie z Chińczyków — w tym kobiety i dzieci — w sumie 500 osób.

Oczywiście to nie była wycieczka krajoznawcza ale nowy transport techników i inżynierów chińskich, którzy podejmą pracę przy budowie linii kolejowej Tanzania-Zambia. Pekin udzielił bezprocentowej pożyczki na budowę owej linii kolejowej.

Czy bezprocentowej?

Chińczycy budują bazę morską w porcie Dar-Es-Salaam. Około 80 marynarzy tanzanijskich przeszło specjalne przeszkolenie w Chinach. Ci absolwenci stanowić będą załogę 6-ciu okrętów wojennych, dostarczonych przez Pekin. Wydaje się, że powyższa inicjatywa stanowi część „procentu" od imponującej kwoty 430 milionów dolarów, wypłaconych w formie pożyczki, celem sfinansowania budowy cytowanej powyżej linii kolejowej.

Chińskie statki, które regularnie zawijają do portu w Dar-

Es-Salaam wyładowują nie tylko materiały i narzędzia do budowy linii kolejowej, ale także setki ton broni automatycznej i amunicji dla partyzantów.

Obecnie urzęduje w Tanzanii kilka tysięcy chińskich doradców i techników. Doradcy szkolą nie tylko partyzantów do walki z królami i białymi reżymami — lecz również ludową armię Tanzanii. Wszystko jest robione niezmiernie cicho i dyskretnie. W tym względzie taktyka chińska odbiega znacznie od taktyki sowieckiej. Tanzania przysyła jak dawniej kadetów do słynnej angielskiej szkoły wojskowej w Sandhurst. Amerykanie tuż pod bokiem Chińczyków kosztem 14 milionów dolarów budują nowoczesną autostradę „pogodo-szczelną" z Zambii do Tanzanii. Nic więc dziwnego, że przywódcy tanzanijscy nie podzielają obaw wyrażanych na Zachodzie, że nie można przyjmować tak olbrzymiej pomocy od obcego mocarstwa i równocześnie zachować swą niepodległość. Chińskie szachy noszą nazwę „Weichi" co oznacza dokładnie okrążenie. Celem gry jest okrążyć przeciwnika. Mao Tse w swoich pismach nie tylko wywodzi lecz i indentyfikuje swoją myśl strategiczną z „weichi". Gra jest niezmiernie trudna i można ją zrozumieć tylko wówczas gdy się ogarnia równocześnie ruchy wszystkich kamieni (figur). Chińczycy grają swoją partię „weichi" na światowej szachownicy. Tanzania jest tylko jednym kamykiem w tej grze i nie może być inaczej oceniana. Amerykanie i Rosjanie popełniają często błąd, który polega na tym, że posunięcia chińskie oceniają jako wydarzenia oderwane i izolowane a nie jako fragmenty tej samej gry. W rezultacie reakcje na posunięcia chińskie nie zawsze wydają się trafne.

Można uznać niemal za pewne, że rozwój sytuacji w Tanzanii wpłynął na decyzje konserwatywnego rządu brytyjskiego podjęcia dostaw pewnego typu sprzętu wojennego dla Afryki Południowej. W chwili gdy piszę te słowa toczy się w tej sprawie debata w Izbie Gmin i nic nie jest sfinalizowane.

The Guardian z 23 lipca br. doniósł, że prezydenci trzech afrykańskich państw należących do Commonwealth — na konferencji w Dar-Es-Salaam postanowili wystąpić z Commonwealth jeżeli Anglia zdecyduje się na sprzedaż broni dla Afryki Południowej. Państwa afrykańskie o których mowa to Tanzania, Uganda i Zambia. Poza tym prezydenci trzech cytowanych państw w chwili gdy podejmą decyzję wystąpienia zwrócą się do dziesięciu innych państw afrykańskich z żądaniem, by wystąpiły z Commonwealth.

Spójrzmy na sytuację z perspektywy chińskiej. Załóżmy, że Afryka Południowa dostaje brytyjski sprzęt wojskowy za 75 milionów funtów. To jest suma wymieniana w prasie. Chińczycy rozbudowują nadal spokojnie swój potencjał w Tanzanii i równocześnie powodują największą secesję państw afrykańskich z Commonwealth jaką do tej pory oglądaliśmy. Nie jest również nigdzie powiedziane, że skończyłoby się na secesji 13-tu państw afrykańskich. Według informacji prasowych żądanie wystąpienia z brytyjskiej wspólnoty byłoby skierowane również do 5-ciu

państw azjatyckich i czterech państw karaibskich. I to wszystko — jakby powiedział Wiech, za jedne 75 milionów funtów.

W mojej opinii sprzęt wojskowy za 75 milionów funtów nie zmieni zasadniczo sytuacji obronnej Afryki Południowej ani nie umniejszy na jotę wpływów chińskich w Afryce. Natomiast powyższa transakcja, gdyby doszła do skutku, mogłaby niemal zlikwidować Commonwealth.

Na kontynencie Commonwealth jest niedoceniany a często ośmieszany. Jednak jest rzeczą wielkiej wagi, by studenci afrykańscy korzystali ze stypendiów i czerpali wiedzę na uczelniach brytyjskich. Jest rzeczą wielkiej wagi by w państwach afrykańskich czytano angielskie książki, by działały różne brytyjskie instytucje naukowe, badawcze, dobroczynne, religijne itp. To wszystko jest ważne, bo jeżeli odejdą Brytyjczycy, ich miejsce zajmą doradcy chińscy.

Lecz celem „wielkiego okrążenia" nie jest oczywiście brytyjski Commonwealth tylko Rosja Sowiecka. Pakistańska polityka p. Kosygina zaczyna się wykruszać. Niedawno otwarto uroczyście wielkie zakłady przemysłowe w wschodnim Pakistanie sfinansowane przez Chińczyków. Podobne zakłady przemysłowe sfinansowane przez Pekin istnieją również w zachodnim Pakistanie.

Najbardziej imponującym jest niewątpliwie plan zorganizowania „rewolucyjnego zjednoczonego państwa", które obejmowałoby wszystkie państwa i państewka Zatoki Perskiej wraz z centralną i południową Arabią. Chińczycy wspomagają nie tylko najbardziej skrajne ugrupowania palestyńskich partyzantów lecz również „Arabski Front Ludowy Wyzwolenia Zatoki Perskiej". Pomoc dla tej organizacji idzie głównie przez Aden.

Dar-Es-Salaam, Północny i Południowy Yemen, Kongo — Brazzaville, Pakistan i dziesiątki innych baz — to są „kamyki" w grze zmierzającej do okrążenia Sowietów i wyparcia ich wpływów z Oceanu Indyjskiego i z Zatoki Perskiej.

David Willey pisze w swej pracy pt. „Russia's Vietnam", że ujawnione obecnie dokumenty niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych — odkryły przd światem nieogarniony apetyt Stalina na ziemie arabskie. W roku 1940 Mołotow i Ribbentrop zawarli tajny układ rozbioru świata pomiędzy Sowiety i Niemcy. W myśl tego układu niemal wszystkie kraje arabskie miały znaleźć się w sferze wpływów sowieckich. Kto dziś pamięta, że na konferencji w Poczdamie Stalin domagał się... Libii.

Wydaje mi się, że David Willey ma rację twierdząc, że nagrodą za sowiecką pomoc dla Egiptu miał być Kanał Sueski. Sowiecka flota uwięziona jest od Władywostoku po Bałtyk w zamarzających portach i podzielona na trzy części. Nikomu Kanał Sueski nie jest tak potrzebny jak Sowietom. Sytuacja jednak układa się paradoksalnie. Każdy nowy transport nowoczesnych broni z Sowietów usztywnia stanowisko Egiptu i tym samym oddala pokojowe rozwiązanie konfliktu. Dopóki nie będzie pokoju, dopóty nie będzie można podjąć robót zmierzających do oczyszczenia Kanału. Eksperci oceniają, że przywrócenie Kanału Sueskiego

do stanu używalności zajęłoby dwa do trzech lat. Zbędne dodawać, że byłaby to operacja niezmiernie kosztowna.

Rosjanie są uwięzieni w Egipcie, podobnie jak Amerykanie w Wietnamie. Zaangażowali w tej imprezie olbrzymie pieniądze i cały swój prestiż, tak, że nie mogą się wycofać bez osiągnięcia jakiegoś rozwiązania. Chińczycy zrobią wszystko, by owego rozwiązania nie było. Maoistyczne palestyńskie grupy partyzanckie storpedują każde zawieszenie broni i każdą formę pokojową.

W Wietnamie Amerykanie nie mogą osiągnąć pełnego militarnego zwycięstwa ponieważ nie chcą ryzykować wojny z Rosją i z Chinami. Rosjanie na Środkowym Wschodzie nie mogą również osiągnąć militarnego zwycięstwa ponieważ nie chcą ryzykować wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Tego typu konflikty, trwające latami, wytwarzają sytuacje rewolucyjne, które umiejętnie wykorzystują Chińczycy.

Nie ulega wątpliwości, że Chiny są groźnym przeciwnikiem. Wydaje mi się również, że Chińczycy są lepszymi taktykami niż Rosjanie. Wjechać czołgami do Pragi czy zgnieść siłą powstanie węgierskie — to są sowieckie specjalności. Lecz w sytuacjach w których nie można użyć bezpośrednio siły — Rosjanie są często bezradni i politycznie jałowi. Moją teorię, że kiedyś dojdzie do zbrojnego konfliktu sowiecko-chińskiego (z inicjatywy sowieckiej) opieram na przekonaniu, że wcześniej czy później Rosjanie dojdą do wniosku, że w stosunku do Chin muszą użyć siły, bo inaczej z nimi sobie nie poradzą.

Czytelnik zauważy w tym miejscu: jeżeli powyższe rozumowanie jest słuszne — należy zapytać na co Rosjanie czekają? Majakowski napisał, że bije dwa razy kto bije w czas. Za 5 lat Chiny będzie trudniej pobić niż obecnie.

Rosjanie czekają i w mojej ocenie mają konkretne powody by czekać. Za kilka a może dopiero za kilkanaście lat Amerykanie wypracują formułę, która chroniłaby ich twarz i pozwoliłaby im wycofać się z Wietnamu. Wówczas powoli lecz systematycznie cała południowo-wschodnia Azja przekształci się w sferę wpływów chińskich. Pozornie nic się nie zmieni — będą tylko wszędzie „przyjazne" rządy i „przyjazne" partie. Zagrożona zostanie Australazja nie mówiąc o Formozie. W Stanach Zjednoczonych może wówczas pojawi się Prezydent, który zda sobie sprawę, że tym razem nie chodzi o Wietnam czy Kambodżę, lecz dosłownie o bezpieczeństwo Ameryki.

Wybitny pisarz australijski Russell Bradon, doskonały znawca Dalekiego Wschodu przewiduje wojnę światową w tym rejonie świata pod koniec lat 70-tych. Nie idę tak daleko jak Bradon lecz nie wyłączam wojny amerykańsko-chińskiej za 10 czy 15 lat. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że musiałoby się zmienić niezmiernie wiele, aby do wojny nie doszło. Amerykanie uznają Chiny za nieistniejące — konflikt narasta z roku na rok i przyjdzie chwila kiedy nie będzie go można inaczej rozwiązać jak tylko siłą. Na tę chwilę czekają Rosjanie. Ideałem, z punktu widzenia polityki sowieckiej, byłaby wojna amerykańsko-chińska. Gdyby

Amerykanie pobili głównego wroga Sowietów — Moskwa odczekałaby sposobnej i bezpiecznej chwili i oderwałaby od Chin spory szmat ziemi.

Jak podkreśliłem w pierwszej części tego artykułu Rosjanie i Amerykanie czekają na śmierć Mao w nadziei, że Chiny się rozpadną. W moim przekonaniu nic na to nie wskazuje. Nic nie wskazuje również na to, by komunizm miał w Chinach upaść w dającej się przewidzieć przyszłości.

Istnieje jeszcze inna możliwość, która niepokoi Sowiety. Moskiewski korespondent *The Guardian* w depeszy z 29 lipca br. doniósł, że w Moskwie ukazała się książka Michała Kapicy pt. „Eskalacja Zdrady". Nakład 175,400 egzemplarzy. Autor rozpatruje wszystkie typy zdrady i dochodzi do wniosku, że największym zdrajcą wszystkich czasów jest Mao Tse-tung. W opinii Kapicy Mao jest większym zdrajcą niż Hitler. Lecz arcy-zdrajca Mao — pisze Kapica — posiada jeden atut a mianowicie jest anty-sowiecki i ów anty-sowietyzm może sprzedać Amerykanom.

„Tu leży pies pogrzebany" — jak mówią Niemcy. O ile wojna amerykańsko-chińska byłaby ideałem z punktu widzenia Moskwy o tyle wyrównanie stosunków pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem byłoby koszmarem.

Chciałbym zakończyć ten artykuł kilku uwagami na temat konfliktów. Nie ma konfliktów niespodziewanych. Gdy Chamberlain powiewał kartką papieru na lotnisku londyńskim — wszystkie elementy miał w ręce, tylko je źle odczytywał. Nie umiał po niemiecku, nie czytał „Mein Kampf", nie znał dokładnie przemówień Hitlera. Dla człowieka obznajmionego z materiałem wojna była pewnikiem a nie zaskoczeniem.

To samo dotyczy Chin. Jeżeli ktoś czyta nie tylko książki o Chinach lecz i *Peking Review*, nie może mieć wątpliwości do czego Chiny zmierzają. Chińczycy są śmiertelnie serio w sprawach swojej polityki.

Chińczycy chcą ewakuacji Amerykanów z południowo-wschodniej Azji oraz zwrotu Formozy. To jest ich program minimalny. Istnieje również program szerszy, którego analiza przekracza ramy niniejszego artykułu.

Konflikt amerykańsko-chiński nie rozpłynie się w powietrzu: albo zostanie rozegrany na żmudnej drodze dyplomatycznej, albo, w latach późniejszych, przy użyciu siły. Jeżeli w najbliższej dekadzie tak Amerykanie jak i Chińczycy nie zrobią niczego, by ów konflikt pokojowo rozładować — poważna wojna na Dalekim Wschodzie pod koniec lat 70-tych nie powinna być dla nikogo zaskoczeniem.

Oczywiście tylko wojna sowiecko-chińska w określonych warunkach leżałaby w polskim interesie. Wojna amerykańsko-chińska, której głównym beneficjantem byłyby Sowiety — stanowiłaby dla Polski katastrofę.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

RUMUŃSKIE UKŁADY

Tytuł nie pochodzi, wbrew pozorom, z polityki a z bridża. Bridż „z Rumunem" jest ulubionym zajęciem graczy, których zwyczajny kontrakt czy „Polak" przestał już bawić. „Rumun" polega na tym, że po czterech pasach karty, bez tasowania, zostają właściwie nie rozdane, a rozdzielone, najpierw po siedem a potem po sześć. Kolory chodzą więc stadami, zachowują bowiem skład nadany im przez pasującego gracza. W rezultacie dochodzi do najzupełniej nieprawdopodobnych układów, jedno albo dwukolorowych. Dlaczego taki nietypowy układ nazywa się „rumuńskim"? Nie wiem. Wiem natomiast, że nie jest to wcale jedyny przypadek, kiedy z Rumunią kojarzy się nietypowość. Nie zawsze są to dziedziny tak ważne jak bridż, czasem chodzi tylko o politykę...

...Lato było wtedy cudowne, no i my byliśmy młodzi. 23 sierpnia 1944 roku pewien szlachetnie urodzony lotnik rumuńskich sił powietrznych, zmylił pogonie Luftwaffe i wylądował w amerykańskiej bazie Foggia we Włoszech. Po kilku godzinach wrócił nad Bukareszt, prowadząc wycieczkę kilkuset „Super-fortec" z zamiarem takiego obrzucenia bombami oddziałów Wehrmachtu otaczających zbuntowaną stolicę, aby król Michał mógł spokojnie, i do końca, doprowadzić dzieło zerwania z dogorywającą 1000-letnią Rzeszą. Ów król Michał choć nie cieszył się sławą wybitnego myśliciela, umiał korzystać z dobrych rad. Sprawnie wyaresztował więc zaproszonych na naradę do pałacu panów Antonescu, którzy przez ostatnie 4 lata prowadzili skutecznie Rumunię do katastrofy. Aresztowanie i zamach stanu udały się znakomicie, w odróżnieniu od bombardowania. Amerykanie, jak zwykle mało dbający o drobiazgi, nie wzięli poprawki na ruchy wojsk i połową dywanu bomb obłożyli Rumunów broniących stolicy przed Niemcami.

Biały chleb okupacyjny

W tym miejscu musimy się jednak nieco cofnąć, aby powiedzieć, że panów Antonescu było dwóch naraz. Jan — naczelnik państwa czyli wódz narodu oraz Michał — premier. Ponieważ nie mieli innego wyjścia, sprzymierzyli się z Hitlerem, nie omieszkawszy po drodze wykończyć konkurencyjnej „Żelaznej Gwardii". Potem rozszerzyli granice Wielkiej Rumunii aż po pra-rumuńskie miasto Odessę i utworzyli własną prowincję zwaną „Zadnieprzem". Rządził tam naturalnie Wehrmacht i SS, ale rabowanie

należało do administracji rumuńskiej. Nic dziwnego, że w chwili wkroczenia Rosjan niczego w tym rejonie już nie było. Przedtem jednak, kiedy cała Europa głodowała, w środku nocy okupacji hitlerowskiej, w Rumunii życie kwitło, dziewczęta były piękne, a jadało się chleb biały i inne proste potrawy, żeby wymienić tylko takie produkty „zadnieprzańskie" jak jesiotry i kawior. Nie należy jednak zapominać, że równocześnie dywizje rumuńskie ginęły pod Stalingradem, a cały przemysł, a przede wszystkim nafta, pracował dla Reichu.

W tym miejscu otwieramy rumuńskiego odstawania, czyli nietypowości, rozdział pierwszy. Mianowicie, w zaprzyjaźnionej z Hitlerem Rumunii, nie było ani jednego obozu koncentracyjnego typu hitlerowskiego. Żydzi, aczkolwiek poddani restrykcjom, pozostawali na wolności, a nawet zarabiali na życie. Antonescu odmówił wydania Niemcom członków rządu przedwrześniowego, których internował w warunkach raczej znośnych. Z wyjątkiem, zdaje się, jednego transportu Rumuni nie pozwolili ruszyć polskich uchodźców wojskowych i cywilnych, którzy znaleźli tam schronienie zaleszczyckim szlakiem, w wyniku współdziałania zaprzyjaźnionych wówczas armii sowieckiej i hitlerowskiej.

Nie wiem ilu Polaków do Rumunii doszło, ale były to liczby spore. Tysiące Polaków przeżyły u Rumunów wojnę w warunkach absolutnie rajskich w porównaniu z życiem w okupowanej Polsce, czy ze zsyłką w sojuszniczym ZSSR. Funkcjonowały nawet szkoły średnie, gdzie setki polskiej młodzieży zdały najzupełniej normalne matury. I żeby już było zupełnie nietypowo, to na kilku świadectwach dojrzałości wydanych w roku 1943 w kraju okupowanym przez Hitlera, w rubryce religia figuruje... „mojżeszowa", przy czym abiturienci musieli przedstawić zaświadczenie podpisane przez autentycznie urzędującego rabina. Ten obrazek żywcem z Ionescu (też Rumun) można jeszcze dobarwić, dodając, że w 1943 r. jedynymi Żydami studiującymi na wyższych uczelniach w całej okupowanej Europie, było około 10 Polaków nieczystego pochodzenia w Bukareszcie. Kilku takich studentów, w charakterze dobrych patriotów, pomagało po wyzwoleniu w repatriacji Polaków z Rumunii, po czym, w kilkanaście lat później, jako świeżo mianowani syjoniści, zostali sami z Polski wyrepatriowani.

Żywot satelity niewdzięcznego

Obaj panowie Antonescu zostali naturalnie powieszeni, a Rumunia, po odwróceniu w ciągu jednej doby swych dywizji w kierunku wprost przeciwnym, rozpoczęła żywot prawdziwego satelity. Była to okupacja najzupełniej kolonialna, z elementami makabro-groteski. Najpierw więc do Bukaresztu, pełnego kobiet, jedzenia i picia, weszły wojska prosto z frontu. Nie trudno wyobrazić sobie entuzjazm żołnierzy, którzy po przejściu tysięcy kilometrów zgliszcz, ruin i cmentarzy, ujrzeli nagle wyspę wszel-

kiego szczęścia i dostatku. Co się tam działo! Wkrótce jednak przybyło z odsieczą do Bukaresztu NKWD i dość krwawo uspokoiło zbyt wybuchową radość rozbawionych gwardzistów.

Wtedy przyszła kolej na sprawy poważne i Rosjanie rozpoczęli wywózkę wszystkiego co się tylko dało zdemontować. Niedługo potem zaofiarowali Rumunom zwrot części tego co wywieźli, jako wkład w mieszane towarzystwa rumuńsko-sowieckie do eksploatacji wszystkiego co istniało w przemyśle, transporcie i w ogóle w gospodarce. Ponieważ porządek musiał być, więc ustalano nawet ceny. Żeby uniknąć sporów, brano za podstawę ceny światowe. Te z... 1939 roku, 85 (słownie — osiemdziesiąt pięć) razy niższe od cen z r. 1945. Nawet władza faktycznie była mieszana, bo ludzie sowieccy figurowali jawnie na wszystkich szczeblach machiny administracyjnej. Czytelnikom z wyobraźnią i pamięcią, wystarczy powiedzieć, że pełnomocnikiem sowieckim do przekształcenia Rumunii w kraj sojuszniczy i demokratyczny był niejaki Wyszyński Andrzej, wybitny przedstawiciel sowieckiej praworządności. To on właśnie oświadczył 28 lutego 1945 roku królowi Michałowi, kawalerowi orderu „Pobieda", że albo ów kawaler natychmiast mianuje premierem niejakiego Grozę, albo „rząd ZSSR nie bierze odpowiedzialności za istnienie narodu rumuńskiego".

Rumuni spokojnie na kolonizację patrzyli, a nawet pomagali, słusznie uważając, że dopóki ZSSR jest bardzo głodny, a Rumunia bardzo syta, to spokoju ta ostatnia nie odzyska. Więc godzili się na wszystko, prywatnie tylko starając się co nie co odegrać. Stąd np. wszystkie zegarki, z werkami i bez, z całej chyba Europy, które nie zostały uprzednio zrabowane, zostały sprzedane w okolicach ulicy Lipscani w Bukareszcie tuż po wyzwoleniu. Z tego okresu pochodzi właśnie owo słynne westchnienie pewnego starszyny, po stwierdzeniu pustki wewnątrz przed chwilą zrabowanego zegarka: *„Ot, tiochnika u nich bolszaja, no kultury niet"*.

Koniunktura i atmosfera były w Rumunii wówczas tak handlowe, że wzdłuż torów, którymi szły z zachodu do ZSSR transporty wiozące dobra skonfiskowane u *zachwatczykow*, wytworzyły się ogromne, a nawet wyspecjalizowane rynki zbytu. Bywały więc łany koniczyny czy słonecznika pełne fortepianów, dywanów, mebli albo maszyn rolniczych. Powstały z tego wówczas fortuny oraz kilka karnych batalionów na dalekiej Syberii.

Mniejsza jednak o drobiazgi. Całkowita kolonizacja bazy połączona z satelizacją nadbudowy, trwa przez długie lata. Wydawało się, że musi ona przejść w stan chroniczny, bo nawet śmierć Stalina nie przerwała tego procesu. Patrascanu, w przybliżeniu rumuński Gomułka, został aresztowany jeszcze w 1948 roku, ale rozstrzelany dopiero w 1954, a więc już nie tylko po odejściu Nauczyciela i Wodza, ale i po usunięciu imperialistycznego szpiega nazwiskiem Beria. Sowiecką interwencję na Węgrzech przyjęto w rumuńskim KC z uznaniem, natomiast polski październik uznany tam został za niebezpieczny przejaw rewizjonizmu i zdrady socjalizmu. Ba, Rumunia dała takie dowody wierności dla

Kraju Rad, że to na jej terytorium Rosjanie postanowili przechować węgierskiego premiera z okresu interwencji, Nagy'a. To właśnie z więzienia w Rumunii Rosjanie go zabrali, aby go prawo-rządnie rozstrzelać. A był to przecież już rok 1958, czyli dobrze po sezonie.

Tak, nieco smutno, wyglądało to z daleka. Z bliska natomiast, przyglądając się dobrze, można już było ujrzeć pewne zadziwiające rzeczy. Mianowicie, powoli i spokojnie, trzymając naród ostro za buzię, tak ostro, że się Polakom nawet nie śniło, komuniści rumuńscy zaczęli rozluźniać sowiecki kaftan pętający ich kraj.

Była to — i chwilowo jeszcze jest — wielka lekcja taktyki i strategii. Każde niepowodzenie rosyjskie, każde potknięcie było natychmiast dyskretnie wykorzystywane przez wyrachowanych Rumunów, po łacińsku lekkich, po lewantyńsku przebiegłych, szalenie elastycznych wśród ociężałych Słowian. Szef partii, Georghiu-Dej, wiedział że nie może być mowy o stosunkach z ZSSR powierzchownie choćby opartych o zasadę równości. Starał się więc współustalać model zależności, uprawiał system swoistego auto-wyzysku. Zanim więc tow. Breżniewowi się przyśniła jego doktryna, Rumuni sami ograniczyli swoją suwerenność, dzięki temu mogli potem ze znajomością rzeczy przegryzać ogniwa łańcucha, którym się i którym ich spętano.

Najpierw więc Dej przeciął niewygodną i konkurencyjną pępowinę łączącą go drugim torem z Kremlem. Wyrzucił mianowicie w 1952 roku Annę Pauker i Wasile Luca, zapewniając sobie monopol władzy, a zarazem zrzucając na nich odpowiedzialność za kolejne, ale nie ostatnie, bankructwo gospodarcze. Fakt, iż wspomniana para składała się z Żydówki i Węgra, ułatwiał oczywiście operację oczyszczającą, jakoże teoretyczna teza Werblana o obcych narodowo elementach w ośrodkach władzy, była już dawno stosowana w praktyce krajów zwycięskiego socjalizmu.

Wielkiego szlema Dej rozgrywa jednak dopiero w 1958 roku. Rumunom udaje się wówczas największy bluff w historii bridża. Na naradzie Paktu Warszawskiego w 1958 roku w Moskwie, Dej umiejętnie rozdał karty i przekonał Rosjan, że Rumunia stanowi tak niezachwiane ogniwo w systemie obozu pokoju, iż dalsze utrzymywanie na jej terytorium sowieckich garnizonów okupacyjnych jest po prostu marnotrawstwem. Są bowiem miejsca, gdzie wojska te są bardziej potrzebne, np. na Węgrzech, świeżo po pacyfikacji, w Polsce po październiku, czy też w NRD, skąd trwał żywiołowy eksport siły roboczej na umierający z głodu Zachód.

Dopiero po takim przygotowaniu, Rumuni powiedzieli swoje pierwsze *niet*. Zdumiony Nikita nie wierzył własnym uszom, ale zaskoczony wycofał się ze swoich propozycji integracyjnych, kiedy tak wierny dotąd tow. Dej nie chciał z nich skorzystać. Rumuni właśnie wtedy rzucili swoje prowokacyjno-nacjonalistyczne hasło, że „historyczną misją partii jest realizowanie narodowych zadań ludu rumuńskiego".

Na fali politycznej rozpusty

Reszta poszła już stosunkowo gładko. Bratnie partie i kraje co jakiś czas zaskakiwane były nowymi „układami rumuńskimi". Patrzyli wtedy w karty i kiwali głowami. Ponieważ figliki rumuńskie dotyczyły przede wszystkim stosunków międzynarodowych, a towarzyszył im najczystszej wody stalinizm wewnątrz kraju, więc też machano na to ręką, obiecując sobie, że przy pierwszej okazji trzepnie się Rumunów po łapie — jest to ulubiona metoda perswazji ideologicznej w obozie — i zapanuje spokój.

No i przeliczyli się. Jak się obudzili, to było już za późno i karty już były na nowo rozdane. Znowu „z Rumunem". Mianowicie, Rumuni, którzy byli tak wierni Kremlowi, że to do ich kraju przeniesiono biura Kominformu po zdradzie Tito, z nim właśnie pogodzili się przede wszystkim. Odmówili potem potępienia Chin, utrzymali stosunki z Albanią, no i rozkręcili ostro handel i stosunki z Zachodem. Może nawet nieco za ostro, bo z rozmachu, sami, nie pytając nikogo o zgodę, nawiązali stosunki dyplomatyczne z NRF. Co się wtedy działo w Polsce! „Przewrotni cyganie" należało do najłagodniejszych określeń. Rumuni spokojnie przetrzymali burzę, przewidując, zresztą słusznie, że w końcu i tak wszyscy się do kasy w Bonn zgłoszą.

I rzeczywiście. Tylko że w momencie, kiedy Gomułka wygłaszał swe przemówienie w maju 1969 r., Rumuni byli już o kilka robrów dalej. Nie zerwali z Izraelem po wojnie 6-dniowej, rozumując słusznie, że gdyby tak postępować, to byłoby trudno w ogóle z kimkolwiek stosunki utrzymywać. Bardzo się przyjaźnili z Dubczekiem. I choć im także wolność prasy w Czechosłowacji tak bardzo nie odpowiadała, to jednak rozumieli, że nowy wyłom w murze satelickim, może ich samych wzmocnić i może im pomóc w obronie przed groźbą integracji. Ostro potępili zatem najazd Czechosłowacji, podjęli nawet szalenie spektakularne i chyba nieco zabawne kroki odstraszające. Ten zapał trwał jednak krótko, sowieckie preswazje oraz wizyty dwóch marszałków, pomogły, a Rumuni, zadowoleni, że uratowali twarz i siebie, bo Dubczekowi już pomóc nie mogli, wycofali się na z góry upatrzone pozycje. No i rozdali karty na nowo.

Przede wszystkim szybko uchwalili ustawę o niedopuszczalności przebywania na terytorium rumuńskim jakichkolwiek obcych wojsk bez specjalnej zgody parlamentu. W ten sposób dali do zrozumienia, że nie mogą na razie zagwarantować odpowiednich warunków dla przeprowadzenia manewrów Paktu Warszawskiego, które to manewry, jak wiadomo, poprzedziły bratnią akcję w Czechosłowacji. Równocześnie ich delegat na konferencję rozbrojeniową w Genewie, wniósł projekt konwencji o niedopuszczalności przebywania obcych wojsk na jakimkolwiek terytorium. Delikatna aluzja, jak w tym dowcipie o „Japończykach" rabujących zegarki w polskich pociągach w latach 1945-47. Doprowadzili swojego ministra spraw zagranicznych, jako pierwszego dyplomatę wschodniego, na fotel przewodniczącego sesji ONZ (fotel ów zarezerwowany był w istocie dla jednego z dyplomatów polskich, PRL jednak nie wykorzystała tej szansy bo zajęta była likwidacją agentury syjonistycznej). Nie wzięli udziału w wyprawie na Pragę. No i — na wznoszącej się fali politycznego rozpasania — zaprosili do Bukaresztu Nixona. Co gorsza, prosty lud rumuński zgotował prezydentowi USA takie przyjęcie, że nie mogły się z nim równać nawet najlepiej zorganizowane spontaniczne powitania Ulbrichta w Warszawie. Na dodatek jeszcze, parokrotnie rezygnowali z olśniewających propozycji RWPG-owskich, pozostając poza Bankiem Inwestycyjnym i innymi organami wspólnoty.

W poszukiwaniu straconego „happy-end'u"

W tych warunkach trudno się dziwić, że się Rosjanie gniewali. Bardzo chcieli Rumunów na czymś złapać, ale ci tak sprytnie rozdawali karty, że Breżniew z Kosyginem, którzy nie grają w bridża, a raczej, jak Gomułka, w domino, nie potrafili ich „położyć". Najprościej, mówiono w Moskwie, byłoby ich najechać, ale jak to zrobić? Za co? W kraju porządek wzorowy, nie słychać nawet stęknięcia rewizjonistycznego, policja mocna jak rzadko, socjalistyczne uprzemysłowienie w pełnym natarciu, a akumulacja taka, że się może przyśnić, rolnictwo, jak zwykle, nie nadąża, intelektualiści siedzą cicho. Co robić? Czekać!

Czekali więc na okazję, a na razie postanowili Rumunię doraźnie ukarać, odmawiając przyjazdu na kongres partii i na 25-lecie wyzwolenia w 1969 r. oraz odmawiając podpisania nowego układu o wieczystej dwudziestoletniej przyjaźni. Układ poprzedni wygasł, mniej więcej razem z przyjaźnią, w początkach 68 roku, a nowy tekst już parafowany, czekał na przyjazd drogich gości.

Tymczasem w maju br. Rosjanie pojechali, ale do Pragi. Było to wielkie święto narodów czeskiego i słowackiego. Otrzymały one w darze gustowny układ, który — co prawda z pewnym opóźnieniem — uzasadnia prawnie i ideowo sowiecką okupację Czechosłowacji.

Rumuni zdrowo się przestraszyli, posłali na przeszpiegi do Pragi samego Manescu, a potem zaczęli na nowo rozdawać karty. I przekonywać Rosjan, że najwyższy czas czekający od dwóch lat układ podpisać, że to nie wypada, żeby w socjalistycznej rodzinie tak się dąsać, że ludzie na to patrzą, tym bardziej że tekst jest przecież dawno gotowy, itp. Ale właśnie przez ten tekst Rosjanie się nie spieszyli, nie widząc większych korzyści z połowicznego *happy-end*'u.

Aż nagle Rosjanie ujrzeli światło w ciemnościach. Przyszła im, tak się zdawało, w sukurs natura i zesłała na Rumunię powódź. 20 procent przemysłu poszło z falami, zawaliło się kruche rolnictwo, Dunaj wpędził do morza miasteczka i wsie, zginęło

200 osób, deficyt w handlu zagranicznym zapowiadał się ogromny, bo eksport właściwie stanął, a import musiał wzrosnąć.

Sentymentalny Breżniew otarł łzę wzruszenia i... odmówił pomocy. Tego jego doktryna nie przewidywała. Postanowił natomiast Rumunów nieco przycisnąć, w zamian za ustępstwa obiecując osobisty udział w uroczystościach cyrografowych. Rumuni od razu zrozumieli *w czom dieło* i zachowali się jak trzeba. Przede wszystkim, zgodnie ze starą zasadą, że „każdy bije swojego Żyda", wstrzymali emigrację do Izraela, spychając na dno rozpaczy setki rodzin posiadających już paszporty i czekających dosłownie na walizkach. Przykręcono śrubę na wewnątrz, zmobilizowano wszystkie siły do walki z żywiołem, potępiono ostro zaborcze plany Dajana i agresywne dążenia imperializmu amerykańskiego na terenie Indochin. Z największym zapałem lansowano ideę europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i Manescu — zamiast do Bonn z Maurerem — posłano do Budapesztu na konferencję Paktu Warszawskiego.

Plan „mob"

No i w końcu przyszła zgoda. „Przyjeżdżamy w reprezentacyjnym składzie, z Breżniewem i Kosyginem w ataku" — brzmiała depesza z Moskwy. W radosnym rozgardiaszu nikt jednak nie stracił głowy. Spojrzano w karty, a ponieważ datę wizyty wyznaczono stosunkowo nagłą, więc szybko postanowiono rozegrać robra, przewidzianego na tę okoliczność.

I tak Bodnarasz, człowiek wpływowy i były emisariusz Moskwy z roku 1944, wyjechał do Pekinu. Był tam podejmowany przez samego Mao i Lin Piao, chociaż oficjalnie był szefem skromnej delegacji parlamentarzystów, instytucji nie za bardzo w Chinach szanowanej. Tłumy witały Bodnarasza takie, że przypominało to manifestacje kulturalnych rewolucjonistów przeciwko czerwonym carom przed ambasadą ZSSR w Pekinie. Przemówienia gospodarzy i gości poświęcone były głównie teoretycznym rozważaniom na temat suwerenności i niezależności, a dla podkreślenia swej bezinteresowności, Chiny — bogate z domu — udzieliły Rumunii bezzwrotnej zapomogi w wysokości 20 milionów dolarów, wysoko przekraczając rozrzutność sowiecką.

Niedługo potem Ceausescu odbył swoją pra-premierową podróż na Zachód i odwiedził Paryż. Ta wizyta odbiła się nieco mocniejszym echem niż pojawienie się nad Sekwaną Jędrychowskiego. Ceausescu mianowicie nie próbował przekonać Pompidou o słuszności najechania Czechów w 68 r. ani o groźbie spisku syjonistycznego, natomiast załatwił kilka dużych interesów kooperacyjnych, no i naturalnie skorzystał z okazji, aby powiedzieć co myśli na temat suwerenności państwowej.

Ledwie Ceausescu wrócił do Bukaresztu, a już jego premier, Maurer, wyjechał do Bonn. Maurer — jeżeli nie liczyć nietypowego Stopha — pierwszy wschodni premier z wizytą w NRF —

mówił głównie o interesach. Dał dowód niezależności zapraszając do Rumunii prezydenta NRF, ale załatwił przede wszystkim nagły kredyt zachodnioniemiecki dla ratowania osłabionej gospodarki rumuńskiej. Dostał więc 65 milionów dolarów, uzyskał odroczenia spłaty długów, itd., co jest tym ważniejsze że częściowo przynajmniej zmniejsza zależność Rumunii od szerokości gestu niektórych sąsiadów. Równocześnie min. Manescu odwiedził prezydenta Nixona, odpoczywającego pod słońcem Kalifornii po trudach wyprawy do Kambodży, odświeżając wspomnienia z wizyty sprzed roku.

Wszystkie te wizyty udały się znakomicie. Jak się dowiadujemy ze źródeł godnych zaufania, rumuńscy goście zapewnili kolejnych gospodarzy, iż w Bukareszcie podpisany zostanie układ w jego pierwotnej wersji, tej sprzed 2 lat, to znaczy sprzed inwazji Czechosłowacji i sprzed proklamowania doktryny Breżniewa. Prasa sowiecka tego szczegółu jakoś nie zdążyła czytelnikom przekazać, ale na Kremlu wszystko wiedzieli, bo tam czytają biuletyn specjalny.

I to byłoby już prawie wszystko co zdążyli Rumuni załatwić w ciągu kilku tygodni przed wizytą delegacji sowieckiej. Prawie wszystko, albowiem należy jeszcze dodać dziwny zbieg okoliczności który sprawił, że w przeddzień przyjazdu towarzyszy z Moskwy, Ceausescu przyjął w Bukareszcie tow. Berlinguera, zastępcę sekretarza generalnego komunistów włoskich. Prawdopodobnie nie było innej wolnej daty, albo może tow. Berlingeur lubi powodzie, ale trudno nie wspomnieć, że włoska partia najpierw ostro potępiła inwazję Czechosłowacji, a potem, tuż przed wyjazdem swego przedstawiciela do Bukaresztu, niesłychanie jak na komunistów ostro, i wielokrotnie napiętowała wyrzucenie z partii Dubczeka.

Katar w wichurze wydarzeń

Nic dziwnego, że w takim przeciągu wydarzeń Breżniew się przeziębił. Wyjazd miał nastąpić w poniedziałek, ale lekkie niedomagania zarysowały się już w poprzedni czwartek. Doniósł o tym niezawodny kol. W. L., jedyny sowiecki korespondent burżuazyjnej i sprzedajnej prasy zachodniej. Spełnia ten pan, jak już miałem okazję o tym pisać, rozmaite funkcje, przede wszystkim jednak służy do przekazywania na Zachód takich informacji, których drogą oficjalną nie wypada kolportować. Otóż kol. L. doniósł, jak zwykle pierwszy, że tow. Breżniew ma nadciśnienie, że to sprawa poważna, że nie ma mowy o podróży do Bukaresztu. Tow. L. rozmawiał prawdopodobnie ze złymi lekarzami, bo następnego dnia oficjalna wersja donosiła nie o nadciśnieniu, a o przeziębieniu. Ten brak koordynacji jest o tyle niegroźny, że rezultat był ten sam: Bukaresztowi odebrano radość witania Breżniewa. Na szczęście następne informacje uciszyły niepokój zmartwionych Rumunów, bo nadciśnienie, a może przeziębienie,

albo i jedno i drugie, nie przeszkodziły Breżniewowi rozmawiać z Naserem, podejmować kosmonautów, wygłosić 4-godzinny referat na plenum KC, no i asystować, jak zwykły człowiek sowiecki, na meczu footbolowym.

Ucieszyliśmy się bardzo, że Breżniew tak dobrze się czuje, ale zadaliśmy sobie pytanie, dlaczego nie chciał pojechać do Bukaresztu? Rozumiemy, że był niezadowolony, ale przecież można było przewidzieć, że jego demonstracyjna nieobecność nie wstrząśnie do głębi ani masami ani przywódcami w Rumunii, tym bardziej że:

1) premier sowiecki, to także nie byle kto, zwłaszcza, że był w towarzystwie nestora od ideologii, samego Susłowa;

2) brak podpisu pierwszego sekretarza ustawia stosunki sowiecko-rumuńskie na płaszczyźnie głównie państwowej, odbierając im aspekt ideologiczno-partyjny. Przypuszczalnie tego chciał właśnie sam Ceausescu, który z praktyki wie, że mętna „partyjność" i priorytet ideologii ułatwiają fałszywe motywacje i arbitralne interpretacje.

Są to rozważania ważne o tyle, o ile w ogóle można przywiązywać jakiekolwiek znaczenie do podpisu tego czy innego przywódcy pod jakimkolwiek dokumentem. Mniejsza o wspomnienia z przeszłości, kiedy to mimo licznych układów i traktatów ludzie sowieccy potrafili przełamać opory wewnętrzne i najechać to czy owo. Powiedzmy tylko, że ZSSR wypracował teorię elastycznego traktowania podpisów już dawno, i że to jeszcze sam Lenin powiedział przy okazji zawarcia tak popularnego w Polsce traktatu z Rapallo, że naturalnie można będzie z niego zrezygnować, jeżeli tylko będzie to uzasadnione rzeczywiście poważnymi korzyściami.

Rumuni w każdym razie traktują swój układ z ZSSR poważnie i dlatego nie chcą, aby związane z nim były jakiekolwiek nieporozumienia czy niejasności. Np. w sprawie punktu nr 8 tego traktatu. Ten punkt zakłada mianowicie automatyczne wystąpienie zbrojne jednego z sygnatariuszy w wypadku zaatakowania przez stronę trzecią drugiego sygnatariusza i nie ogranicza terenu ewentualnych operacji do obszaru Europy. Punktu tego nie było w poprzednim traktacie rumuńsko-sowieckim, jest jednak w traktatach ZSSR z Węgrami, Bułgarią, no i Czechosłowacją. Fakt ten wywołał dość szerokie spekulacje na temat ustępstw Rumunii wobec presji ZSSR w dziedzinie pomocy wojskowej w wypadku konfliktu między Rosją a Chinami.

W celu rozwiania tych niejasności, Rumuni w kilka dni po wyjeździe Kosygina, wysłali do Pekinu swego ministra Obrony, gen. Jonicę. Jego wizyta przebiegła w atmosferze absolutnej i niewzruszonej przyjaźni i zakończyła się zapowiedzią wizyty chińskich generałów bez stopni w Bukareszcie. Była nawet mowa o ewentualnej wizycie samego Czou En-lai. Jeszcze wymowniej zabrzmiało przemówienie Ceausescu, który na plenum KC dał wyraz najgłębszemu przekonaniu, że przyjaźń z Chinami odpowiada podstawowym interesom Rumunii i że polityka zbliżenia z Pekinem powinna być kontynuowana. I, żeby rozwiać już resztkę wątpliwości, w chwili gdy Jonica rozmawiał z samym przewodniczącym Mao, a przewodniczący Ceausescu wygłaszał swoje przemówienie, niejaki Danalake, też przewodniczący, ale rumuńskich związków zawodowych i członek najwyższych organów partyjnych, przebywał z wizytą przyjaźni w Albanii.

Nietypowość „rumuńskiego rozdania" z pewnością Rosjan denerwuje. Ale likwidacja tego zjawiska drogą zbrojnej interwencji zewnętrznej jest w tej chwili po prostu nieopłacalna. ZSSR z wielu względów pragnie mieć całkowity spokój w obozie i wie, że przykład rumuński do skonsolidowania tej jedności nie przyczynia się. Ale, jak wiemy, Stalin chciał za wszelką cenę przeprowadzić komunizację Bałkanów według swego satelitarnego wzoru. I nie udało mu się, bo w tym przeszkodził mu m.in. Tito. Od czasu „praskiej wiosny" następcy Stalina powrócili do tego pomysłu, jako *antidotum* na wszelkie herezje. Do Tito jednak doszlusował tymczasem Ceausescu, który ponadto lansuje niebezpieczne idee czegoś w rodzaju bałkańskiej federacji, bez udziału ZSSR, ale z udziałem np. Grecji. Oczywiście, Kreml nie może się z tym pogodzić. Przywódcy ZSSR pamiętają jednak, że zbyt brutalna taktyka odniosła w przeszłości skutek odwrotny do zamierzonego: zamiast komunizacji Bałkanów nastąpiła bałkanizacja komunizmu.

Jest to dla Rosji i jej pozbawionych wyobraźni przywódców proces niewygodny i niebezpieczny. I jeżeli pewnego pięknego dnia wyda im się, że proces ten przekroczył punkt dopuszczalnego napięcia, przestaną się gniewać, a zaczną działać, niezależnie od rodzaju układu jaki ich z Rumunią wiąże. Wtedy żarty się skończą i Breżniew do Bukaresztu pojedzie. Na czele czołgów sześciu (dochodzi Czechosłowacja) zaprzyjaźnionych państw układu warszawskiego.

Myśliwy i zwierzyna

W 1947 roku ministrem spraw zagranicznych została Anna Pauker, rumuńska Pasjonaria, szara eminencja partii, człowiek zaufania Moskwy, kobieta nieprzeciętnie inteligentna, bezwzględna i cyniczna. Była ona jednym z ostatnich przywódców komunistycznych, mających poczucie humoru. Po nominacji i objęciu urzędowania po osławionym Tatarescu, Anna Pauker, zgodnie ze zwyczajem, została przyjęta przez króla Michała. Był o tym banalny i suchy komunikat w prasie. W kilka dni później dziennikarze otoczyli Pauker na jakimś przyjęciu i prosili o szczegóły spotkania dekoracyjnego króla z prawdziwym monarchą. Anna Pauker początkowo odmawiała, a potem powiedziała, że właściwie nic ciekawego nie zaszło, że mieli po prostu trudności ze znalezieniem wspólnych tematów konwersacji, że wreszcie, aby wybrnąć jakoś z kłopotliwego milczenia, król zapytał Annę czy lubi polowania (poza dziewczętami, było to jego najbardziej ulu-

bione *hobby)*. Na to Anna Pauker, kobieta dowcipna i wykształcona, odpowiedziała słowami Heinego: „Sire, lubię polowania, jak dotąd jednak nie byłam myśliwym, a tylko zwierzyną".

W stosunkach z ZSSR, Rumunia nigdy nie będzie myśliwym, a zawsze zwierzyną. Ceausescu zdaje sobie z tego sprawę. Mimo, że chyba Heinego nie zna.

BRUKSELCZYK

P.S. Wbrew dotąd przyjętej konwencji, felieton bieżący jest mono-tematyczny. Mimo pozorów tym mono-tematem nie jest jednak Rumunia, a umiejętność uprawiania polityki. Jak wynika z powierzchownego szkicu, nawet w warunkach brutalnych zależności, determinujących stosunki między ZSSR a krajami demokracji ludowej, można prowadzić politykę obrony niektórych przynajmniej interesów własnego kraju.

I choć „ludzi stamtąd" muszą śmieszyć próby przedstawienia Ceausescu jako komunistycznego de Gaulle'a i próby porównania stosunku Rumunii do ZSSR do postawy Francji wobec USA, to jednak słuszny jest chyba wniosek o możliwościach zachowania godności własnej polityków w najtrudniejszych nawet okolicznościach. I o opłacalności takiej postawy.

B.

Pisane 12 lipca 1970

Ogólnoświatowa Konferencja Młodzieży

W Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, które jest najwyższą instancją tej organizacji, każdy głos liczy się jednakowo. Tak samo Senegalu, Republiki Czad jak i Francji. Tak samo Mongolii jak i ZSSR. A ponieważ każdy wie, że Senegal, Czad lub Mongolska Republika Ludowa — to nawet nie satelici, tylko najwyżej klienci mocarstw-protektorów, wszyscy zdają sobie sprawę, że ONZ jako „Demokratyczny Parlament Narodów" jest fikcją. Ale z tego, że ONZ jako Parlament jest fikcją nie wynika bynajmniej, że musi być wyłącznie instytucją ornamentacyjną. Przeciwnie, w okresie gdy Stany Zjednoczone dominowały nad światem, unieszkodliwiając z powodzeniem próby sowieckiej dywersji, komuniści nie bez racji dowodzili, że ONZ zamieniła się w „amerykańską maszynę do głosowania". ONZ w ocenie komunistów była zła i reakcyjna, ponieważ powinna była służyć „dziełu pokoju

i postępu", co w tłumaczeniu na ludzki język oznaczało po prostu, że ONZ z amerykańskiej — powinna stać się „sowiecką maszyną do głosowania". Jeśli chodzi o klasyfikację polityczną całej sprawy, to odpowiadała ona zwykłym schematom propagandy sowieckiej. Natomiast ukryta w tym była pewna dość niewątpliwa prawda, która streszczała się w tym, że ONZ spełnia tylko wówczas jakieś praktyczne cele (złe lub dobre w zależności od takiej czy innej politycznej oceny) o ile staje się narzędziem w rękach jednego supermocarstwa lub stworzonego przez nie Bloku. Traci je, gdy supermocarstwo przeżywa okresowy lub trwały zmierzch, nie jest jednak na tyle słabe, aby pozwolić na przejęcie przewodnictwa swemu dotychczasowemu kontrahentowi. Taka właśnie sytuacja istnieje aktualnie w ONZ.

Wraz z upadkiem dotychczasowej hegemonii Stanów Zjednoczonych w świecie, berło rządów w ONZ nie przeszło w ręce ZSSR co łatwo mogłoby nastąpić, gdyby nie to, że prawie równolegle z osłabieniem NATO i wpływów USA, nastąpiło rozbicie Bloku sowiecko-chińskiego. Dlatego w ONZ panuje obecnie coś w rodzaju „bezkrólewia" spotęgowanego jeszcze bardziej wzrostem liczby krajów członkowskich o kilkadziesiąt państw Trzeciego Świata — Afryki i Azji. Oczywiście ONZ nie stała się bynajmniej dopiero ostatnio fikcją „demokratycznego parlamentu świata". Była nią zawsze, ponieważ ciężar gatunkowy jej członków przeczył zasadzie równości. Natomiast dopiero w ostatnich latach nabrała cech instytucji dekoratywnej, czego nie można było o niej powiedzieć w okresie rozkwitu NATO — wojny koreańskiej a nawet w jakiś czas potem.

Nawet najważniejszy akt, jakim był w ciągu ostatniego kilkulecia doprowadzenie do rozejmu na Bliskim Wschodzie, mógł z powodzeniem dokonać się bez udziału Rady Bezpieczeństwa ONZ. Zainteresowani partnerzy — Sowiety i Stany Zjednoczone wraz z przedstawicielami stron wojujących mogli równie dobrze spotkać się gdziekolwiek choćby w salonach hotelu Waldorf Astoria skąd łączność ze światem jest równie dogodna jak z gmachu na Pierwszej Avenue.

Mimo tych wszystkich niepomyślnych dla ONZ zmian, wielkie mocarstwa nie były i nie są bynajmniej zainteresowane w doprowadzeniu jej do całkowitego uwiądu, a w szczególności do kompletnego obniżenia jej prestiżu. Po co? Nie wiadomo czy układ sił na świecie nie zmieni się i czy któryś z najważniejszych partnerów nie zawładnie ponownie ONZ. Gdyby ONZ było ciałem biologicznym, najprościej byłoby zachować ją w stanie hibernizacji, wyprowadzając ją z tego stanu tylko w wypadkach należycie uzasadnionych, ale ponieważ nim nie jest, należy od czasu do czasu inicjować akcje galwanizacyjne, zmierzające do zachowania jej prestiżu. Do tego zaś tradycyjnym środkiem są obchody, zjazdy i uroczystości z okazji. Obecną okazją jest 25-lecie istnienie Organizacji i dzięki temu właśnie można kontynuować ów wysoce pożyteczny cykl galwanizacyjny, z którego jednym z najważniejszych momentów był Światowy Zjazd Młodzieży pod

auspicjami i protektoratem ONZ. Zjazd odbył się w dniach od 9 do 17 lipca 1970 roku. Pieniędzy na to początkowo nie było, ale potem jakoś się znalazły. Powód a właśnie pretekst do zwołania Zjazdu Młodzieży był prosty i przemawiający: skoro starzy nie mogą, niech młodzi spróbują. Wprawdzie z góry wiadome było, że w polityce to czego nie potrafią starzy, nie uda się i młodym, ale w epoce generalnego schlebiania młodości, inicjatywa pomyślana była nie głupio. Cóż zresztą może skuteczniej ożywić martwy gmach jak wielkie zbiegowisko młodych rebeliantów i burzycieli porządków, bo tak przecież w wyobrażeniu inicjatorów konferencji wyglądać miała młodzież, której oczekiwano ze wszystkich zakątków świata. Ze wszystkich — bo żeby Zjazd był bardziej ożywiony i absolutnie demokratyczny, zapraszano delegatów z terytoriów kolonialnych i podległych. Poza tym wezwano do udziału rozmaite organizacje studenckie, młodzieżowe bez wyraźnego klucza wyboru. Niezależnie więc od delegacji młodzieży krajów zrzeszonych i niezrzeszonych w ONZ obecni byli przedstawiciele Kwakrów, Światowej Federacji Młodzieży słynnej ze swych festiwalów w Moskwie, Pradze i Warszawie, Związku Studentów Palestyńskich, Światowego Związku Studentów Żydów, organizacji walczącej o niepodległość Porto Rico i Wysp Dziewiczych, przedstawiciele Sokolstwa, Skautów, Kongresu Panafrykańskiego, Światowej Rady Kościołów i wielu innych stowarzyszeń. W sumie przybyło około 600 delegatów.

Zjazd tak wielobarwny, a nawet tak wielobranżowy dawał teoretyczne prognostyki niesłychanego ożywienia i burzliwych obrad, wynikających z konfrontacji i starcia rebeliantów o zgoła odmiennych koncepcjach urządzenia świata i tworzenia nowego. W istocie, prognostyki te okazały się jak najbardziej teoretyczne, choć skądinąd przebieg zjazdu był rzeczywiście burzliwy. Na składzie personalnym zjazdu zaciążył prosty fakt, że zgodnie z zaleceniami ONZ — państwa imperialistyczne i kolonialne, uprawiające ucisk człowieka przez człowieka, dopuściły krytyków własnego „kapitalistycznego *establishment*". Natomiast państwa, w których ucisk człowieka przez człowieka zastąpiono czymś przeciwnym — zignorowały zalecenia ONZ i własnych krytyków nie dopuściły. To znaczy trudno powiedzieć czy dopuściły czy nie. Po prostu taki krytyk ani w 15-osobowej delegacji sowieckiej — reprezentującej ZSSR, Ukrainę i Białoruś, ani w delegacji polskiej, węgierskiej, NRD-owskiej, albańskiej, bułgarskiej, czechosłowackiej się nie znalazł. I tak samo, jak z góry wiadome było, że się nie znajdzie socjalistyczny krytyk socjalizmu, tak samo wiadome było, że delegaci krajów kapitalistycznych będą bezwzględnymi (choć nie na jedno kopyto) krytykami kapitalizmu. Na Kongresie było wprawdzie trochę przedstawicieli „Nowej Lewicy" — tej spod znaku Marcuse'a, ale w najmniejszej mierze nie okazała ona swego dynamizmu. Wydaje się zresztą, że zbojkotowała Kongres uważając go, nie bez racji, za imprezę pozbawioną większego znaczenia. Dużo było za to delegatów Trzeciego Świata — a więc krajów arabskich i Czarnej Afryki i Azji. I tu w dobo-

rze delegatów działał zbliżony mechanizm do tego, który określał składy reprezentacji młodzieżowych w państwach Zachodu i Bloku Komunistycznego. Te kraje III Świata, które zachowały pewną ograniczoną swobodę życia politycznego, nie ingerowały w wyborze delegatów. Ściśle biorąc, jeśli działały tu jakieś wpływy odgórne, to nie tyle dyrektywy rządowe, ile najzwyklejsze protekcje rodzinne czy plemienne. Wśród czarnych delegatów z Afryki był prawdopodobnie najwyższy procent dzieci lub pociotków tamtejszych notabli, którzy zresztą należą do niezbyt licznej rzeszy młodego pokolenia znającej język byłych kolonizatorów, bez którego trudno uczestniczyć w jakiejkolwiek konferencji pod auspicjami ONZ. Ci — w odróżnieniu od delegatów sudańskich, algierskich, egipskich, libijskich, gwinejskich i nigeryjskich czyli przedstawicieli Trzeciego Świata obrządku sowieckiego, byli zagubieni na równi z Sokołami, Skautami, Kwakrami, delegatami YMCA i wielu innych stowarzyszeń i organizacji. Impreza bowiem, na którą przybyli jako ludzie dobrej woli czyli absolutnie naiwni, a w dodatku młodzi, przeszła wszelkie ich oczekiwania. Wielu z nich przestało uczestniczyć w Kongresie już w drugim dniu obrad.

O tym, że „młodzieżowiec" może mieć tyle wspólnego z młodzieżą, co sprawny dżokej z koniem, wie każdy Rosjanin, Polak, Czech i Węgier. Niestety, nie wiedzieli o tym wszyscy obserwatorzy Kongresu w Stanach Zjednoczonych, którzy z typem profesji „młodzieżowca" jeszcze się nie oswoili. Górną granicę wieku delegatów rekomendowano na poniżej trzydziestki. Oczywiście w 20-osobowej grupie sowieckiej, włączając w to delegację mongolską, znalazła się pewna liczba panów, dobrze już po czterdziestce. Nie robiono im zresztą żadnych szczególnych wstrętów. Raczej odwrotnie. To oni robili wstręty. Pokpiwała sobie tylko z nich nieco prasa amerykańska. Sądzę jednak, że tutejsi dziennikarze przykładali zbyt wielką wagę do groteskowego skądinąd zjawiska łysin i siwizn występujących wśród podstarzałych weteranów ruchu młodzieżowego, mających reprezentować Kraj Rad. Cóżby bowiem się zmieniło, gdyby np. 45-cioletni przewodniczący delegacji mongolskiej liczył 20 lat mniej? Przecież byłby takim samym urzędnikiem komunistycznego państwa jak i obecnie. Tyle tylko, że mniej doświadczonym. Na pewno, będąc młodym, też by nie reprezentował ani żadnej młodzieży ani nawet samego siebie. Podobnie jak i reszta sowieckiego zespołu składał się przecież tylko z wtłoczonych latami poglądów komunistycznego aparatczyka na eksport. Takiego, który nie zawiedzie w konfrontacji z obcym światem.

To, że Rosjanie nie przejmowali się nawet rygorami formalnymi, świadczyło tylko jeszcze raz o tym, że Sowiety w ostatnich latach coraz mniej liczą się z wszelkimi pozorami. Nie liczyli się z nimi wysyłając owych posiwiałych w bojach z imperializmem delegatów; nie liczyli się, dodając do 15-stosobowej delegacji najzupełniej bezprawnie 9-ciu zastępców i domagając się opłacenia im kosztów podróży, co zapewne Sekretariat ONZ

uczynił, licząc się z tak poważnym klientem jakim jest ZSSR.

Grupa delegatów z każdego kraju miała być pięciosobowa. Niemal żadne państwo małe, duże czy średnie nie zrezygnowało z owej piątki. Jeden z nielicznych wyjątków poza Czechosłowacją stanowiła Polska. W wysłanej trójce granica wieku została utrzymana. Polacy zachowali się skromnie i powściągliwie. Nie piorunowali nadmiernie na marionetkowe rządy południowoamerykańskie ani na niemniej marionetkowe — wchodnioazjatyckie. Jeśli ich warszawscy mocodawcy z Białego Domu na roku Alei Jerozolimskich i Nowego Światu nie odczuwali zażenowania, to niewątpliwie odczuwali je sami delegaci. Ograniczyli się do wygłoszenia kilku krótkich stereotypowych mów. Zdawali sobie zapewne sprawę, że nikogo nie reprezentują. Pojmowali drażliwość sytuacji, w której większość ściskających im dłonie rówieśników bądź też sowieckich seniorów wiedziała równie dobrze jak i oni, że ta najlepsza buntownicza polska młodzież, sterroryzowana i obezwładniona po stłumionej rebelii sprzed przeszło dwu laty przeżywa gorycz poniżenia Polski zepchniętej do roli najnędzniejszego, najbardziej zwasalisowanego w całym bloku sowieckim, satelity.

W bardziej poniżającej sytuacji znaleźć się mogli tylko delegaci Czechosłowacji. Ci zachowali się z bezczelnością, która musiała im zyskać pełne uznanie kolaboracjonistycznego rządu Husaka. Gdy na Komisji Światowego Pokoju — najważniejszej z powołanych przez Kongres, grupa skandynawskich delegatów, zdeklarowanych zresztą lewicowców, zaproponowała uzupełnienie raportu jednym zdaniem potępiającym inwazję Czechosłowacji przez wojska Paktu Warszawskiego, reprezentant czeski wystąpił z energicznym protestem stwierdzając, że jako żywo żadnej interwencji ani tym mniej inwazji nie było. Że jest i był spokój i że cały naród czesko-słowacki jest zjednoczony wokół. Choć swym oświadczeniem, które koniec końcem było jedyną racją jego podróży na Kongres, dyskusji nie zamknął, raport Komisji Pokoju, której przewodniczył palestyński student Fawaz Najia, wypełniony został całkowicie litanią oskarżeń wyłącznie w jedną stronę. Pod adresem Ameryki i krajów zachodnich. Nawet bez taryfy ulgowej dla Francji. Za kolonializm, imperializm oraz neokolonializm. Za tłumienie wolności, za wyzysk, eksploatację, za instalowanie rządów marionetkowych. Nigeryjczycy, Gwinejczycy, Sudańczycy oraz przedstawiciel NRD, którzy pichcili ów raport, nie mogli, rzecz jasna, znaleźć ani jednego słowa nagany pod adresem Sowietów i ich rządów satelickich. Wschodnia Europa i rozległe połacie Związku Sowieckiego, nie wyłączając nawet nieco chłodniejszych okolic, były dla nich zapewne czymś w rodzaju ogrodu Allacha, zaś przewodniczący Komisji Fawaz Najia, walczący z takim samozaparciem o niepodległą, wolną i demokratyczną Palestynę, nie zauważył, że co najmniej takie same prawa do suwerenności mogą sobie rościć, Czesi, Słowacy, Polacy, Ukraińcy czy Białorusini.

Przygotowany, w oparciu o czysto sowiecką recepturę, raport

Komisji Pokoju nie mógł oczywiście w takiej postaci zostać przyjęty przez Zgromadzenie bez protestów, nawet przy tak niedwuznacznym charakterze jaki udało się konferencji nadać zespołowi sowieckiemu i sprzymierzonym z nim delegatom niektórych państw Trzeciego Świata. Ale cała sprawa łamać się właściwie zaczęła dopiero w ostatnich godzinach końcowej sesji, gdy przewodniczący Szwed — Lars Thalen starał się cierpliwie i z uporem przeprowadzić w normalnym, zaaprobowanym przez Konferencję, trybie przegłosowanie poprawek do Apelu, jaki Kongres miał skierować do najbliższej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Podstawą owego apelu miał być raport spreparowany przez ową Komisję Pokoju.

Łomot, walących pięściami o pulpity, występujących w zwartym ordynku delegatów sowieckich, polskich, bułgarskich, czeskich, egipskich, sudańskich, nigeryjskich ukazał jeszcze raz jak zorganizowana mniejszość potrafi narzucać wolę Parlamentowi Króla Maciusia. Bo obrady konferencji w swym końcowym stadium chwilami rzeczywiście przypominały ów korczakowski sejm. Z jedną dość ważną różnicą. U króla Maciusia rządziły dzieci, a starsi poszli do domu. Natomiast na sali Zgromadzenia Ogólnego ONZ działała zamaskowana „młodzieżowością" frakcja profesjonalnych, najzupełniej dojrzałych funkcjonariuszy, którzy przyjechali z gotowymi rezolucjami i ścisłymi instrukcjami spreparowanymi przez „starych" w sowieckim KC i MSZ-cie. Frakcja ta odbywała trzy razy dziennie odprawy, przeprowadzając przegląd wszelkich możliwych sytuacji oraz debatując nad tym jak zabezpieczyć się przed niespodziankami; jak neutralizować i unieszkodliwiać naiwnych Skandynawów, politycznych analfabetów, którzy przyjechali z idiotycznymi pomysłami mówienia całej prawdy... Niestety, okazało się, że niby całkiem prostą polityczną robotę narzucenia własnego zdania przybyłym ze wszystkich zakątków świata 600 naiwniakom można równie dobrze zawalić jak produkcję tekstyliów, szczotek do butów czy żyletek. Bo czyściutka zdawać by się mogło robota została haniebnie w ostatnim niemal momencie owymi nieszczęsnymi poprawkami zawalona. Co gorsza, nie wiadomo jak i dlaczego tak się stało. No, bo jeżeli do dobrej rezolucji, która ma może chyba tę usterkę, że nie można było w niej potępić rozbijackiej roboty Mao — wjedzie jak słoń do składu porcelany potępienie interwencji w Czechosłowacji z jakimiś idiotycznymi żądaniami przywrócenia demokracji i suwerenności, to taka rezolucja jest diabła warta.

W tym momencie wypada zastanowić się nad duszą aparatczyka, dla którego rzeczywistość ostatniej godziny Konferencji zaczęła nabierać jakichś surrealistycznych skrzywień. Działy się rzeczy, które nie powinny się były dziać; które nie mieściły się w żadnych z 60 czy 120 schematów-wariantów, które należało przewidzieć, mając do czynienia z taką nieprawdopodobną zbieraniną nie wdrożoną do żadnej solidnej szkoły partyjnego myślenia. A może owi naiwni Szwedzi, którzy z męczącym, pozbawionym wszelkiego temperamentu ludzi Północy, uporem wracali do spra-

wy czechosłowackiej, nie byli tacy naiwni? Faktem jest, że uparty Lars Thalen, przewodniczący zebrania, używał swego drewnianego młotka umiejętnie, potrafiąc często dość zgrabnie przytłumić podnoszący się na komendę tumult w prawej części sali. Sprzymierzeni, walący w pulpity, mogli wprawdzie nie dopuścić żadnego mówcy, którego nie chcieli, ale nie mogli usunąć Szweda — który najwyraźniej w świecie chciał na finiszu konferencji postawić się okoniem faktycznym gospodarzom zjazdu — Związkowi Sowieckiemu.

W ostatnich 40 minutach zebrania, po bezustannym młóceniu sprawy głosowania lub niegłosowania poprawek, wszedł na trybunę Murzyn-Amerykanin. Powitały go życzliwie oklaski. Mówca ten był już znany z pozytywnej postawy. Stanowisko zajmował prawidłowe, aczkolwiek nie bez uchybień. Teraz właśnie, w trudnym momencie mógł dać dowód dojrzałości; pokazać, że dorósł. Rzeczywiście dorósł. Nie wyglądał nawet tak bardzo radykalnie ani panafrykańsko. Żadnych medali, żadnych naszyjników z lwich kłów. Ot zwykła jasna, błękitna marynarka. Ale przemawiał... Jak weteran, który z niejednego pieca walki klasowej chleb jadł. Właściwie nie przemawiał, ale tłumaczył. Ciężko, cierpliwie, z perswazją. Mówił o ludobójstwie, dokonywanym przez jego ojczyznę — Stany Zjednoczone. O dwóch zastrzelonych czarnych studentach. O zamordowanym przez imperialistów Martinie Lutrze Kingu. O eksploatacji, o nędzy, o niewoli, o gwałtach policji. O tłumieniu wolności. Mówił prosto z serca, tak jak ten prosty człowiek do drugiego prostego człowieka. Aż brawa go zagłuszyły. I delegatów sowieckich, którzy najbardziej oklaskiwali go za to tłumienie wolności. I sudańskich gdy Murzyn mówił o gwałtach. I nigeryjskich — gdy piętnował ludobójstwo i algierskich gdy gromił deptanie praw człowieka. Tylko ci z Demokracji Ludowych nie wszyscy bili. Oni, chłopcy oblatani, wiedzieli już dobrze, że w tym kraju można buzię rozpuścić bez granic, że prezydentowi i rządowi można wymyślać od łajdaków, sędziom i policjantom — od świń, ale żeby coś takiego z ludobójstwem... — Stany Zjednoczone... mówił dalej Czarny Amerykanin — trzeba izolować od świata politycznie i fizycznie. Co prawda, nikt nie wiedział, co to znaczy „izolować fizycznie" ale wiedzieli, że trzeba. Może blokada? Tak, pewno blokada. Tak jak kiedyś Napoleon — Anglię. Sala piała entuzjazmem. Ale Murzyn kontynuował. Trzeba było przecież załatwić tę nieszczęsną czechosłowacką poprawkę. Tamto to było tylko wstęp. — Przyjaciele — ciągnął delegat — z gryzącą jak kwas siarkowy ironią — któż nam się tu tak troszczy o Czechosłowację? Imperialiści — co? Powiem wam tylko jedno. Gdy nastąpiły wydarzenia w Czechach, CIA zapisała to na straty. To mi wystarcza. Gdy imperialiści nie mogą wejść frontem, wchodzą tylnymi drzwiami. A jak wchodzą tylnymi drzwiami, trzeba ich wyrzucić przez okno — zakończył ze swadą i dowcipem. Rzetelne go za to spotkało brawo. Niejeden też zrywał się z krzesła, aby uścisnąć dłoń zacną. Ktoś prosił o głos, ale że był niepewny, więc go zagłuszono. Nawet go przewodniczący nie wyreklamował. Przez 10 minut słychać było ryki i równomierny zdysvcyplinowany jazgot z ław Bloku.

Ale Lars Thalen znów kropnął młotkiem i poddał pod głosowania inną poprawkę. Taką dobrą. Żeby Palestyna była wolna od okupacji izraelskiej. To wiadomo. Ta mogła i musiała przejść. Tylko 17 się sprzeciwiło. 360 było — za. A potem zaraz — Boże przebacz — o Czechosłowacji — żeby też była wolna i niepodległa i żeby wojska sowieckie się z niej wyniosły, i żeby ZSSR przywróciła w niej demokrację. Teraz poznałem perfidię szwedzką. 270 otumanionych za nią głosowało, a tylko 150 się sprzeciwiło. I to w 15 minut po przemówieniu amerykańskiego Murzyna, który tak tłumaczył, że to imperialiści i że od kuchni. I przecież oklaskiwała go sala jak jeden mąż. Więc nie za to co mówił, tylko za to, że Murzyn — że syn prześladowanej rasy?

I tak Bogiem a prawdą — dumałem — to jakiż ma sens ta cała poprawka? — Nie tylko domagają się od Rosjan, żeby wycofali wojska ale jeszcze, żeby demokrację przywrócili w Czechosłowacji.

Po tym jakaś gazeta amerykańska napisała, że od czasu jak Nikita Chruszczow zdjął sztyblet i walił nim w pulpit, takiego ożywienia w Sali Zgromadzenia Ogólnego nie było. I to chyba było najważniejszym osiągnięciem Światowej Konferencji Młodzieży zwołanej do New Yorku z okazji 25-ciolecia ONZ.

Zbigniew BYRSKI

Lipiec 1970

Kronika angielska

DYSKUSJA Z CZYTELNIKAMI

W jednym z poprzednich moich artykułów wysunąłem pogląd, że w świecie polskim na obczyźnie panuje kryzys komunikacji. Terminy i określenia, których używamy stają się coraz bardziej wieloznaczne. Do każdego artykułu należałoby dołączać komentarz. Jeżeli autor używa słowa „demokracja" powinien w komentarzu dokładnie wyjaśnić o jakim typie demokracji mówi, jeżeli pisze o „rewizjonizmie" powinien sprecyzować co ma na myśli używając tego terminu itp., itd.

Gdy przeglądam moje artykuły z okresu ubiegłych trzech lat — dochodzę do wniosku, że niemal każdy artykuł służy do wyjaśnienia poprzedniego artykułu. Dyskusja jest pożyteczna, jeżeli dotyczy istoty rzeczy. Lecz my na ogół nie dyskutujemy tylko wyjaśniamy sobie nawzajem co rozumiemy przez dane terminy. Jeżeli Czytelnik stawia znak równania pomiędzy terminem „Rosja" a terminem „Związek Sowiecki" — nie jest w stanie zrozumieć większości politycznych artykułów w *Kulturze*. Dla innego Czytelnika określenie „socjalizm o ludzkim obliczu" może być niejasne. To jest bowiem

skrót myślowy, który jest w pełni zrozumiały tylko dla tych Czytelników, którzy są dobrze obeznani z programem wolnościowej rewolucji w Czechosłowacji, zdławionej przez Sowiety.

W związku z artykułem pt. „Futurologia polska" otrzymałem sporo listów. Nie brak wśród nich głosów pomawiających mnie o... faszyzm. Jeżeli socjalista zarzuca mi faszyzm — to jest oczywiście, że mówiąc o socjalizmie mój Czytelnik i ja mamy dwie różne rzeczy na myśli.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Jeżeli czas i zdrowie pozwolą — pragnąłbym opracować „Polityczny Słownik *Kultury*". Tego typu słowniki mają Amerykanie, Anglicy, Francuzi i wiele innych narodów. Oczywiście nie byłoby rzeczą możliwą opracowanie ogólnoemigracyjnego słownika politycznego. Istnieją pomiędzy nami zbyt wielkie różnice i komitet redakcyjny powołany do ułożenia słownika nie uzgodniłby pomiędzy sobą tekstu ani jednego hasła. Słownik, który chciałbym opracować dotyczyłby wyłącznie *Kultury*. Tego rodzaju niewielka broszura oddałaby wielkie usługi zarówno niżej podpisanemu jak i naszym Czytelnikom.

Weźmy przykład: Ilekroć w artykule trzeba użyć słowa „socjalizm" tonę w wątpliwościach. Czy trzeba napisać „socjalizm demokratyczny" — czy może lepiej „socjalizm typu zachodniego" a może „socjalizm przyszłości"? Te dodatkowe określenia powiększają *de facto* wieloznaczność samego terminu, ponieważ socjalizm, w naszym zrozumieniu, jest z definicji demokratyczny. Pisanie więc o socjalizmie demokratycznym przypomina „masło maślane". Z chwilą gdy omawiany słownik zostanie opracowany — wystarczy gdy użyję słowa „socjalizm" bez żadnych dodatków — ponieważ Czytelnik, zwłaszcza niedostatecznie obznajmiony z *Kulturą* — spojrzy w naszym słowniczku pod hasło socjalizm i będzie wiedział o czym jest mowa.

Słownik jest potrzebny, także i dlatego, ponieważ wiele naszych koncepcji nadaje nowe znacznie tradycyjnym terminom politycznym. Weźmy dla przykładu „program wschodni". Historyczne ramy owego programu są utrzymane, staraliśmy się natomiast w naszym sformułowaniu uniknąć błędów, które spowodowały upadek pierwszego programu wschodniego.

Zdaję sobie sprawę, że dla Czytelnika z najnowszej emigracji powyżej przytoczone dwa zdania mogą być niezrozumiałe. Jaki program wschodni? Na to by wyjaśnić o czym mówimy — trzeba by napisać ogromny artykuł — pomimo, że na ten temat pisaliśmy w *Kulturze* wielokrotnie i z dużą dokładnością. W słowniczku, który chciałbym opracować — hasło „Program Wschodni" będzie zwięźle i jasno przedstawione co uczyni zbędnym konieczność powtarzania rzeczy dawno powiedzianych i napisanych.

Kultura stanowi pewne *novum* w polskiej tradycji politycznej. Jesteśmy ośrodkiem politycznym nie będąc partią polityczną ani związkiem konspiracyjnym. Nie jesteśmy związani ani statutem ani uchwałami i dzięki temu możemy poddawać rewizji każdy polski program polityczny bez lęku, że... usuną nas z partii. Partii politycznej do której bym przystąpił — jeszcze nie ma. Nowa polska partia socjalistyczna musi powstać w Kraju — nie na emigracji.

Jak już kiedyś podkreśliłem przy innej okazji najbardziej kontrowersyjny wydaje się zawsze realizm i obiektywizm. Daleko łatwiej jest zdobyć tzw. „szeroką opinię" dla poglądu opartego o tradycję i pobożne życzenia — niż dla poglądu, który idzie wbrew tradycji lecz w zgodzie z realizmem. Lecz

i na tym polu osiągnęliśmy pewne sukcesy. W tak trudnej i bolesnej sprawie jak problem Lwowa i Wilna przekonaliśmy pewien procent społeczeństwa emigracyjnego, co jeszcze 15 lat temu byłoby zupełnie niemożliwe.

Z listów jakie ostatnio otrzymaliśmy w tej sprawie — przytaczam we fragmentach dwa — najbardziej charakterystyczne.

Oto fragment listu doktora med. Tadeusza Maciejczyka z Milledgeville, Illinois:

> „Nie zgadzam się z p. Mieroszewskim, że esencją stosunku pewnego procentu Czytelników do jego problematyki jest tylko alergia. Wydaje mi się, że można się tam doszukać czegoś więcej. Nerwowe załamania się spowodowane czytaniem jego artykułów wydają mi się mieć inne podłoże i znaczenie.
>
> Był czas, kiedy prawdopodobnie i we mnie krew by wrzała czytając o planach rezygnacji ze Lwowa i z Wilna, o wmawianiu nam, że powinniśmy pomagać Ukraińcom w odzyskaniu niepodległości wianując ich przy tej okazji naszymi tradycyjnymi ziemiami. Dla mnie Lwów i Wilno były tak polskie.
>
> W drugiej połowie lat 40-tych i w latach 50-tych Hiszpania utworzyła w Madrycie stypendia dla studentów zza żelaznej kurtyny. Pod jednym dachem znalazła się grupa polska, grupa ukraińska, był Litwin, było kilku Białorusinów, byli Czesi, Słowacy i inni. Początkowo dla mnie to był szok. Ale lata współżycia tych grup pozwoliły na zbliżenie i zrozumienie. Ileż nocy spać nie mogłem trawiąc sprawę Lwowa i Wilna: co słuszne? Co nie słuszne? Co realne? Dojrzewanie myśli i sądów sprawiało ból. Wydaje mi się, że alergia do artykułów p. Mieroszewskiego jest samoobroną, jest ucieczką od tego bólu. Jest u jednych reakcją strusia chowającego głowę w piasek, a u drugich jest formą „trawienia" (problemu) jeśli go przyjmują ale załamują się nerwowo".

Autorem drugiego listu jest p. Andrzej Wołodkowicz z Montrealu:

> „... Czytam ze zgrozą jak to p. Mieroszewski oddaje szczodrą ręką Wilno Litwinom a Lwów Ukraińcom... Piszę to nie jako potomek rodziny od wieków osiadłej w Mińszczyźnie, ale jako Polak pragnący nie tylko niepodległości ale całości ziem polskich. Zamiast przygotowywać, na razie na łamach *Kultury*, piąty rozbiór Polski, należałoby pomyśleć o mądrej polityce mniejszościowej, gwarantującej pełnię praw obywatelskich i wzajemne poszanowanie".

Dla p. Wołodkowicza Ukraińcy i Litwini to są ciągle „mniejszości narodowe" a nie narody. Litwinom i Ukraińcom nie należy się w przyszłości nic tylko lepsza niż dawniej polska polityka mniejszościowa.

Nie jest łatwo Czytelnikowi przystosować się ani do naszej metody ani do naszego typu rozumowania. Jesteśmy zawsze nastawieni na Kraj — tzn. nie Drugą Rzeczpospolitą tylko obecną rzeczywistość krajową bierzemy za punkt wyjścia wszystkich naszych koncepcji i analiz. Przy sprzyjającej koniunkturze Polska może kiedyś wydobyć się spod przemożnego nacisku Sowietów. Lecz po 40-tu czy 50-ciu latach, które w danej sytuacji dzielić nas może będą od upadku drugiej Rzeczpospolitej — nie można niczego restaurować. Weźmy dla przykładu sprawę ustroju. Z chwilą kiedy zejdzie do grobu pokolenie członków PPS — w Polsce nie będzie ludzi, którzy byli w prze-

szłości związani z tą partią. Kto w takiej sytuacji miałby restaurować PPS?

Polityka w znacznej mierze polega na trafnym przewidywaniu przyszłości. Trafnie przewidywać można tylko w oparciu o realne rozpoznanie teraźniejszości. Obraz Polski za lat 20 czy 30 wydedukowany obiektywnie z dostępnego dziś materiału jest czymś tak krańcowo różnym od obrazu Drugiej Rzeczpospolitej — że Polacy na Emigracji wzdragają się ów koncept przyszłości przyjąć za prawdopodobny.

Kilka dni temu jeden z moich londyńskich znajomych — człowiek o dużej inteligencji i wykształceniu — zatelefonował do mnie i powiedział co następuje: „Co pan wypisuje o polskim Dubczeku? Polskiego Dubczeka warszawiacy wywieźliby na taczkach tego samego dnia w którym by się pojawił".

Słuchając owej opinii przypomniałem sobie „światłe słowa" jednego z emigracyjnych pisarzy londyńskich, że „każdy socjalizm jest niewolą".

Nie trzeba być doprawdy jasnowidzem by zdawać sobie sprawę z jakim entuzjazmem Polacy w Kraju powitaliby zniesienie cenzury, pociągnięcie do odpowiedzialności UBeków, zwolnienie z więzień więźniów politycznych itd. W przeciągu tygodnia prasa krajowa, radio i telewizja zmieniłyby swe oblicze nie do poznania. Za człowiekiem, który by tego dokonał opowiedzieliby się wszyscy. Socjalizm z ludzkim obliczem miałby poparcie 70 a może 80 procent społeczeństwa. I to jest zrozumiałe ponieważ „dubczekizm" w porównaniu z „gomułkizmem" wydawałby się Polakom w Kraju bez mała rajem na ziemi.

My nie żyjemy pod Gomułką i wskutek tego dla nas „dubczekizm" nie wydaje się atrakcyjny. Mówimy ciągle o konstytucjach, o pięcio przymiotnikowych głosowaniach, o wyborach, o demokracji w sensie zachodnim itd. Ponieważ większość z nas opuściła Kraj 30 lat temu — czerpiemy naszą polskość z przeszłości. Ja sam przed spaniem czytuję „Pana Tadeusza". Umiem go prawie na pamięć. Lecz to jest jedyna Polska do której każdej nocy bezpiecznie mogę powrócić.

Jesteśmy w znacznej mierze „literackimi" Polakami. Giniemy „zdradą" naszej literatury, która nie uczyła nas nigdy rzeczywistości tylko przeciwnie, skazywała Polskę na romantyczną wielkość. Rosja odrzucona za Dniepr — dzwon zygmuntowski obwieszczający narodowi wolność i potęgę — „rabaty kawalerii pełne galanterii" — to jest wizja do której jesteśmy daleko lepiej przygotowani niż do „dubczekizmu".

Adam Czerniawski w liście do mnie pisze:

> „Szczerze mówiąc przeraża mnie zbieżność stanowiska *Kultury* ze stanowiskiem oficjalnych czynników PRL: okazuje się, że każdy Polak jest w duchu soc-realistą. 'Sztuka w służbie narodu!' — jest hasłem bardzo niebezpiecznym".

Zgadzam się z powyższą opinią. Czerniawski nie rozumie natomiast genezy zjawiska.

Za czasów mojej wczesnej młodości mówiło się o Powstaniu w 1963 jak o dniu wczorajszym. Znałem osobiście wielu powstańców. Później przyszła pierwsza wojna światowa — Legiony — rok 1920 — króciutki i zewsząd zagrożony okres niepodległości i druga wojna światowa. Jesteśmy narodem „w stanie wyjątkowym" od pokoleń. Stan wyjątkowy oznacza oczywiście

powszechną mobilizację — z mobilizacją literatury włącznie. „Twierdzą nam będzie każdy próg" — nie napisał zawodowy wojskowy — tylko zawodowa literatka.

Gdybym się doczekał normalnej Polski — uładzonej i zabezpieczonej z zewnątrz — pierwszy domagałbym się całkowitej demobilizacji literatury. W przeszłości owa mobilizacja, która trwała dziesiątkami lat doprowadziła do pewnego typu schizofrenii, do dwóch Polsk: jednej literackiej, skazanej na wielkość i purpurę — oraz drugiej, rzeczywistej, tonącej w błocie i w zacofaniu.

Różnica pomiędzy mną a Czerniawskim sprowadza się do różnicy pokoleń. Dla młodych owo stulecie 1863-1963 nie stanowi ciągłości wywodzącej się z własnych doświadczeń. W rezultacie młodzi nie są świadomi, że alarmu nikt nie odwołał, że stan wyjątkowy trwa nadal.

W *Kulturze* od samego początku staraliśmy się wyrwać z owego zaczarowanego koła Polski literackiej — ponieważ zdawaliśmy sobie sprawę, że politykę polską projektować można tylko w rzeczywistej materii, a nie na papierze. Owym rzeczywistym materiałem jest Polska Ludowa, komunizm i sytuacja geopolityczna. To jest glina z której należy lepić obraz przyszłej Polski — jeżeli ów obraz ma mieć cechy podobieństwa i prawdopodobieństwa.

Ewolucjonizm, który zakładał, że cokolwiek w Polsce się stanie nie wyłączając rewolucji — będzie ulepione z gliny, którą jest polska rzeczywistość — pokwitowany został na emigracji jako „program minimalistyczny". Nazywano nas nauczycielami małości.

Zderzenie obrazu Polski na obstalunek literatury z obrazem Polski ujętym realistycznie i ewolucyjnie było nieuchronne.

Polska w ostatnich 30-tu latach z państwa problemowego, którego los i polityka były dyskutowane we wszystkich stolicach świata — przekształciła się w drugorzędną, głuchą prowincję. To poczucie drugorzędności i prowincjonalności w zestawieniu z wizją Polski jaką odziedziczyliśmy z literackiego przekazu — prowadzi do beznadziejności i zobojętnienia.

Z Polski odbywa się ustawicznie exodus ludzi utalentowanych lecz temu intelektualnemu wyjaławianiu Polski nie odpowiada intelektualne wzmocnienie emigracji.

Muszę przyznać, że wyobrażałem sobie to wszystko inaczej. Sądziłem, że tak czechosłowaccy jak i polscy nowi emigranci po tragedii praskiej, po procesie Taterników — podejmą jakąś konkretną polityczną działalność. Nie mam pretensji do tych nowych emigrantów, którzy stronią od *Kultury*. *Kultura* nie może być pismem neo-marksistowskim, ponieważ poczytano by to za dywersję. Lecz dlaczego ci nowi emigranci, którzy związani byli z Partią — nie wydają choćby własnego kwartalnika?

Dubczeka wezwano z Ankary do Pragi. Dlaczego Dubczek nie wysiadł z samolotu w Paryżu i nie poprosił o azyl? Wokół niego skupiliby się wszyscy czescy emigranci — ponieważ Dubczek pomimo swych błędów jest dziś w pewnej mierze legendą. Legendą jest również Leszek Kołakowski i to w całym Bloku Wschodnim włącznie z Sowietami. Tych dwóch ludzi, tak niezmiernie różnych, jednak coś bardzo istotnego łączy. Symbolizują obaj pewną charakterystyczną postawę.

Tak Dubczek jak i Kołakowski są rewizjonistami, zwolennikami socjalizmu z ludzkim obliczem i obaj za swoje przekonania zostali usunięci ze swych partii.

Lecz można doszukać się i głębszych analogii. Obaj cytowani panowie reprezentują sukces sowiecki w niezmiernie istotnej sprawie. Sowietom nie powiodło się wykorzenić rewizjonizmu, nie powiodło się im zdławić w ludziach tęsknoty za wolnością intelektualną niemniej Sowiety odniosły znaczny sukces na innym polu.

Od chwili zdobycia władzy przywódcy sowieccy wypowiedzieli wojnę emigracji. Wojna ta przechodziła przez różne fazy. Dziś na ogół władze sowieckie emigrantów ani nie mordują ani nie porywają — lecz Moskwa wypracowała inną metodę walki. Każdy emigrant jest z definicji dywersantem, szpiegiem i zdrajcą. Ideologię antyemigracyjną przeszczepiono wszystkim państwom satelickim. Od „Na Podstawie Martwej Wizy" — poprzez pamflety Arskiego, aż do dziś, po „studia" Fillera i Kolczyńskiego — kampania przeciw emigracji idzie nieprzerwanie od ćwierć wieku.

Ktoś powie, że ludzie klasy Kołakowskiego czy Dubczeka są zbyt inteligentni, by wierzyć w nonsensy antyemigracyjnej propagandy. W tym wypadku nie chodzi o oszczerstwa lecz o rzecz niepomiernie bardziej zasadniczą.

Sukces szkolenia sowieckiego polega na tym, że rewizjoniści — często znacznego kalibru — przejęli dogmat, który głosi, że emigracja jest ślepą ulicą i drogą donikąd. W konsekwencji, nie należy na emigracji podejmować żadnych akcji — ponieważ każda akcja emigracyjna skazana jest na klęskę.

Zbędne dodawać, że gdyby Lenin i jego współtowarzysze myśleli podobnie — nie byłoby rewolucji październikowej. Można by wyliczyć całą litanię przewrotów i rewolucji, które brały swój początek na emigracjach.

Dubczek nie wybrał wolności, ponieważ na skutek szkolenia partyjnego jest uwarunkowany w przekonaniu, że na emigracji nie można niczego dokonać. Jestem pewien, że Lenin w analogicznej sytuacji pozostałby za granicą.

Z jednej strony zwalcza się emigrację jakby była czwartym supermocarstwem świata, a z drugiej strony szkoli się tysiące komunistów w poglądzie, że emigracja jest polityczną nicością. Nie ma w tym logiki, lecz w systemach totalnych logika jest najmniej poszukiwanym i najmniej cenionym artykułem.

Chciałbym zakończyć te rozważania przypowieścią o zupie pomidorowej i demokracji, którą to przypowieść dedykuję Czytelnikom, posądzającym mnie o skłonności monopartyjne. Różnica pomiędzy zupą pomidorową a demokracją polega na tym, że na zupę pomidorową mamy doskonałe i dokładne przepisy, natomiast na demokrację przepisu nie ma.

Proszę łaskawie rozpatrzyć następującą sytuację. W sprzyjającej koniunkturze pojawia się w Polsce przywódca partyjny, który podejmuje hasło, że skoro partia nie zmieniła narodu — partia musi się zmienić sama. Zostaje zniesiona cenzura — przedkłada się narodowi program radykalnych reform społecznych i gospodarczych — przywraca się praworządność gwarantującą wolność osobistą. Gdyby opisana reformacja została podjęta szybko, bez wahań, całym sercem — przywódca partyjny stojący na czele obozu reformy zdołałby sobie entuzjastyczne poparcie niemal całego narodu. Gdyby ów przywódca był dobrym politykiem i taktykiem nie czekałby aż fala entuzjazmu opadnie i reakcja podniesie głowę, lecz przeciwnie, w chwili największego uniesienia ogłosiłby powszechne wolne wybory. W takiej sytuacji ludzie głosowaliby ławą nie na partię tylko na człowieka, na przywódcę, który wybawił ich z kajdan komunizmu i odsłonił przed nimi piękno socjalizmu. Sądzę, że wybory najuczciwsze lecz przeprowadzone w takim momencie przyniosłyby

druzgocące zwycięstwo partii polskiego reformatora. Powtarzam — w takich sytuacjach ludzie głosują na „bohatera", a tym samym na partię, której on przywodzi. Gdyby Dubczek miał możliwość przeprowadzenia wyborów w chwili gdy „wiosna praska" stała w zenicie — odniósłby całkowite zwycięstwo ponieważ głosowaliby na niego niemal wszyscy a nie tylko komuniści i socjaliści.

Jak należy określić ustrój *de facto* jednopartyjny, wyłoniony na drodze powszechnych i uczciwie przeprowadzonych wyborów?

Osobiście poparłbym polskiego reformatora lecz wstrzymałbym się od sądu kwalifikującego, dotyczącego zarówno jego osoby jak i polskiej demokracji. Trzeba by odczekać rok, a może dwa lata, by przekonać się czy reformator nie przemienił się w dyktatora i stupajkę.

Lecz załóżmy, że socjalizm z ludzkim obliczem zdałby egzamin. Załóżmy ze socjalistyczny system funkcjonowałby nie tylko prawidłowo lecz również ku zadowoleniu większości społeczeństwa. Wówczas socjaliści w każdych kolejnych wyborach zdobywaliby przytłaczającą większość mandatów poselskich spychając inne partie na pozycje czysto marginesowe. Czy to również nie byłaby demokracja? Czy nie jest pragnieniem każdego socjalisty by jego partia w wolnych wyborach zdobyła większość w parlamencie tak, by mógł powstać rząd socjalistyczny? Czy celem socjalizmu nie jest społeczeństwo socjalistyczne, które głosowałoby nie na endeków tylko zawsze na socjalistów?

W moim przekonaniu za demokratyczny należy uznać ustrój, który najpełniej realizuje wolę społeczeństwa wyrażoną w wolnych wyborach. Wszystko inne nie jest istotne.

Demokracja, jak wszystko na świecie, jest kwestią stopnia. Skłonny jestem przypuszczać, że Rosjanie nie będą nigdy korzystali z takiej wolności, z jakiej korzystają Anglicy. Lecz gdyby w przyszłości Rosjanie stworzyli ustrój, który dawałby im 40 % tej wolności z jakiej korzysta obywatel brytyjski — byłby to postęp wręcz gigantyczny.

Demokracje wschodnioeuropejskie — jeżeli kiedyś powstaną, w co nie wątpię — będą różnić się znacznie od demokracji zachodnich i byłoby dziwne gdyby było inaczej. Być może, że Anglosasi owych ustrojów nie uznają za pełne demokracje. Lecz jak zauważyłem powyżej tylko na zupę pomidorową istnieje szczegółowy przepis lecz nie na demokrację. Kopiowanie cudzych wzorów nie prowadzi do niczego. Ustrój musi wyrość w mozole, w walce i w trudzie z rodzimej gleby.

LOGIKA

Z punktu widzenia logiki — być może ma Pan rację, lecz w praktyce wszystko to wygląda inaczej...

Logicznie biorąc trudno nie przyznać Panu racji, lecz w życiu i w polityce logika odgrywa minimalną rolę...

Tego typu wypowiedzi tak często padają pod moim adresem w formie krytyki, że postanowiłem przeanalizować ten problem. Wydaje mi się, że nie ma innej racji tylko racja logiczna. Innymi słowy nie można mieć słuszności w danej sprawie i równocześnie być w sprzeczności z logiką. Nikt nie

jest stuprocentowym racjonalistą i z tej przyczyny codziennie w wielu sprawach postępujemy nielogicznie a tym samym niesłusznie. Wiemy dziś, że palenie tytoniu jest znacznie szkodliwsze niż przypuszczaliśmy dawniej — niemniej większość z nas pali zdając sobie sprawę, że jest to postępowanie nielogiczne i nieracjonalne.

W polityce emocje — tzn. odruchy i reakcje nie mające nic wspólnego z racjonalizmem i z logiką — odgrywają ogromną rolę. Problemy rasowe, mniejszościowe, sprawy religijne — jak np. w Północnej Irlandii — wszystkie owe zagadnienia dynamizują emocje, które z kolei utrudniają, a często wręcz uniemożliwiają, logiczne rozwiązanie danego problemu.

Ludzie nie będą nigdy racjonalistycznymi robotami i emocje pozostaną z nami do końca świata. Nie widzę w tym nic złego, ponieważ tak wygląda nasza ludzka kondycja. Trzeba tylko podkreślić dwie rzeczy. Postęp w administrowaniu sprawami ludzkimi idzie od emocji ku logice i racjonalizmowi a nie odwrotnie. I punkt drugi — nikt nie musi postępować logicznie, lecz nikomu nie wolno zagłuszać głosu logiki i racjonalizmu. Jeżeli ktoś boi się logiki — boi się prawdy.

W danym kraju mogą się dziać rzeczy straszne, lecz dopóki wolno głosić prawdę, dopóki na łamach prasy wolno bronić logicznymi argumentami własnej postawy — dopóty istnieje nadzieja naprawy i reformy.

W publicystyce i w działalności politycznej należy rozgraniczać emocje od logiki. Można powiedzieć: „kocham Wilno i gotów jestem walczyć by przywrócić je Polsce". To jest deklaracja uczuciowa, której należy się szacunek. Nie wolno natomiast deklaracji uczuciowej sprzedawać jako logikę. Ileż artykułów w prasie emigracyjnej przypomina bal maskowy, na którym tańczą emocje i pobożne życzenia przebrane w kostiumy logicznych argumentów. Widowisko jedyne w swoim rodzaju.

CENNE WYDAWNICTWO

W przededniu wyjazdu delegacji niemieckiej na 5-tą „rundę" rozmów polsko-niemieckich w Warszawie — otrzymałem doskonale opracowaną dokumentację pt. „Polnische Stimmen". Autorem tej pracy jest Andrzej J. Chilecki — wydawcą Edition Atlantic Forum (Bonn, Brussels, New York). Dokumentacja obejmuje wyciągi z prasy krajowej, komentarze, wywiady i przemówienia dotyczące stosunków polsko-niemieckich za czasokres 13 maj 1969 - 25 kwiecień 1970. Przekład na język niemiecki wydaje się wzorowy.

Głównym problemem przy tego typu opracowaniach jest kwestia wyboru. Autor musi dokładnie zapoznać się z ogromnym materiałem i dokonać właściwej selekcji. Wydaje mi się, że p. Chilecki wywiązał się bardzo dobrze z powyższego zadania. Jego książka stanowi wielką pomoc dla każdego publicysty czy dziennikarza — tak polskiego jak i niemieckiego — studiującego stosunki polsko-niemieckie.

Byłoby rzeczą interesującą opracować dokumentację nie tylko polską, lecz polsko-niemiecką — tzn. ująć w jednym tomie wybór zarówno polskich jak i niemieckich opinii na temat stosunków pomiędzy obu narodami. Może p. Chilecki kiedyś to zrobi.

LONDYŃCZYK

A propos Rotszyldów

W ostatnim numerze *Kultury* pisze „Brukselczyk": *„... W angielskim serwisie (sowieckiej) agencji 'Novosti', znanej skądinąd z powiązań z MSZ, ukazały się fragmenty nowego wydania książki wybitnego pisarza W. Iwanowa pt. 'Uwaga, syjonizm!' [...] Właśnie opublikowany urywek demaskuje akurat źródła majątku domu Rotszyldów. Iwanow donosi mianowicie, że Rotszyldowie forsę zrobili w zasadzie dzięki Hitlerowi, że maczali palce w eksterminacji Żydów, że ostatnio finansowali zachodnioniemieckich neofaszystów, czechosłowackich kontrrewolucjonistów i jeszcze w przerwach także Watykan. Nie trzeba dodawać, że Rotszyldowie są odpowiedzialni za zaborcze akty syjonizmu itd."* (str. 131).

Do tego imponującego wyliczenia grzechów chciałbym dodać swoje, dość zawodowe, „trzy grosze". Przypuszczam, że kol. Brukselczyk jest ścisły i że tow. Iwanow wszystkiego tego, co o Rotszyldach dałoby się powiedzieć, nie ujawnił. Należy bowiem sądzić, że tow. Iwanow jest wyznawcą teorii „partyjności prawdy" i zręcznie unika zasadzek, w które musiałby wpaść, gdyby zniżył się do poziomu „burżuazyjnego pseudoobiektywizmu".

Przechodząc do rzeczy. Otóż był sobie pewnego razu, dość dawno już, bo ponad sto lat temu pewien niecny typ, co prawda Rosjanin, ale z matki Niemki, co w pewnym stopniu tłumaczy jego kosmopolityczne postępowanie. Człowiek ten uciekł z Rosji za granicę *(a my jemu wierili)* i tam, w zmowie z kapitałem żydowskim i Polakami , knuł spiski przeciwko Rosji. Chciał mianowicie, podobnie jak obecni rewizjoniści, by chłopi mogli się przenosić z miejsca na miejsce, by w Rosji wprowadzić wolność (której, jakoby — jego zdaniem — w Rosji nie było). Chciał nawet wprowadzić konstytucyjne rządy i parlament, „nikomu nie potrzebną, według zachodnich wzorów skonstruowaną gadalnię"[1].

Otóż antyrosyjska działalność tego niecnego człowieka, też była finansowana przez Rotszyldów. Aleksander Herzen — bo o nim to mowa — przebywając na emigracji i szykując się do rozwinięcia działalności rewolucyjnej, w grudniu 1849 roku dowiedział się, że rząd rosyjski zasekwestrował znajdujący się w Rosji jego majątek, będący nie tylko podstawą egzystencji Herzena, lecz i bazą działalności politycznej. Utrata majątku oznaczałaby konieczność rezygnacji z planów wydawania *Kołokołu*, pisma, które odegrało tak wielką rolę zarówno w historii Rosji jak i Polski. „Pieniądze to niezależność, siła, broń, a broni nikt nie porzuca w czasie wojny"[2].

Herzen jednak wcześniej już był związany z wielkim paryskim bankierem Jamesem Rotschildem. Łączyły ich nie tylko interesy, które Herzen załatwiał za pośrednictwem domu bankowego Rotszyldów, ale i obopólna sympatia. Do niego więc zwrócił się o pomoc. Bankier zgodził się z tezą Herzena, że „komunizm kozacki — jak określał postępowanie cara — chyba jest nawet niebezpieczniejszy od komunizmu Louisa Blanca"[3]. Pogląd ciekawy nade wszystko ze względu na to, że kanonizowany przez Lenina, Herzen uchodzi

1. Określenie parlamentu przez ideologa samowładztwa, Pobiedonoscewa użyte w 1881 roku.
2. Gercen, A. I., *Byłoje i dumy*. S biograficzeskim oczerkom L. B. Kamieniewa. T. II, Moskwa 1932, str. 128.
3. Louis Blanc — socjalista francuski, umiarkowany przywódca robotniczy w rewolucji 1848 roku.

po dzień dzisiejszy za jednego z antenatów nam współczesnego „komunizmu kozackiego".

Ale wróćmy do tematu. By ratować Herzena, Rotszyld dał swemu petersburskiemu plenipotentowi, Hasslerowi, polecenie natychmiastowego stawienia się u ministra spraw zagranicznych Nesselrode i u ministra spraw wewnętrznych cara Wszechrosji. Hassler miał wytłumaczyć im, że bankier żąda zdjęcia sekwestru lub jasnego, prawnego uzasadnienia tego rodzaju postępowania. Co więcej, prokurent ma wytłumaczyć „konsekwencje odmowy, szczególnie dziwnej w czasie, gdy rząd rosyjski usilnie stara się otrzymać za pośrednictwem Rotszylda nową pożyczkę"[4].

Po niedługim czasie „niechętnie spłacający swe długi petersburski kupiec, Mikołaj Romanow[5], zastraszony publiczną licytacją, na rozkaz Rotszylda nie tylko zwrócił przywłaszczone pieniądze ale i odsetki wraz z odsetkami od odsetków, tłumacząc swe postępowanie nieznajomością prawa, którego rzeczywiście, mógł nie znać w związku ze swoim statusem społecznym"[6].

Cóż, czytanie obowiązującej w Związku Sowieckim lektury studenckiej może być (i jest!) źródłem smutnej refleksji i „robaczywych myśli".

Co wszystko podał do druku, uzupełniając „towarzysza" Iwanowa, zgoła przypadkowy obrońca czci i sławy Domu Bankowego Rotszyldów,

Marcin WYZIEMBŁO

4. *Jak wyżej*, str. 130.
5. Tj. Car Mikołaj I, z dynastii Romanowów.
6. *Jak wyżej*, str. 132.

Już ukazał się
Osiemnasty
ZESZYT HISTORYCZNY

Sąsiedzi

Pakt sowiecko-niemiecki

Kapryśne, burzliwe lato 1970 przyniosło Europie wiano, które wpłynie na losy tego kontynentu w niemniejszym stopniu, niż dawniej: Taurogi, Rapallo, Pakt Hitler-Stalin, Jałta i Poczdam. Ugoda Moskiewska Gromyko-Schell jest wydarzeniem historycznym, sięgającym daleko poza zasięg czysto bilateralnych stosunków ZSSR-NRF. Wytrawni politycy i publicyści w Niemczech i za granicą wiedzą, że układ ten stanowi nowy element w dotychczasowej konstelacji. Ale i apolityczne masy zdają sobie sprawę, że coś się stało, choć nie wiedzą, co właściwie. Brak fantazji lub zanik instynktów politycznych nie dają im możliwości dokładnego rozeznania się w nowej sytuacji. Mimo to jednak obserwator tutejszych nastrojów konstatuje, że pakt moskiewski wprowadził ogół niemiecki w stan wielkiego zakłopotania. Przeciętny Niemiec nie bardzo sobie zdaje sprawę z tego, dokąd jego państwo steruje.

Bez wiwatów

Wieczorem siódmego sierpnia byłem świadkiem jak Niemcy przyjęli wiadomość o parafowaniu moskiewskiego układu o nieagresji i współpracy. W dużej sali hotelu w uzdrowisku południowoniemieckim dwieście par oczu śledziło na kolorowym ekranie telewizyjnym historyczną scenę w Pałacu Spiridonowskim. Publiczność stanowiła dobry przekrój zawodowy, pokoleniowy i geograficzny. Kiedy obaj ministrowie kładli swe inicjały pod dokumentami oprawionymi w czerwoną skórę, a następnie wymieniali wylewne uśmiechy i serdeczne uściski dłoni, na sali było tak cicho, jakby nagle życie zupełnie zamarło. A potem długo jeszcze trwało znieruchomienie. Nikt nie wiwatował, nikt nie zamawiał szampana czy wina. Ale też nikt nie klął i nie psioczył.

Dopiero później, o wiele później, zaczęły się debaty. W dużym

skrócie można wyodrębnić kilka zasadniczych wątków. Wraz z dalszymi sondażami opinii publicznej pozwala to wysunąć szereg przeciętnych bodajże dla całokształtu reakcji społeczeństwa dość reprezentatywnych a jednocześnie chyba miarodajnych aspektów. Najpowszechniejszym zjawiskiem wydaje się uczucie rozterki i niewiedzy wobec nowego okresu w stosunkach z Moskwą. Jest to wynikiem zaskoczenia i nieprzygotowania na tego rodzaju gwałtowne przejście przez miedzę, dzielącą jeden okres od drugiego. Niemcy Zachodnie były zbyt długo domeną wojującego i zarazem prymitywnego antykomunizmu. W tym tkwi pierwsze i bodajże najważniejsze źródło zamieszania. Drugim motorem obecnej reakcji jest wpływ opozycji parlamentarnej CDU-CSU i sympatyzującej z nią prasy bulwarowej, produkowanej w olbrzymim koncernie wydawniczym Springera. Trzecim czynnikiem wreszcie jest gwałtowne tempo, w jakim przebiegały rozmowy wstępne pomiędzy Bonn a Moskwą. Pośpiech ten wyprzedził znacznie możliwości adaptacyjne ogółu społeczeństwa, odzwyczajonego już od nagłych skoków z okresu hitlerowskiego systemu totalitarnego.

Kwestia bezpieczeństwa

Bardziej konkretnym przejawem reakcji jest troska o bezpieczeństwo. Chodzi tu zarówno o bezpieczeństwo systemu polityczno-społecznego jak też bezpieczeństwo indywidualne. Niepokoje, które drążą współcześnie umysły niemieckie, dotyczą postawy obywatelskiej jaka się ukształtowała za rządów Adenauera i jaka wciąż jeszcze jest zasadniczym podglebiem względnej sprawności całego systemu polityczno-ekonomicznego. Społeczeństwo zachodnio-niemieckie, w gruncie rzeczy apolityczne i zatopione w morzu konsumpcji, przywykło od czasów Adenauera i Dullesa do podziału Europy i Niemiec, łudząc się nadzieją, że w oparciu o potęgę Ameryki „jakoś to będzie". Idea zjednoczenia Niemiec była swego rodzaju namiastką ideologiczną społeczeństwa bez określonej ideologii, środkiem uspokajającym sumienie wobec losu rodaków po wschodniej stronie Łaby. Zasadniczą dewizą, tak na codzień jak i na dłuższą metę, było hasło: „kontynuacja bez eksperymentów". Pierwszy wstrząs nastąpił podczas recesji ekonomicznej u schyłku rządów Erharda. Drugi przyszedł wraz ze zmianą warty nad Renem. Utworzenie gabinetu socjal-liberalnego Brandta i Schella a jeszcze bardziej zmiana kursu w polityce wschodniej wytrąciły obywatela zachodnioniemieckiego z transu konsumpcyjnego.

Pogrzebanie starych haseł o zjednoczeniu Niemiec obywatel przełknął bez trudu, ponieważ naprawdę nie był w tę sprawę wewnętrznie i emocjonalnie zaangażowany. Ustawiony całkowicie w kierunku zachodnim przestał się aktywnie zajmować Wschodem. Stąd też antykomunizm w wydaniu zachodnioniemieckim był mimo niesamowitej inflacji rozmaitych ośrodków i instytucyj, istnej lawiny odczytów i kursów propagandowo-uświadamiających postawą na wskroś bierną, systemem bez kośćca i treści. Młodsze pokolenie studenckie odkryło ten mechanizm i w większości popadło w jeszcze gorszą śpiączkę. Aktywna mniejszość natomiast wzięła się chwacko do tworzenia nowych mitów i utopii rewolucyjno-socjalistycznych.

Wracając do kwestii bezpieczeństwa należy bezstronnie stwierdzić, że w pewnym okresie czasu dążenia rządów w Bonn w kierunku uzyskania jakiegoś ubezpieczenia NRF przed ekspansją Moskwy, szły w parze z nastrojami społeczeństwa. Było to po zajęciu Czechosłowacji. Fakt, że na granicy z Bawarią stanęły wojska sowieckie, że Moskwa wystąpiła pod adresem Bonn z groźbą interwencji na podstawie dwóch paragrafów Karty Narodów Zjednoczonych, dotyczących klazul w odniesieniu do państw wrogich, podziałały alarmująco zarówno na rząd jak na naród. Zresztą panikę wywołał ówczesny kanclerz Kiesinger, który dał się złapać na ów trick polityki sowieckiej. Miast w oparciu o sojusz Atlantycki odrzucić tezy Moskwy, a warunki po temu istniały, gdyż mocarstwa zachodnie ze swej strony zadeklarowały, iż pogróżki sowieckie są bezpodstawne, szef rządu niemieckiego zaczął lamentować. Tym samym podważył w wielkim stopniu zaufanie własnego narodu do systemu obronnego NATO. Moskwa zaś wymacała słaby punkt Niemiec i utorowała sobie wygodną drogę do układu.

Obawy o sojusz z Zachodem

Nowy kanclerz poszedł zasadniczo po linii starego rządu, w którym jak wiadomo piastował tekę ministra spraw zagranicznych i był autorem not dyplomatycznych, mających na celu odwrócenie groźby interwencji sowieckiej. Wydaje się, że Brandt wychodził jeszcze z innych założeń, a mianowicie z obawy, że sojusz Atlantycki znajduje się w fazie transformacyj. Logiczną konsekwencją takiego procesu myślowego nie mogło być nic innego jak szukanie takiej koncepcji, która stworzyłaby dodatkowe gwarancje nieagresji ze strony Związku Sowieckiego. Wypływa to prawdopodobnie również z zachwiania się dotychczasowych aksjomatów w odniesieniu do siły i zaangażowania Stanów Zjednoczonych w Europie, a specjalnie w Niemczech. Kanclerz Brandt śledzi z głębokim zaniepokojeniem tendencje izolacjonistyczne w USA i wyraźne wekslowanie prymatu interesów amerykańskich z Europy do Azji.

Wiarę w efektywność polityki Zachodu wobec potęgi sowieckiej podważył berliński mur. Ów fatalny 13 sierpień 1961 roku pozostał podobno w Brandtowskiej ocenie aktywów i pasywów polityki zachodniej po dziś dzień zasadniczym elementem. Nieraz można było usłyszeć w ciągu ostatnich dziewięciu lat z jego ust gorzkie słowa prawdy i rozczarowania na ten temat. Dla ówczesnego nadburmistrza Berlina było to bardzo bolesną lekcją

w sensie „Realpolitik". W każdym razie od tej chwili, następuje zdecydowany odwrót od wszelkiej romantyki. Zaczyna się proces mierzenia szans nie na zamiary ale na rzeczywistość.

A mimo to obecnie obserwuje się powszechnie w Niemczech poważne obawy, że układ z Moskwą może doprowadzić do osłabienia sojuszu NRF z Zachodem, a tym samym do podważenia fundamentów bezpieczeństwa kraju. Wielu Niemców odczuwa instynktownie, że Moskwa stopniowo będzie wciągała Republikę Federalną w orbitę swoich interesów, co w konsekwencji może doprowadzić do wycofania się Ameryki z gry, lub do przywrócenia przymierza francusko-brytyjskiego celem zabezpieczenia resztówki zachodnioeuropejskiej przed ekspansją sowiecką. Słyszy się też poglądy, że układ Gromyko-Schell posłuży Moskwie do ustawicznego mieszania się w sprawy dalszej integracji Europy Zachodniej. Inne prognozy głoszą, że Kreml zdobył nareszcie znakomity instrument, aby wygrywać zachodnich Europejczyków przeciwko sobie, kłócić ich wzajemnie, szantażować, a potem zbierać żniwo niezgody.

Kanclerzowi w Bonn nie obce są te nastroje, choć trzeba przyznać że aż w takim stopniu ich nie przewidywał. Stąd też podjął błyskawicznie akcję zaradczą konsultując jeszcze przed zawarciem układu ambasadorów mocarstw zachodnich w Moskwie a następnie wysyłając orędzia do Waszyngtonu, Paryża i Londynu. Tego rodzaju profilaktyka miała na względzie przede wszystkim nastroje wewnątrz własnego społeczeństwa, a nie uspakajanie sojuszników. Jej sukces jest jednak połowiczny. Brandtowi udało się rozwiać część obaw, ale nie udało mu się usunąć całkowicie wątpliwości.

Co z Berlinem?

Sprawa berlińska pozostaje niezałatwiona. Dyplomacja sowiecka rozegrała partię z Niemcami genialnie. W założeniu aliantów i NRF leżało pierwotnie, iż pomiędzy rokowaniami Bonn-Moskwa a pertrakcjami czterech mocarstw w Berlinie istnieje ścisły związek. I tu Niemcy nawalili na całej linii. Poszli na przyśpieszenie tempa rozmów z Gromyką nie oglądając się na to, że ambasador sowiecki w Berlinie, Abrassimow, zastosował taktykę kompletnej zwłoki. System gry dyplomacji sowieckiej zwyciężył. Co prawda Niemcy zastrzegli sobie ratyfikację układu od wyniku rokowań berlińskich, ale z dziejów dyplomacji wiadomo, że takie zastrzeżenia mają znikomą wartość praktyczną. Mała Rumunia okazała się zręczniejsza w rokowaniach z Moskwą, bo od parafowania do podpisania nowego układu z Moskwą przeforsowała rok zwłoki i uzyskała wreszcie istotne ustępstwa. Potężne Niemcy obrały inną metodę i podpisały układ nie czekając na dalszą fazę rozgrywki w Berlinie.

Groźba nie ratyfikowania podpisanej już umowy nie jest w wypadku Niemiec żadną groźbą. Już dziś można sobie łatwo

wyobrazić pod jakim obstrzałem propagandowym i moralnym znalazłaby się NRF, gdyby naprawdę usiłowała odstąpić od układu. Nikt też z poważnie myślących Niemców nie wierzy w tę groźbę. Nie wierzą też alianci w skuteczność takiej broni dyplomatycznej.

Gorzej będzie jeżeli Moskwa wysunie w sprawie Berlina warunki godzące w interesy mocarstw zachodnich. Wówczas może nastąpić bardzo pikantna sytuacja. Rząd Brandta pragnąc sukcesu w polityce wschodniej zwróci się do alianów, aby poszli na ustępstwa Sowietom. Kreml rzuci na przynętę senatowi zachodniego Berlina jakieś nieznaczne koncesje, np. przepustki do wschodniego Berlina. Jeżeli zachodni alianci będą się upierali przy swoich postulatach wobec Moskwy, wówczas wyniknie konflikt z rządem bońskim. Dla Moskwy byłaby to gratka nielada.

Tak czy inaczej sprawa berlińska pozostanie kłopotem dla wszystkich partnerów. I dla tych, którzy konferują w gmachu dawnej Sojuszniczej Rady Kontroli i dla nieobecnych, ale najżywotniej zainteresowanych, to znaczy dla władz zachodnioberlińskich, NRF i NRD. W aspekcie nowego rozwoju sytuacji miasto straciło dawną rolę i funkcję. Od chwili zaryglowania wschodniego Berlina przestało być oknem wystawowym kapitalizmu i etapem dla uchodźców ze wschodu. Na skutek polityki wschodniej Bonn nie jest już czynnikiem ofensywnym wobec NRD. Po układzie moskiewskim i w obliczu układu z Warszawą traci przypisywaną mu rolę pomostu pomiędzy Zachodem a Wschodem. Czy otrzyma jakąś nową funkcję? Na razie trudno sobie przedstawić jaką konkretnie. Raczej wygląda na to, że będzie kłodą u nóg wszystkich partnerów.

Polityka a ideologia

Układ moskiewski jest dowodem klęski Zachodu. Jest rezultatem bezkoncepcyjności świata kapitalistycznego wobec neorosyjskiego imperializmu. Stanowi wstęp do dalszego etapu gry o Niemcy i o Europę. Moskwa wchodzi w rolę głównego partnera dwóch państw niemieckich, staje się głównym regulatorem i powiernikiem niemieckiej kwestii narodowej. Otrzymuje upragnioną szansę, korzystania z ogromnego potencjału gospodarczego, technologicznego obydwu wysokorozwiniętych części Niemiec. Z tego punktu widzenia układ z NRF jest chyba cenniejszy niż było Rapallo z Republiką Weimarską.

W sensie przyszłych aspektów rozwojowych jest to uderzenie zarówno przeciw sojuszowi Zachodu jak też przeciw Chinom. Ale pozostaje jeszcze inna pochodna. Jest nią degradacja mniejszych państw i narodów. Zapłacą za to Polska, Czechosłowacja, Ukraina, Białoruś no i oczywiście państwa bałkańskie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Moskwie właśnie na tym zależało, aby zdobyć sobie wpływ na całokształt polityki Niemiec Zachodnich. Wszelkie stosunki NRF z mniejszymi narodami Europy

Wschodniej stają się sferą podporządkowaną współpracy pomiędzy Bonn a Moskwą. Tym samym zwyciężyła nad Renem koncepcja nowego rusofilstwa ludzi, którzy różnią się tym od swych poprzedników z dawniejszych okresów współpracy rosyjsko-niemieckiej, że wprawdzie na ogół nie mają urazów antyzachodnich (choć są ważne wyjątki!) ale są po prostu urzeczeni potęgą dzisiejszego imperium rosyjskiego. Są to ludzie, którzy jak Brandt czy Schell, nie znają i nie rozumieją problemów wschodnioeuropejskich lub jak Bahr, Mischnick czy Genscher uciekli kiedyś z sowieckiej strefy okupacyjnej i po dziś dzień nie mogą wyzwolić się z porażenia siłą sowieckich armii pancernych. Jest to nowa edycja znanego z rewolucji bolszewickiej *porażenczestwa*, o którym pisał niegdyś, choć w zupełnie innym kontekście, Stawar.

I jeszcze jedno. Moskwie zależało jak najbardziej na ideologicznym rozbrojeniu socjaldemokracji niemieckiej. Antykomunizm prawicowy niemieckiej chadecji nie stanowił dla Kremla nigdy jakiegoś niebezpieczeństwa. Natomiast koncepcje socjaldemokratów niemieckich były stale notowane poważnie. Ideolodzy Breżniewa i Kosygina postanowili drogą ustępstw i uścisków zneutralizować groźnego przeciwnika. Śledząc przemiany w zachodnioniemieckiej SPD wydaje się, że ideologiczne rozbrojenie tej potężnej partii już jest w pełnym toku.

Bohdan OSADCZUK

Sowiecka biurokracja a społeczeństwo

W poszczególnych etapach rozwojowych państwa sowieckiego różny był stosunek gremiów kierowniczych do społeczeństwa. Co należy w ogóle rozumieć pod pojęciem społeczeństwa sowieckiego? Jest to dynamiczna siła, składająca się z różnych narodowości, grup społecznych i pokoleń. Normalnie rzecz biorąc powinno się zaliczyć do społeczeństwa także jego kierownictwo polityczne, a więc biurokrację partyjną, tutaj jednak przeprowadziliśmy — nie tylko ze względów metodologicznych — rozdział. Grupę tę należy traktować jako przeciwstawną w stosunku do społeczeństwa, od którego jest zresztą faktycznie odizolowana.

Biurokracja partyjna stawia siebie, i stoi naprawdę, ponad społeczeństwem, zaś wykorzystywanie związków zawodowych, komsomołu i innych organizacji masowych jako środków transmisji należy już od czasów Lenina do jej stylu pracy. Za czasów Lenina aktywność dołów i informacje płynące z tych dołów były jeszcze pożądane, w despotycznym systemie stalinowskim miejsce

istniało już tylko na przekaz płynący od wierchuszki ku dołom. Środki represji były najważniejszym narzędziem utrzymywania społeczeństwa w zależności od kierownictwa politycznego.

Tego rodzaju układ stosunków między gremiami kierowniczymi a społeczeństwem nie mógł zostać utrzymany po śmierci Stalina. Skoro jednak mówi się o *zmianach* to trzeba tu stwierdzić, że nie łatwo jest odpowiedzieć na pytanie co uległo zmianie i w jaki sposób. Autorzy omawiający te sprawy posługują się przeważnie takimi pojęciami jak „demokratyzacja", „liberalizacja" i innymi wygodnymi terminami. Poza tym zmiany utożsamia się często z poprawą sytuacji, względnie „postępem". Ten problem nie przedstawia się jednak tak prosto, jest on skomplikowany i wielowarstwowy.

Innego rodzaju błędy popełniają ci, którzy z powodów czysto ideologicznych nie potrafią wyzwolić się z utartych szablonów myślowych i twierdzą, że w Związku Sowieckim w ogóle żadne zmiany nie są możliwe poza takimi, na które zezwala wszechwładna biurokracja partyjna.

Te obciążenia i trudności trzeba uwzględnić podejmując próbę określenia sensu zmian zaszłych w stosunkach między społeczeństwem i grupą kierowniczą w Sowietach po śmierci Stalina. Można tu zaobserwować dwie odrębne fazy. Pierwsza pokrywa się z okresem rządów Chruszczowa, w którym widoczne są pewne elementy „humanizacji" systemu. Na ten okres przypadają zdemaskowanie i potępienie Stalina jako zbrodniarza, częściowe rozwiązanie obozów koncentracyjnych, rehabilitacja ofiar stalinizmu jak również zapowiedź prowadzenia takiej polityki gospodarczej, która by w większym stopniu uwzględniała konieczność podniesienia standartu życiowego ludności. Wypowiedzi Chruszczowa na temat atrakcyjności komunizmu, który lepiej niż inne systemy potrafi rozwiązywać różne problemy, stworzyły nową atmosferę. Także kierownictwo partyjne zainteresowane było w zmianie swego stosunku do społeczeństwa pragnąc, aby ludność z własnej woli zaakceptowała partyjny monopol rządzenia ponieważ tylko partia, jako reprezentantka postępu, jest gwarantem lepszego jutra.

Praktyka nie przyniosła jednak zasadniczych przeobrażeń w stosunkach między partią a społeczeństwem, ponieważ nie przeprowadzono koniecznych reform. Niemniej jednak nastąpiła rzecz zasadnicza: przyspieszona *emancypacja społeczeństwa*. Rosnąć poczęły wymagania w sektorze spożycia, przeróżne grupy młodej inteligencji wyrażały pragnienie rozszerzenia sfery wolności, wreszcie utrwalała się świadomość, że partia nie może egzystować w próżni, że musi szukać oparcia w społeczeństwie. W początku lat sześćdziesiątych doszło do pierwszego otwartego konfliktu między kierownictwem partii a różnymi grupami społeczeństwa. Najgłośniejszy był konflikt z młodymi pisarzami.

Ten proces emancypacji społeczeństwa został przyspieszony przez szereg czynników, na które żadnego wpływu nie posiadało kierownictwo partii. Burzliwy rozwój nauki i techniki we wszyst-

kich państwach przemysłowych rozszerzył możliwości przekazu informacji. Zacofanie systemu tego przekazu informacji jest w Sowietach nadal katastrofalne, ale już pierwsze oznaki poprawy na tym odcinku wpłynęły na rozwój postępowych tendencji. Obraz świata zaczął ulegać powoli zmianom, szczególnie w oczach młodej inteligencji sowieckiej. W coraz większym stopniu dochodziła do głosu świadomość tego, że rozwój społeczny jest problemem nie tyle ideologicznym, co organizacyjnym, że dla lepszego funkcjonowania społeczeństwa wykorzystane być muszą wszystkie możliwości, jakie daje rewolucja naukowa i techniczna. Trzeba przyznać, że Chruszczow należał do tych nielicznych przywódców sowieckich, którzy dojrzeli te możliwości i starali się, aby partia nie znalazła się w sprzeczności z tymi możliwościami rozwojowymi. Tu należy szukać motywów jego reformy partyjnej z roku 1962, której główną cechą były: totalne włączenie partii do procesu produkcyjnego oraz odmłodzenie kadr, tzn. zastąpienie ludzi wychowanych przez stalinizm przez innych, lepiej wyszkolonych i pozbawionych hamujących uprzedzeń. Można powiedzieć, że Chruszczow próbował uczynić cybernetyków funkcjonariuszami partyjnymi, aby być *au courant* spraw. Zasada leninowska o wiodącej roli partii miała być w ten sposób nie tylko zachowana, ale i umocniona, przez przystosowanie jej do nowych stosunków. *W tym wszystkim jednak trudno dopatrywać się choćby śladu demokratyzacji czy liberalizacji.*

Musimy ograniczyć się tu do stwierdzenia, że te wyobrażenia Chruszczowa bardzo prędko okazały się utopią i przyniosły systemowi więcej szkód niż pożytku. To prowadzi nas do rozważenia drugiej tendencji rozwojowej. Wzmiankowana emancypacja społeczeństwa wywołuje w kierownictwie partyjnym najpierw dużą niepewność, później zaś zdecydowaną dążność do umocnienia za wszelką cenę swych pozycji. W obliczu grożącej utraty wpływów zarysowuje się dążenie do przeciwstawienia się jej przez stosowanie środków represji. XXIII (1966) Zjazd partii był odbiciem tej tendencji. Dążenie do odmłodzenia i odnowienia kadr uznano za szkodliwe wysunięto natomiast na pierwszy plan dezyderat porządku, dyscypliny i patriotyzmu. To był właśnie drugi etap rozwoju stosunków między społeczeństwem a partią, tym razem z Breżniewem na czele.

Rosnące napięcie między biurokracją partyjną a naukowcami i kadrami technicznymi

Porównywanie sowieckiego i zachodniego społeczeństwa ery przemysłowej jest bardzo niebezpieczne choćby z tego powodu, że do dziś powszechnie nieznany jest *cały* rozmiar wyrzeczeń, jakie brali i muszą brać na siebie robotnicy i chłopi sowieccy dla dobra „budowy socjalizmu". Dopiero uwzględniając ten fakt można zrozumieć, jakie nieobliczalne konsekwencje miała skromna nawet poprawa warunków życiowych tych grup społecznych. Ich uwaga

ogranicza się głównie do sprawy dalszego podniesienia standartu życiowego. Tendencję tę ludzie Breżniewa wykorzystują podobnie zręcznie, jak przywódcy greckiej junty wojskowej: dobrobyt i „porządek" — owszem, demokracja — nie! „Żadnych eksperymentów" — oto hasło, które wyznaje nie tylko biurokracja partyjna, ale także duża część ludności, szczególnie ludzie o najniższym poziomie wykształcenia. Na marginesie warto tu przypomnieć, że według spisu ludności z roku 1959 jedna trzecia zatrudnionych mogła wykazać się jedynie wykształceniem podstawowym, tzn. *co najwyżej* 4-ema latami szkoły powszechnej. Na 34 miliony zatrudnionych w rolnictwie ponad 24 miliony nie posiadało w ogóle żadnego wykształcenia zawodowego. Pozwoli to zrozumieć fakt, że w wysoko uprzemysłowionym państwie sowieckim *duża część ludności nie może nowocześnie myśleć i posiadać świadomości społecznej*. Biurokracja partyjna jest żywo zainteresowana, aby utrzymać tę atmosferę otępienia, w której łatwo można prowadzić różne nagonki, szczególnie przeciw intelektualistom.

Najnowsze badania socjologiczne, poświęcone aktywności politycznej robotników, przyniosły tak interesujące rezultaty, że warto im tu poświęcić nieco uwagi. Chodziło o stwierdzenie w jakim stopniu robotnicy gotowi są aktywnie pracować w różnych organizacjach zakładowych, także tych, które bezpośrednio wiążą się ze sprawami bytowymi zatrudnionych. Przeprowadzone w jednym z ukraińskich ośrodków przemysłowych badania wykazały, że robotnicy młodej i średniej generacji nie wykazują zupełnie zainteresowania jakąkolwiek formą samorządu robotniczego. Główną rolę w organizacjach zakładowych, w związkach zawodowych i komisjach społecznych odgrywają natomiast robotnicy powyżej pięćdziesiątego roku życia. Oni także uczestniczą głównie we wszelkich formach „socjalistycznego współzawodnictwa". Tak więc, inaczej niż na Zachodzie, w Związku sowieckim ton nadają starsi. Decydują o tym wyłącznie względy polityczne. Generacja ta została pod względem polityczno-ideologicznym uformowana w latach trzydziestych, z tamtego okresu pochodzi też jej stosunek do problemów dyscypliny pracy. Zrozumiałe, że w tych warunkach kierownictwo sowieckie popiera i wyróżnia tę generację, co pogłębia jeszcze bardziej przepaść między jutrzejszymi emerytami a młodszymi rocznikami i niechęć tych młodszych do wszelkiego angażowania się politycznego. Ich aktywność ogranicza się wyłącznie do rzeczy bezpośrednio wkraczających w ich życie prywatne, zarobki itd. Narady produkcyjne, „socjalistyczne współzawodnictwo" i inne imprezy, eufemistyczne określane mianem „samorządu robotniczego", nie interesują ich zupełnie.

Sojusz biurokracji partyjnej z „elitą robotniczą", pochodzącą jeszcze z czasów legendarnych pięciolatek stalinowskich, przynosi niejedną korzyść kierownictwu politycznemu, które w przedstawicielach starszej generacji robotników posiada partnera pomagającego w nadzorowaniu i kierowaniu klasą robotniczą oraz popierającego politykę partii w zakładach. Wyobraźnię biurokratów

partyjnych prześladuje upiór „anarcho-syndykalizmu", a więc tego, czego właściwie powinno się oczekiwać od uświadomionych klasowo robotników: pragnienia rzeczywistego współdecydowania w sprawach pracy i produkcji. Rezultatem tego nastawienia partii jest postępujące zobojętnienie młodszej i średniej generacji zatrudnionych, rzecz dająca wiele do myślenia szczególnie w epoce automatyzacji i burzliwego postępu technicznego.

Najbardziej fascynującą grupą społeczną staje się inteligencja, przede wszystkim inteligencja techniczna. Jeśli pominąć bezmyślną paplaninę o przyszłym społeczeństwie komunistycznym i spróbować spojrzeć w niezamąconą frazesami przyszłość, zarysowuje się nam nader prozaiczny obraz systemu, który winien jak najlepiej *funkcjonować* będąc uwolniony od wszelkich zakłócających elementów, pośród nich od egoizmu związanego z własnością. Na przełomie stuleci teoretycy marksistowscy dopatrywali się głównej przeszkody na drodze do postępu ludzkości w prywatnej własności środków produkcji. W międzyczasie w nowoczesnych państwach przemysłowych punkt ciężkości zagadnienia uległ poważnemu przesunięciu. Jeśli chodzi o państwo sowieckie ta poważna, i rzekomo o wszystkim decydująca przeszkoda, została usunięta. Jedynym właścicielem stało się państwo i „naród". Droga prowadząca do postępu jest w Sowietach jednak nader wyboista, o czym muszą decydować inne względy.

W początkach naszego stulecia za siłę napędową postępu i za twórcę programów przemian społecznych uchodziły partie polityczne. Ale już w latach pięćdziesiątych — kiedy sowieccy funkcjonariusze partyjni pochłonięci byli jeszcze rozwiązywaniem takich problemów, jak hodowla kukurydzy i królików oraz likwidacją brakoróbstwa — zarysowało się wyraźnie to, co sformułował tak pięknie polski ekonomista Oskar Lange, że mianowicie poza zasięgiem ideologii marksistowskiej, poza ramami w ogóle wszelkiej ideologii rozpoczął się burzliwy rozwój nauki, która szybko stała się społeczną produktywną siłą. Nauka ma dziś pretensje do tego, aby traktowano ją wszędzie jako najwyższą instancję w rozwiązywaniu problemów społecznych.

Socjologowie, filozofowie i ekonomiści zgodni są w tym, że rewolucja nauki i techniki jest fenomenem o skali światowej i że żadne społeczeństwo, niezależnie od rządzącego nim systemu, nie może się z tym faktem nie liczyć. Rozpoczyna się złożona faza rozwojowa, która postawi przed wszystkimi państwami nowe, wielkie trudności. I na Wschodzie i na Zachodzie rozpowszechnione są uprzedzenia i opory. Hamującą działalność *establishment*'u siły postępowe będą mogły przezwyciężyć tylko tam, gdzie wszelki balast ideologiczny wyrzucony zostanie za burtę. Każdy zaś może stwierdzić, że właśnie Związek Sowiecki najmniej przygotowany jest do podjęcia takiego zdecydowanego kroku. Mechanizm i styl rządzenia, powstałe w pierwszej fazie uprzemysłowienia Sowietów, zostały podniesione do roli na zawsze obowiązujących „norm leninowskich". U władzy znajduje się pokolenie, które starania o utrzymanie swej uprzywilejowanej pozycji traktuje tak, jak

gdyby od tego zależała „budowa socjalizmu". W tych warunkach staje się zrozumiałe, dlaczego konflikty i napięcia ostatnich lat tak wyraźnie zmieniły swe oblicze. Opór konserwatywnie nastawionych chłopów należy do dalekiej przeszłości. Protesty pisarzy i innych twórców znane są już z czasów stalinowskich i osiągnęły punkt kulminacyjny u progu lat sześćdziesiątych. *Dziś biurokracja partyjna stoi wobec konfliktu z najlepszymi i najbardziej postępowymi przedstawicielami kształtującej przyszłość nauki.* Pośród tych, którzy podpisują listy protestacyjne i manifesty oglądamy w ostatnich czasach coraz częściej ekonomistów, fizyków, znanych konstruktorów itd. Znajdujemy ich na listach tych, którzy stali się ofiarami represji.

Lista na str. 100-111 została zestawiona na podstawie materiałów „Samizdatu" oraz „Chroniki tekuszczich sobytij". Jest to zestawienie obejmujące aresztowania i procesy, które miały miejsce od końca 1967 do połowy 1970 roku.

◆

Rubryka zawód u tych aresztowanych i prześladowanych mówi sama za siebie. W marcu tego roku trzech profesorów sowieckich, A. D. Sacharow, W. F. Turczin i R. A. Medwedew przeprowadzili w liście wystosowanym do komitetu centralnego partii, rządu i prezydium Rady Naczelnej błyskotliwą analizę obecnej sytuacji społeczeństwa sowieckiego. Domagają się oni wyraźnie demokratyzacji systemu sowieckiego: „Jest to konieczne choćby z uwagi na bezpośredni związek problemów rozwoju technicznoekonomicznego i naukowych metod rządzenia ze sprawą wolności informacji, jawności i wolnej konkurencji". Demokracja jest tu czymś więcej niż abstrakcyjnym postulatem, jest ona po prostu niezbędna aby mogło normalnie funkcjonować społeczeństwo przemysłowe, aby mogło osiągać postęp. Trzej wymienieni profesorowie podkreślają, że trudności istniejące w Sowietach nie mają nic wspólnego z socjalizmem (który chcieliby widzieć nie tylko nie osłabiony, ale przeciwnie, wzmocniony), lecz wyłącznie „z antydemokratycznymi tradycjami i normami życia społecznego, które powstały w okresie stalinowskim i nie zostały do dziś w pełni zlikwidowane". Są oni przekonani o tym, że wyrażają żądania inteligencji i „awangardy klasy robotniczej", że postulaty te odpowiadają w równej mierze studentom, co młodzieży robotniczej.

Ten konflikt między kierownictwem partii a inteligencją techniczną jest tylko odbiciem sprzeczności między przestarzałymi i nie funkcjonującymi już metodami kierowania a dzisiejszymi potrzebami produkcji techniki i nauki.

Mało kto orientuje się na Zachodzie jak nieszczęsną jest rola inżynierów w społeczeństwie sowieckim, tych inżynierów, którym tak ważna rola przypada w postępie technicznym. Do gwałtow-

nego obniżenia się ich prestiżu przyczyniły się bez wątpienia także pewne zarządzenia Chruszczowa. Dostrzegł on słusznie, że społeczeństwo przemysłowe potrzebuje bardzo wielu inżynierów, popełnił jednak równocześnie typowo sowiecki błąd ulegania magii liczb i próbował wyszkolić ich możliwie dużo w jak najkrótszym czasie. W roku 1950 liczba inżynierów wynosiła 74,6 tysiąca, w roku 1960 — 120,1 tys. Aby w tak krótkim czasie tak znacznie powiększyć liczbę inżynierów utworzono szereg nowych szkół wyższych, zabrakło jednak dla nich odpowiednio wykwalifikowanych kadr profesorskich i pomocy naukowych. Ci inżynierowie z łaski Chruszczowa obciążają *image* tego zawodu. Dyrektorom zakładów, którzy i tak mieli wrogie nastawienie wobec inżynierów, obniżenie powagi zawodu inżynierskiego było wyraźnie na rękę, równocześnie jednak upadł autorytet dawniej sławionych pionierów postępu technicznego także w oczach robotników i całej ludności. W międzyczasie szkolenie kadr inżynierskich uległo znacznej poprawie, ale najtrudniejszy problem polega na tym, że nie są oni zatrudniani tam, gdzie być powinni. Dyrektorzy zakładów upatrują w inżynierach — nie bez słuszności — siłę zmierzającą do reform, zmian i ulepszeń, do czego ci ludzie są już z racji swego wykształcenia predestynowani. Tych reform i zmian boją się jednak dyrektorzy zakładów. Znajdują się oni w trudnej sytuacji, będąc całkowicie zależni od zwierzchnich instancji i w pełni odpowiedzialni za wszelkie, przejściowe nawet, obniżenie produkcji. Także na Zachodzie często powierza się inżynierom stanowiska znacznie niższe, niż odpowiadałoby to poziomowi ich kwalifikacji, w Sowietach natomiast wydaje się to regułą. Znane są niestety dane jedynie za rok 1960. W Federacji Rosyjskiej tylko 15 % absolwentów wyższych i średnich szkół zawodowych zajmowało odpowiadające ich wykształceniu stanowiska!

Napięcia między biurokracją partyjną a kadrami naukowo-technicznymi sprawiły, że najważniejsze centra naukowe i uniwersytety stały się swego rodzaju zamkniętymi oazami innego życia. Korzystają one nieraz z dość dużej swobody i izolują się od otaczającego świata. Tylko nieliczni naukowcy gotowi są oddać swą wiedzę bezpośrednio na usługi reżymu. Większość rezygnuje przeważnie z praktycznego stosowania rezultatów własnej działalności badawczej nawet wtedy, gdyby mogłoby to oznaczać znaczny awans społeczny. Naukowcy i studenci należą też do najlepiej poinformowanych kół w społeczeństwie, dotyczy to oczywiście nie tylko ścisłego zakresu ich wiedzy fachowej, ale także spraw politycznych.

Reakcja biurokracji partyjnej

Ludzie Breżniewa prowadzą dalej politykę konsekwentnie wrogą wobec intelektualistów. Wynika ona z tego, że partia rości sobie prawo do kierowania, administrowania i totalnej manipulacji społeczeństwem. Tysiące naukowców i ekspertów pracują

naturalnie jako doradcy w różnych ministerstwach, urzędach planowania a także w aparacie komitetu centralnego partii. Warunkiem jednak takiej współpracy jest całkowite podporządkowanie się życzeniom „chlebodawcy" i rezygnacja z prób wpływania na podejmowane decyzje. Takie nastawienie biurokracji partyjnej znalazło odbicie w składzie wybranej niedawno Rady Najwyższej Związku Sowieckiego. Na 1567 deputowanych 243 jest funkcjonariuszami partyjnymi, 171 funkcjonariuszami administracji, 10 przedstawicielami bezpieczeństwa. 50,3 % określono jako „przedstawicieli ludu", są to robotnicy i kołchoźnicy, którzy przez cztery lata robią „karierę", aby potem zniknąć znów w zapomnieniu, tzn. powrócić do dawnej pracy. Jest rzeczą szczególnie znamienną, że pośród deputowanych *nie ma ani jednego naczelnego inżyniera*, że do Rady Naczelnej weszło tylko 44 naukowców.

Od czasu upadku Chruszczowa, szczególnie zaś od interwencji w Czechosłowacji biurokracja partyjna oczekuje od społeczeństwa mniej samodzielnego krytycznego myślenia i aktywności, więcej natomiast „zdyscyplinowania" i poczucia porządku. Na odcinku działalności kulturalno-wychowawczej obowiązujące stało się „wychowanie wojskowo-patriotyczne". Oznacza to dla młodych chłopców w szkołach naukę strzelania i rzucania granatem, zaś dla młodych dziewcząt przygotowywanie się do zawodu pielęgniarki. Gry wojenne, marsze „śladami chwały", kult bohaterów z czasu wojny domowej i wielkiej wojny narodowej, histeryczny wrzask o konieczności przygotowania się do obrony ojczyzny — to są punkty ciężkości strategii biurokracji partyjnej wobec młodego pokolenia, a tym samym wobec społeczeństwa dnia dzisiejszego i jutrzejszego. Nawet dzieci odczuwają na sobie nieufność w stosunku do przedstawicieli inteligencji. Najwyraźniej dostrzega się to w powziętych w ub.r. zarządzeniach na temat zmiany składu społecznego studentów szkół wyższych. Odkąd stojący na usługach partii socjologowie dokonali odkrycia, że dzieci rodzin inteligenckich nastawione są przeważnie krytycznie i nie konformistycznie biurokracja partyjna zarządziła, że w tym roku szkolnym na studia wyższe ma być przyjętych więcej dzieci robotników i kołchoźników.

Na razie nie widać żadnych oznak, aby posiadająca władzę generacja była zdolna i gotowa do przezwyciężenia rozszerzającego się konfliktu z inteligencją. Także zjazd partii, który odbędzie się w marcu 1971 r. nie przyniesie tu pewnie nic nowego. Przezwyciężenie napięć między biurokracją partyjną a społeczeństwem jest czymś więcej niż kwestią nowego stylu kierowania i celowości metod rządzenia. Sowiecki Dubczek nie miałby dziś żadnych widoków na dojście do władzy. Dopóki zaś tak nie jest usprawiedliwione wydają się pesymistyczne przepowiednie Amalrika.

Borys LEWICKYJ

Czas i miejsce procesu, względnie aresztowania	*Oskarżeni, względnie aresztowani*
Listopad 1967, Leningrad	*Oskarżeni:* Igor Ogurcow, tłumacz z japońskiego; Michaił Sado, orientalista; Eugenija Wagina, literaturoznawca; Aweroczkina, prawnik.
8-12. 1. 1968, Moskwa	*Oskarżeni:* pisarze Jurij Gałanskow; Aleksander Ginsburg, Aleksej Dobrowolskij i Wera Laszkowa.
14. 2. 1968, Moskwa	*Aresztowani:* Aleksander Wolpin, kandydat nauk fizyczno-matematycznych; Natalia Gorbaniewskaja, tłumaczka.
14. 3. - 5. 4. 1968, Leningrad	*Oskarżeni:* Wjaczesław Płatonow, orientalista; Mikołaj Iwanow, historyk sztuki; Leonid Borodin, dyrektor szkoły; Władimir Iwojłow, ekonomista; Michał Konosow, ślusarz, student kursów wieczorowych Instytutu Literatury im. Gorkiego; Sergiej Ustinowicz, absolwent uniwersytetu leningradzkiego; Jurij Buzin, inżynier; Walerij Nagornyj, inżynier; Aleksandr Miklaszewicz, inżynier; Jurij Baranow, inżynier; Georgij Boczewarow, absolwent uniwersytetu leningradzkiego; Anatolij Sudarew, tłumacz; Anatolij Ijewlin, chemik; Władimir Weretenow, chemik; Olgred Sobak, mechanik; Oleg Szuwałow i Stanisław Konstantinow.
Marzec-kwiecień 1968, Moskwa	*Aresztowani:* A. Fetisow, ekonomista; M. Antonow, architekt; O. Smirnow, architekt.
20. 8. 1968, Simferopol/Krym	*Aresztowany:* Namedi Czobanow, Tatar krymski.
21. 8. 1968, Leningrad	*Aresztowany:* Bogusławskij.
27. 8. 1968, Simferopol/Krym	*Aresztowany:* Mubein Jusupow i Fachri Ismailow, Tatarzy krymscy.
4. 9. 1968, Simferopol/Krym	*Aresztowany:* Zekerija Asanow, Tatar krymski.
9-11. 10. 1968, Moskwa	*Oskarżeni:* Konstantin Babickij, Larissa Bogoras-Bruchman, Wadim Delone, Władimir Dremluga i Paweł Litwinow.
18. 10. 1968, Lwów	*Aresztowany:* Piotr Gorodeckij, proboszcz.

oskarżenie	*wyrok*
Kierowanie ogólnorosyjską chrześcijańsko-społeczną unią wyzwolenia ludu.	Ogurcow 15 lat, Sado 13 lat, Wagina 10 lat, Aweroczkina 8 lat obozu poprawczego i pracy o zaostrzonym reżymie.
Propaganda antysowiecka, Gałanskow poza tym wykroczenie dewizowe.	Gałanskow 7 lat obozu o zaostrzonym reżymie, Ginsburg 5 lat, Dobrowolskij 2 lata, Laszkowa 1 rok łagru.
Udział w demonstracji przeciw aresztowaniu Gałanskowa, Ginsburga, Dobrowolskiego i Laszkowej.	Przymusowe umieszczenie w klinice psychiatrycznej.
Praca w ogólnorosyjskiej chrześcijańsko-społecznej unii wyzwolenia ludu.	Płatonow 7 lat, Iwanow 6 lat, Borodin 6 lat, Iwojłow 2 lata, Konosow 4 lata, Ustinowicz 3½ roku, Buzin 3 lata, Nagornyj 3 lata, Miklaszewicz 3 lata, Baranow 3 lata, Boczewarow 2½ roku, Sudarew 2 lata, Ijewlin 2 lata, Weretenow 2 lata, Sobak, Szuwalow i Konstantinow po 14 miesięcy łagru.
Krytykowanie systemu sowieckiego.	Przymusowe umieszczenie w klinice psychiatrycznej w Kazaniu i Leningradzie.
Opór przeciwko władzy państwowej.	3 lata więzienia.
Protest przeciwko interwencji w Czechosłowacji.	5 lat obozu o zaostrzonym reżymie. W październiku 1968 w postępowaniu odwoławczym zmieniony na 3 lata obozu.
Opór przeciwko władzy państwowej.	Jusupow 1 rok, Ismailow 6 miesięcy aresztu.
Opór przeciwko władzy państwowej.	1 rok więzienia.
Udział w demonstracji przeciwko interwencji w Czechosłowacji.	Babickij 3 lata, Bogoras-Bruchman 4 lata, Delone 2 lata i 10 miesięcy, Dremluga 3 lata, Litwinow 5 lat obozu.
Zniesławianie sowieckiego państwa i porządku społecznego, naruszenie ustaw o rozdziale kościoła i państwa.	—

Czas i miejsce procesu, względnie aresztowania	*Oskarżeni, względnie aresztowani*
22-28. 10. 1968, Taszkient	*Oskarżeni:* Ljuman Umerow, Idris Kasynow, Szelkel Seitablejew, Lennar Gusejnow, Jusuf Rasinow — uczestnicy ruchu Tatarów Krymskich.
17-26. 12. 1968, Leningrad	*Oskarżeni:* Jurij Gendler, adwokat; Lew Kwaczewskij, chemik; Ewgenij Szaszenkow, inżynier; Nikołaj Daniłow; prawnik, Anatolij Studienkow.
24. 12. 1968, Moskwa	*Oskarżony:* Wiktor Feinberg.
Koniec 1968 roku, Moskwa	*Aresztowany:* Bogdanow, robotnik Elekrostalu.
Koniec 1968 roku, Lwów	*Aresztowany:* biskup Wasyl Wełyczkowskij.
22. 1. 1969, Moskwa	*Aresztowany:* Iljin.
26-29. 1. 1969, Kijów	*Oskarżeni:* A. Nasarenko, W. Kondriukow i W. Karpenko — robotnicy kijowskich wodociągów, a zarazem studenci kursów wieczorowych uniwersytetu kijowskiego.
19. 2. 1969, Moskwa	*Oskarżona:* Irina Biełogorodskaja.
23-24. 4. 1969, Simferopol/Krym	*Oskarżony:* Gomer Bajew, inżynier, Tatar krymski.
Maj 1969, Tallin	*Aresztowani:* Gennadij Gawriłow, Kożyrew i Paramonow, wszyscy trzej oficerowie Floty Bałtyckiej.
Maj 1969, Leningrad	*Aresztowani:* Berger, Braun, Wodopianow i Manczewskij.
13-16. 5. 1969, Kijów	*Oskarżony:* Boris Koczubijewskij, radioinżynier.
21. 5. 1969, Moskwa	*Oskarżony:* Ilja Burmistrowicz, matematyk.
28. 5. 1969, Kijów	*Oskarżony:* Nikołaj Berisławskij.
Czerwiec 1969, Leningrad	*Aresztowany:* Jurij Lewin, technik naukowego instytutu badań zasobów geologicznych.
Czerwiec 1969, Taszkient	*Oskarżeni:* Swietłana Ametowa, Raszat Bajranow, Ajder Barijew, Izzet Chairow, Munira Chalilowa, Ruslan Eminow, Ridwin Gafarow, Ismail Jazydżijew, Rollan Kadyjew i Riza Umerow.

oskarżenie	*wyrok*
Publikacja biuletynu informacyjnego na temat wydarzeń w Czyrcziku 21. 4. 1968 oraz odezwy do twórców.	Umerow, Kasynow i Seitablejew po roku więzienia, Gusejnow i Rasinow po roku z zawieszeniem.
Rozpowszechnianie ulotek przeciwko interwencji w Czechosłowacji.	Gendler 3 lata, Kwaczewskij 4 lata, Studienkow 1 rok obozu o zaostrzonym reżymie, Daniłow i Szaszenkow przymusowe umieszczenie w więziennym oddziale psychiatrycznym.
Demonstracja na Placu Czerwonym w Moskwie przeciw interwencji w CSRS.	Przymusowe umieszczenie w klinice psychiatrycznej.
Zdrada ojczyzny (rozmowy z cudzoziemcami).	—
Działalność polityczna pod pozorem akcji religijnej.	3 lata więzienia.
Zamach na auto z kosmonautami.	Przymusowe umieszczenie w klinice psychiatrycznej.
Antysowiecka propaganda, rozpowszechnianie ulotek przeciwko rusyfikacji Ukrainy i na temat rocznicy Szewczenki w Kijowie.	Nasarenko 5 lat, Kondriukow 3 lata, Karpenko 1½ roku obozu o zaostrzonym reżymie.
Rozpowszechnianie listu, w którym wyłożone zostały przyczyny aresztowania Anatolija Marczenki.	1 rok obozu.
Zniesławienie sowieckiego państwa i systemu społecznego.	2 lata obozu.
Założenie „Związku walki o prawa polityczne.	—
Rozpowszechnianie publikacji „Samizdatu" oraz książek zagranicznych.	—
Poglądy antysowieckie oraz próba emigracji do Izraela.	3 lata obozu.
Rozpowszechnianie dzieł Daniela i Siniawskiego.	3 lata obozu.
Próba samospalenia.	2½ roku obozu z zaostrzonym reżymem.
Wysyłanie za granicę listów zawierających krytykę polityki sowieckiej wobec CSRS.	—
Rozpowszechnianie dokumentów o losie Tatarów krymskich.	Ametowa, Chalilowa, Gafarow, Jazydżijew, Umerow po 1 roku obozu, Bajramow i Kadyjew po 3 lata, Barijew i Chairow po 1½ roku i Eminow 6 miesięcy obozu.

Czas i miejsce procesu, względnie aresztowania	*Oskarżeni, względnie aresztowani*
20. 6. 1969, Moskwa	*Oskarżony:* Sergej Saryczew, współpracownik naukowy instytutu orientalistycznego.
Koniec czerwca 1969, Moskwa	*Aresztowany:* Iwan Griszczuk, major w stanie spoczynku.
16. 7. 1969, Moskwa	*Oskarżony:* Wiktor Kusnezow.
12. 8. 1969, Leningrad	*Aresztowany:* Boris Szildkrot, student.
22. 8. 1969, Nyrob (Perm)	*Oskarżony:* Anatolij Marczenko, autor książki „Moi pokazanija".
Wrzesień 1969, Tarnopol	*Proces* przeciwko 10 osobom.
2. 9. 1969, Kirow	*Oskarżony:* Boris Talantow, nauczyciel matematyki.
12. 9. 1969, Moskwa	*Aresztowany:* A. E. Lewitin (Krasnow), autor książek religijnych.
2. 10. 1969, Ryga	*Oskarżony:* Ilja Rips, student.
13. 10. 1969, Noginsk	*Oskarżony:* Michaił Ryżik.
5. 11. 1969, Leningrad	*Aresztowany:* B. O. Mitiaszin.
7. 11. 1969, Ryga	*Aresztowani:* A. Misułowin i E. Liepina.
19. 11. 1969, Leningrad	*Oskarżony:* Władimir Borisow.
20. 11. 1969, Moskwa	*Aresztowany:* Wiaczesław Wachmin, student.
26. 11. 1969, Charków	*Oskarżony:* Genrich Altunian, technik radiowy.
1. 12. 1969, Moskwa	*Aresztowane:* Irina Kaplun i Olga Joffe, studentki.

oskarżenie	*wyrok*
Antysowieckie wypowiedzi.	2½ roku obozu o zaostrzonym reżymie.
Organizowanie demonstracji przeciw nadużyciom w gospodarce mieszkaniowej w Bereckach k. Kijowa.	—
Rozpowszechnianie dzieł Daniela, Siniawskiego, Tarsisa i in.	Przymusowe umieszczenie w kazańskiej klinice psychiatrycznej.
Rozpowszechnianie skierowanej do studentów odezwy przeciwko stalinizmowi i za demokratyczną przebudową systemu.	Umieszczenie w zakładzie dla umysłowo chorych.
Antysowieckie wypowiedzi.	2 lata obozu z zaostrzonym reżymem.
Rozpowszechnianie wydawnictw „Samizdatu" w sprawie narodowościowej i interwencji w Czechosłowacji.	—
Artykuły na tematy religijne.	2 lata obozu.
—	—
Próba samospalenia.	Przymusowe umieszczenie w zakładzie dla nerwowo chorych.
Odmowa służby wojskowej.	1½ roku kolonii poprawczej i pracy.
Listy do redakcji sowieckich dzienników i czasopism protestujące przeciwko aresztowaniu osób demonstrujących w związku z aresztowaniem Ginsburga.	
Zdarcie z masztu flagi sowieckiej.	Misułowin 1½ roku, Liepina 1 rok więzienia.
Podpisanie listu adresowanego do ONZ.	Przymusowe umieszczenie w klinice psychiatrycznej.
—	—
Antysowiecka propaganda, kolportaż dokumentów zniesławiających państwo sowieckie i porządek społeczny.	3 lata obozu.
Rozpowszechnianie materiałów „Samizdatu" i przygotowywanie protestu w związku z uroczystością 90 rocznicy urodzin Stalina.	—

Czas i miejsce procesu, względnie aresztowania	*Oskarżeni, względnie aresztowani*	*oskarżenie*	*wyrok*
23. 12. 1969, Moskwa	*Oskarżony:* Wiktor Krasin, ekonomista.	Pasożytnictwo.	Przymusowe przesiedlenie na 5 lat do kraju krasnojarskiego.
1969, Leningrad	*Aresztowani:* 2 aspirantów-historyków instytutu pedagogicznego im. Hercena.	Ujawnienie treści materiałów specjalnie przechowywanych w bibliotekach, dostępnych tylko dla wybranych osób.	—
1969, Lwów	*Aresztowany:* Wasyl Rywak.	List do redakcji „Prawdy" w sprawie utrudnień językowych i prób przymusowej asymilacji Ukraińców.	
1969 — Rostow	*Aresztowany:* dr Szer, biolog.	—	
1969 ?	*Aresztowany:* A. A. Petrow-Agatow.	—	
1969, Moskwa	*Oskarżony:* Erich Danne z Rygi, pracownik międzynarodowych linii lotniczych.	Przewożenie literatury antysowieckiej	
Koniec 1969, Krasnodar	*Aresztowany:* Petrenko, maszynista parowozowy.	Krytyka polityki rządu z powodu interwencji w CSRS oraz bałaganu w zakładach przemysłowych Krasnodaru, jak również krytyka Breżniewa w Liście do Greczki.	1 rok więzienia.
1969, Ryga	*Aresztowany:* Fric Menders, jeden z założycieli socjaldemokratycznej partii Łotwy, 84 lat.	—	5 lat łagru o zaostrzonym reżymie.
1969 — Leningrad	*Aresztowany:* Sławinskij.	—	—
1969 — Kijów	*Aresztowany:* I. Griszuk.	—	—
1969, Roszal	*Aresztowany:* W. Lukanin.	—	Skierowanie do więziennego zakładu psychiatrycznego.
1969, Czerniowce	*Aresztowany:* Gaj.	Kontakty z nacjonalistami ukraińskimi.	—
1969, Estonia	*Aresztowani:* 33 oficerów Floty Bałtyckiej.	List Aleksejewa (protest przeciw interwencji w Czechosłowacji).	—
1969, Gorki	*Aresztowani:* 2 profesorów i 2 studentów uniwersytetu w Gorki.	—	—
1969, Włodzimierz	*Aresztowany:* Władimir Borisow, b. przewodniczący „Sojuza nezawisimoj mołodeżi".	Założony swego czasu legalnie „Sojuz" został zlikwidowany.	Skierowanie do kliniki psychiatrycznej.
Styczeń 1970, Tallin	*Oskarżony:* Teet Kallas.	—	—
5-13. 1. 1970, Saratow	*Oskarżeni:* Senin, student; Romanow, student; Kulikow, trener gimnastyczny; Kirikin, Bobrow i Fokejew — studenci.	Założenie antysowieckiej organizacji i propaganda antysowiecka.	Senin — 7, Romanow, Kulikow i Kirikin — po 6, Bobrow — 4 lata obozu z zaostrzonym reżymem. Fokejew — 3 lata obozu.
8. 1. 1970, Jangijul, Uzbekistan	*Aresztowany:* Nuri Abduraimow.	—	—

Czas i miejsce procesu, względnie aresztowania	*Oskarżeni, względnie aresztowani*
12-19. 1. 1970, Taszkient	*Oskarżeni:* Ilja Gabaj i Mustafa Dżemilew.
19-27. 1. 1970, Dniepropietrowsk	*Oskarżeni:* I. G. Sokulskij, N. G. Kulczinskij i W. W. Sawczenko.
29. 1. 1970, Swierdłowsk	*Aresztowany:* Lew Uboszko, inżynier fizyk.
Luty 1970, Riazań	*Oskarżony:* Jurij Wudka, Szimons Griljus, Frolow, Walerij Wudka, Martimonow, Zasławskij — wszyscy studenci instytutu radiotechnicznego w Riazaniu.
3. 2. 1970, Lwów	*Oskarżony:* Bedryło, ekonomista rolny.
20. 3. 1970, Kijów	*Oskarżony:* Bachtijarow, student.
26-27. 2. 1970, Moskwa	*Oskarżony:* P. G. Grigorenko.
Marzec 1970, Begowat, Uzbekistan	*Oskarżony:* Muarem Martynow, Tatar krymski, poeta.
Marzec 1970, Angren, Uzbekistan	*Oskarżony:* Sejdomet Chalisajew.
10-11. 3. 1970, Charków	*Oskarżeni:* Wladimir Ponomariew, inżynier; Władysław Niedobora, inżynier.
13. 3. 1970, Moskwa	*Oskarżony:* Wladimir Gerszuni, murarz.
16. 3. 1970, Moskwa	Waleria Nowodworskaja, studentka.
22. 3. 1970, Rostow	*Aresztowany:* Piotr Igides, kandydat nauk filozoficznych.

oskarżenie	*wyrok*
Sporządzenie i kolportaż różnych dokumentów, m.in. listu dwunastu do budapeszteńskiej narady partii komunistycznych i robotniczych, odezwy do naukowców i twóreów, podpisana przez I. Gabaja, Ju-Kima i P. Jakira odezwa do mieszkańców Moskwy w sprawie obrony Tatarów krymskich.	Gabaj — 3 lata obozu, Dżemilew — 3 lata obozu z zaostrzonym reżymem.
Zredagowanie i kolportaż odezwy do młodzieży twórczej Dniepropetrowska, kolportaż „reportażu z rezerwatu Berii", i in.	Sokulskij — 4½ roku obozu z zaostrzonym reżymem; Kulczinskij 2½ roku obozu; Sawczenko — 2 lata obozu z zawieszeniem.
Posiadanie ulotek broniących Grigorenkę, Litwinowa i Gałanskowa. Ulotki były kolportowane pośród cudzoziemców w Moskwie.	—
Założenie nielegalnej grupy pod nazwą „Partia marksistowska nowego typu".	Ju. Wudka — 7, Griljus i Frolow — po 5, W. Wudka — 3 lata obozu o zaostrzonym reżymie. Martinowowi i Zasławskiemu zawieszono wykonanie kary.
Rozpowszechnianie odezwy siedmiu poprzednio skazanych pisarzy ukraińskich oraz ulotki w związku z samospaleniem Machuchy.	2 lata obozu.
Antysowiecka propaganda.	3 lata obozu.
Antysowiecka działalność.	Przekazanie do kliniki psychiatrycznej w Kazaniu.
Przemówienie nad grobem Kosterina oraz podpisanie różnych dokumentów w sprawie Tatarów krymskich.	2 lata z zawieszeniem.
Antysowiecka propaganda.	1 rok obozu.
Zniesławienie państwa i systemu sowieckiego.	3 lata obozu.
Zniesławienie państwa i systemu sowieckiego.	Umieszczenie w klinice psychiatrycznej.
Rozdawanie ulotek potępiających interwencję w Czechosłowacji.	Przymusowe umieszczenie w klinice psychiatrycznej.
Listy do centralnych organów prasowych w Sowietach omawiających sytuację w państwie.	—

Czas i miejsce procesu, względnie aresztowania	*Oskarżeni, względnie aresztowani*
25. 3. - 24. 4. 1970, Gorki	*Oskarżeni:* Michaił Kapranow, student chemii (wyłączony z procesu z powodu antysowieckich wypowiedzi), Siergiej Ponomarew, student; Władimir Żilcow, student; Wladen Pawlenkow, nauczyciel historii.
Kwiecień 1970, Obninek	*Aresztowana:* Walentyna Zinowjewa, chemik.
15-18. 4. 1970, Ryga	*Oskarżony* (w drugim procesie): Iwan Jachimowicz, filolog, absolwent łotewskiego uniwersytetu, przewodniczący kołchozu „Jauna Gvarda".
24. 4. 1970, Charków	*Oskarżony:* Arkadij Lewin, inżynier.
30. 5. 1970, Obninek	*Aresztowany:* Jaures Medwedew, biolog.
1970, Petrozawodsk,	*Oskarżony:* student.

oskarżenie	*wyrok*
Antysowiecka propaganda.	Pawlenkow i Kapranow — 7 lat obozu z zaostrzonym reżymem, Ponomarew 5 i Żilcow 4 lata obozu.
Antysowiecka agitacja.	—
Pismo protestacyjne do KC KPZS.	Przymusowe umieszczenie w klinice psychiatrycznej w Rydze.
Podpisanie i kolportaż pierwszego i trzeciego pisma do komisji praw człowieka ONZ w związku z aresztowaniem Grigorenki.	3 lata obozu.
Krytyka reżymu sowieckiego z powodu upolitycznienia nauk przyrodniczych.	Skierowanie do kliniki psychiatrycznej.
Rozpowszechnianie broszury napisanej przez Ju. Wudkę: „Zakat Kapitała".	4 lata obozu.

Nowości wydawnicze

TOM 183 — SERIA „DOKUMENTY"

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Analiza „błędów i wypaczeń" systemu rządów Polski Ludowej, przeprowadzona przez jedną z czołowych postaci polskiego komunizmu.

Str. 128 Cena egz. F. 12 (dol. 2,50; 20 sh.)

◆

TOM 184 — SERIA „DOKUMENTY"

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

Rzeczywistość polska w oczach prasy krajowej

(Antologia)

Str. 384 Cena egz. F. 24 (dol. 5; 40 sh.)

Biblioteki «Kultury»

TOM 185 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMNASTY

Zawiera m.in. Memoriał Michała Romera z 1915 r.: Polska a Litwa; St. Kirkora: „Korespondencje" J. I. Kraszewskiego; W. Jędrzejewicza: Sprawa Wilna w lipcu 1920; L. Mitkiewicza: Placówka „Star" oraz Relacje, Recenzje i Polemiki.

Str. 240 Cena F. 18,50 (dol. 4; 30 sh.)

◆

TOM 186 — WITOLD GOMBROWICZ

TRANS-ATLANTYK

TOM II-gi „DZIEŁ ZBIOROWYCH"

Str. 132. Cena F. 14 (dol. 3; 25 sh.)

Kraj

Jest źle - będzie gorzej.

Tytuł pesymistyczny, należałoby go uzasadnić, może rozpocząć od suchego sprawozdania w rodzaju: „Znów brak mięsa, mebli, mieszkań; skaczą w górę ceny; opada w dół wydajność pracy; kiepska jakość produkcji; wysokie marnotrawstwo...". Ale nie, początek będzie inny, w duchu „notatnika agitatora", czy jak on się nazywa, wydawanego dla instruktorów partyjnych najniższego szczebla, na którym wzoruje się ostatnio bardzo ściśle redaktor krakowskiego *Życia Literackiego*, Władysław Machejek. Najlepszy literat wśród ekonomistów łączy z coraz lepszym skutkiem soc-planowanie w gospodarce z soc-realizmem w publicystyce literackiej. Tylko patrzeć, jak tygodnik krakowski otrzyma nowy tytuł: „Wycie Literacko-gospodarcze". W numerze majowym (nr 22) w artykule pod wymownym tytułem „Przeskoczyć swój cień" usiłuje dokonać nadzwyczaj trudnej sztuki w taki oto łatwy sposób: *„Wróciliśmy z dwudniowego posiedzenia V plenum KC PZPR* [...] *Ktoś powiedział n i e l i t e r a c k o (podkr. moje — A.G.), że nudzą go takie plena, ponieważ są podobne do narad buchalterów.* [...] *Wiadomo: cyfry i suche fakty nakręcają gadanie. Nie zgadzam się z takim stosunkiem do żmudnych rekapitulacji nawet buchalteryjnych (abstrahując od tego, że kiedyś chciałem być księgowym), taki stosunek świadczy o braku wyobraźni u krytyka, o zewnętrznym traktowaniu wysiłków, w żadnym wypadku nie świadczy dobrze o wyczuwaniu wielkich spięć koncepcyjnych i kadrowych pod powierzchnią cyfr* [...] *A więc, tkwiąc pozornie w sferze czysto produkcyjnej, rozpychając się dramatycznie w tym zakresie zewnętrznym, wkraczamy w sferę w gruncie rzeczy intelektualną".* Machejek rozpycha się dramatycznie, produkcyjnie i intelektualnie, żeby tylko wyjść spod cienia, w którym znalazła się „sfera rzeczy czysto produkcyjnych". Machejka nie nudzą posiedzenia plenarne KC, może przeciwnie, bawią, co byłoby poniekąd zrozumiałe, ale martwi go cień, więc próbuje wielkiego skoku: *„Czy rzeczy opłacalne społecznie mogą być nieopłacalne ekonomicznie w naszym ustroju?"* Myśl zawarta w pytaniu jest odkrywcza, świeża, załatwia wiele spraw, wystarczy bowiem, że partia piórem Machejka powie, iż marnotrawstwo w gospodarce na niebywałą skalę jest, mimo wszystko, opłacalne społecznie, bo to, co zostanie, będzie nasze, społeczne — i kłopot z głowy. Kolejna próba wielkiego przeskoku jest jeszcze ciekawsza: *„Cała polska ekonomika przemysłowa rozwijała się w fałszywym kierunku?* [...] *Wyraźnie kpię, albowiem musiałbym zapytać, co zrobilibyśmy z 'nadmiarem ludzi'?"* Dodajmy bez Nowej Huty im. Lenina, której koszt pochłonął chyba ze sto miliardów złotych? Bez Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu z jej archaiczną „Pobiedą"? Bez suchego doku w stoczni gdyńskiej, której koszty przekroczono o blisko 50 proc.? Wszystko było opłacalne; Machejek skacze jeszcze wyżej: *„A kto byłby ostoją walki z reakcyjnymi bandami i w konsekwencji ugruntowania władzy ludowej?"* To nic, że opór zbrojnego podziemia ustał na dobrą sprawę jeszcze przed zbudowaniem „zrębów" i że stało się to nie dzięki przemysłowi, lecz w wyniku braterskiej pomocy NKWD i wojsk sowieckich. No, ale ostoja jest, władza ugruntowana, wszystko byłoby już dobrze, gdyby nie ten cień, który legł (teraz!) nad sferą rzeczy czysto produkcyjnych". Tylko tutaj? Zostawmy skaczącego Machejka, wejdźmy na moment do cienia...

Western produkcyjny

Na XI Plenum KC w 1968 roku I sekretarz wojewódzkiego komitetu warszawskiego, Henryk Szafrański, oświadczył m.in.: *„Ogólnie biorąc w Zakładach 1 Maja w Pruszkowie nastąpiły pozytywne zmiany".* Plenum, o którym mowa, poświęcone było aktualnym problemom handlu zagranicznego, oświadczenie zaś Szafrańskiego miało oznaczać, iż zakłady pruszkowskie pokonują trudności w produkcji obrabiarek przeznaczonych na eksport. Była to w pewnym sensie próba odpowiedzi na pretensje partii do Szafrańskiego, że obrabiarki wytwarzane w podległym mu województwie są niskiej jakości i prymitywnej konstrukcji. *„Brak im* — zarzucano mu wcześniej — *nowoczesnej architektury, za dużo ważą, zbyt skromne oprzyrządowanie, nie gra część elektroniczna, źle z jakością, niedobrze z kosztami, fatalnie z wydajnością, suport do niczego, a o parametrach dokładności lepiej nie mówić...".* Szafrański nacisnął na komitet powiatowy w Pruszkowie, ten z kolei na komitet zakładowy, jednocześnie poszedł „wycisk" po linii administracyjnej: z resortu do zjednoczenia, ze zjednoczenia do dyrekcji zakładu, która obiecała że będzie lepiej. Dyrekcja była nowa, za stare grzechy nie odpowiadała i dlatego nie obawiała się żadnych zobowiązań, w najgorszym razie „zdejmą", „przesuną", a to nie takie straszne. Przed wojną dyrektorom Zakładów Pruszkowskich żyło się trudniej, nie znano rotacji, przez dwadzieścia lat zmieniło się ich zaledwie 2, najwyżej 3, a naczelny

był, zdaje się, jeszcze i w czasie okupacji. Socjalizm wymyślił dobroczynną rotację, dzięki której w latach 1945-1968 przez zakłady pruszkowskie przewinęło się *41 (tak, czterdzieści jeden!)* dyrektorów i zastępców, więc Szafrański mógł wystąpić na plenum i powiedzieć, że „nastąpiły pozytywne zmiany". Plenum dało wiarę, bo nie dać nie mogło, gdyby nie uwierzyło Szafrańskiemu, nie mogłoby uwierzyć kilkudziesięciu innym przedstawicielom partyjnych i przemysłowych organizacji. Plenum się skończyło i na tym byłby koniec sprawy, gdyby nie anonim, który wpłynął do redakcji jednego z tygodników.

Pod pewnymi względami modne w Polsce anonimy przypominają popularne w Związku Sowieckim publikacje „Samizdatu", można sobie przy ich pomocy ulżyć, uchylić rąbka prawdy, a najważniejsze — podnieść głos przeciw bezprawiu i łgarstwom, próbować „coś robić", jakoś walczyć. Anonim był krótki, treść nieporadna i brzmiał mniej więcej tak:

„Amerykańskie westerny, to betka w porównaniu z tym co się wyprawia u nas. Klika, która nami trzęsie, to najprawdziwszy gang złożony z brygadzistów, działaczy związkowych i partyjnych, powiązanych z komitetem powiatowym i nawet z milicją... Nowa robotnica na nocnej zmianie, jeśli nie przekroczyła wieku 40-tu lat, zostaje zgwałcona dobrowolnie albo pod przymusem, tak przynajmniej to wygląda na naszym oddziale... Jak się nie odda, wylatuje z pracy następnego dnia... W brygadzie skrobaczy premie za zamówienia eksportowe odbiera klika i dokonuje nowego podziału. Ktokolwiek próbuje w tej sprawie interweniować — a były takie próby w komitecie powiatowym, w komendzie MO, w prokuraturze, nawet w komitecie wojewódzkim — tracił pracę jako niebezpieczny warchoł i rozrabiacz. Pomóżcie, bo już nie wiemy gdzie się udać, ale na miłość boską! nie pokazujcie im oryginału anonimu!".

Dziennikarz przepisał anonim na maszynie i pojechał do Pruszkowa. Jeden z sekretarzy komitetu pobieżnie przejrzawszy anonim, zwrócił go z rozbrajającym uśmiechem: *„Ta wariatka znów rozrabia, tym razem do was trafiła"*... A gdzie ta „wariatka" pracuje? *„O, już dawno zwolniona i teraz z nudów wypisuje różne głupstwa..."* A może to nie ona? *„Na pewno ona! Szkoda zachodu, wracajcie do Warszawy, z tego tematu nic nie będzie"*. Dziennikarz uparł się jednak i postanowił pojechać do zakładu, aby zobaczyć, „co i jak". Nagle mina sekretarza przeszła dziwną metamorfozę: konfidencjonalnym tonem zapytał, niemal szeptem, tuż przy uchu: *„Co, może jest cynk z góry, żeby wykończyć Szafrańskiego? Powiedzcie prawdę?"* Dziennikarz nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko, że niby ani zaprzecza, ani potwierdza, bo jedynie taka dwuznaczna postawa mogła ułatwić zbadanie sprawy. I nie omylił się, sekretarz obiecał pomóc...

Jak się okazało, to o czym wspominał anonim, było tylko bladym odbiciem stosunków panujących w zakładach imienia 1 Maja. Sprawa gwałtów: robotnice w starszym wieku i „bardzo brzydkie" były zwolnione od powinności utrzymywania stosunków płciowych z majsterem, brygadzistą. Afera skrobaczy: robotnik W.P. pokwitował odbiór premii w wysokości 4.000 zł, pieniądze zabrała klika i „zwróciła" mu jedynie 1.000 zł; robotnik J.G. pokwitował 2.300 zł, nie otrzymał jednak ani grosza, ponieważ wpisany był na listę „na lipę", w tym czasie przebywał na urlopie. Brygadzista tłumaczył się: *„Owszem, brałem, ale nie dla siebie, musiałem dawać na górze, wyżej i w komitecie, i w M.O."*. Trochę kłamał, bo dla siebie też brał, może nawet więcej, niż przypuszczali na górze. Dziennikarz rozmawiał potem z pewnym robotnikiem, który przepracował w fabryce ponad 30 lat — typowy „stary robociarz". *„Owszem, początkowo próbowaliśmy z tym wszystkim walczyć, ale krewny brygadzisty jest w radzie zakładowej, inny z kliki ma kumotra w komitecie powiatowym itd. Oni decydują o wszystkim — komu dać przydział na mieszkanie, kogo skierować na wczasy, komu dodać godziny nadliczbowe przy zamówieniach eksportowych, kogo przyjąć do pracy, zwolnić... Dyrekcja? A co to ją obchodzi? Byle szła produkcja, byle wskaźniki grały, reszta się nie liczy. Zresztą, dyrekcji to na rękę, że jest gang, który trzyma robotników za mordę — jak trzeba, ktoś wykona za nią brudną robotę, panowie mają czyste ręce i tak to leci"*.

Jaki był, zapyta Czytelnik, epilog całej afery? Jak już wspomniano, dyrekcji nic nie zrobiono ponieważ nowa... Jednego z brygadzistów zwolniono z pracy, ten jednak z miejsca napisał do redakcji wielki akt oskarżenia pod adresem całej zakładowej i partyjnej elity i niedwuznacznie postraszył, że jeśli sprawa trafi do sądu, wraz z nią znajdzie się tam więcej osób. Sprawa brygadzisty do sądu nie poszła... Ponadto zwolniono kogoś w komitecie powiatowym i to już chyba wszystko. Przepraszam, jeszcze coś. W komitecie powiatowym poproszono dziennikarza, aby artykuł dał uprzednio do wglądu, *„bo wiecie, mogą być jakieś błędy"*. Nie dał, więc komitet zadzwonił (ale to tylko przypuszczenie dziennikarza) do Szafrańskiego, który z kolei powiadomił wiedać kogo trzeba w biurze cenzury. W każdym razie na artykuł już tam czekano, a gdy nadszedł, skomunikowano się z właściwą osobą w komitecie centralnym (to także tylko przypuszczenie dziennikarza), która wydała werdykt: puścić, ale z drobnymi zmianami. Zgodnie z tym, wyrzucono z artykułu cały fragment dotyczący gwałtów na robotnicach, następnie drugi, w którym mowa była o tym, iż gang miał kumotrów wysoko w powiecie usytuowanych. Przepuszczono natomiast fragment wystąpienia Szafrańskiego na plenum KC o „pozytywnych zmianach" w produkcji obrabiarek w Zakładach im. 1 Maja w Pruszkowie, co na tle opisanej afery (tytuł brzmiał „Afera w brygadzie") sprawiało wrażenie figla, raczej niezamierzonego, spłatanego urzędowym „czytaczom"... Oto przyczynek do dramatycznej sytuacji gospodarczej Polski, w sferze, jak pisał Machejek, *„pozornie czysto produkcyjnej"*, która stać się miała wedle machejkowego zamysłu *„ostoją walki z reakcyjnymi bandami i w konsekwencji ugruntowania władzy ludowej"*. Nie, proszę Machejka! Zakłady Pruszkowskie nie są ostoją, zaś frezarki pruszkowskie nie mogą

sprostać konkurencji na rynkach światowych. Złe parametry techniczno-humanitarne!

Ludzie z immunitetami

Afera pruszkowska nie jest odosobnionym ani najdrastyczniejszym przykładem stosunków panujących w polskim przemyśle. Załogi fabryk są zastraszone, czasem wręcz terroryzowane przy pomocy całego arsenału środków, w którym pałka milicyjna bądź sankcja administracji nie należą do najgroźniejszych. Dalekosiężne skutki afer, w rodzaju pruszkowskiej, dają o sobie znać groźną deprawacją szerokich grup społecznych, powszechnym naruszaniem elementarnych zasad współżycia społecznego, dziczeniem obyczajów. Na polu zaś gospodarczym prowadzą do strat wprost nieobliczalnych, w wyniku chociażby niskiej jakości produktów, niedbałej realizacji procesów technologicznych itd.

Od lat partia nieustannie i bezskutecznie zabiega o przyspieszenie wzrostu wydajności pracy. Alarmy są uzasadnione, bo z jednej strony dzieją się w tej dziedzinie na świecie istne cuda, a z drugiej, mimo nieustannego zwiększania udziału nakładów inwestycyjnych w dochodzie narodowym, w przemyśle polskim trwa od lat groźne zjawisko zwalniania tempa wzrostu wydajności pracy. Jeszcze w latach 1956-1960 przeciętne przyrosty wartości produkcji globalnej na jednego zatrudnionego sięgały 7,6 %, w latach 1961-1965 już tylko 5,1 %, a w okresie 1966-1967 wskaźnik ten obniżył się do 3,7 %, a w następnych latach sytuacja nie uległa poprawie. Tymczasem, powtórzmy, nakłady inwestycyjne lokowane w przemyśle są coraz większe, to znaczy buduje się wciąż nowe fabryki, a wydajność pracy maleje. Gdyby takie zjawisko w podobnej skali miało miejsce na Zachodzie, powiedzmy w Wielkiej Brytanii, opozycja odniosłaby druzgocące zwycięstwo nad partią rządzącą, zaś cała prasa podniosłaby głośne larum z powodu nadciągającego kryzysu!

PZPR nie zamierza scedować władzy na rzecz opozycji, której zresztą w tej chwili nie ma, próbuje natomiast zmniejszyć liczbę zatrudnionych, aby podwyższyć wydajność pracy na jednego zatrudnionego. Można i tak, zwłaszcza, że formalnie partia ma rację: przeciętny przyrost zatrudnienia pozostaje w rażącej dysproporcji do dynamiki produkcji. Pod tym względem polski przemysł jest dziś jednym z najbardziej zacofanych w Europie. Na dowód jeszcze kilka liczb: I tak przyjmując cały przyrost produkcji za 100, w latach 1961-1966 w Anglii tylko 6 % tego przyrostu osiągnięto w wyniku większego zatrudnienia, a resztę, tzn. 94 %, dzięki zwiększeniu wydajności pracy. Jeszcze kilka przykładów: Np. we Włoszech odpowiednie proporcje wyniosły 12 i 88, we Francji i w NRF 15 i 85, w Belgii 17 i 83. A w Polsce? Jeśli wierzyć oficjalnym danym, dzięki wzrostowi wydajności pracy osiągnięto tylko 65 % przyrostu produkcji, a w wyniku zwiększenia zatrudnienia — 35 %. Wskazuje to na techniczne zacofanie przemysłu, wystawia niechlubne świadectwo organizacji zarządzania i produkcji.

A więc partia słusznie podnosi larum, chwyta się jednak środków ani „socjalistycznych w formie", ani humanitarnych w treści, proponuje bowiem po prostu zwolnić z pracy określoną ilość ludzi. Do tego miejsca zgadzam się z partią, ja również sądzę, iż z przemysłu można zwolnić, bez żadnego absolutnie uszczerbku dla produkcji, co najmniej 20 % stanu osobowego. Pytanie tylko, *kogo?* W samym np. resorcie przemysłu maszynowego można zwolnić, szacunkowo, 200 osób; sponad 20 zjednoczeń przemysłowych — co najmniej 2.000 osób; pominę tu takie resorty, jak UBE, Kontroli Prasy i podobne, gdzie „przerosty" sięgają wielu tysięcy wysoko płatnych pracowników. Również w fabrykach istnieje pokaźny nadmiar zbędnych ludzi. A jednak, kogo się zwalnia? Wróćmy do części reportażowej...

... Pani M.Sz. ma dzisiaj ponad 50 lat, męża chorego na gruźlicę i 3 dzieci. Należy do jednej z najstarszych pracownic Zakładów Wytwórczych Urządzeń Telefonicznych im. Komuny Paryskiej w Warszawie. Po wyzwoleniu stolicy ofiarnie uczestniczyła w odgruzowaniu i odbudowie fabryki, miesiącami pracowała za darmo, za zupkę z przyfabrycznej stołówki. Była z tego dumna, często lubiła opowiadać, jak „własnymi rękami odbudowała zakład". Pani M.Sz. już nie pracuje, została zwolniona „w ramach eliminacji nadmiaru siły roboczej". *„Panie redaktorze* — mówiła płacząc — *gdzie ja się teraz podzieję, kto mnie w tym wieku i z moją profesją przyjmie? I czy to sprawiedliwe? Nierobów, darmozjadów nie ruszyli, a mnie zwolnili. Chce pan poznać prawdę, kto został?"* Dziennikarz postanowił poznać prawdę, ujawnić „darmozjadów". Ludzi ze swoistymi immunitetami, nietykalnych, jak ich nazywają w fabryce, naliczył ponad *stu*, co na niewielką stosunkowo załogę jest skandalem co się zowie. Bo nietykalni nic absolutnie nie dają fabryce, wprost przeciwnie, są na jej utrzymaniu. Kim są? „Kto jest kto?" Przede wszystkim liczna grupa byłych ubowców, którzy „zasilili" fabrykę po Październiku i w późniejszym okresie. Dalej — kilkudziesięciu tzw. etatowych i nieetatowych, czyli społecznych działaczy różnych organizacji partyjnych i samorządowych, którzy lwią część dniówek roboczych przesiadują na naradach, konferencjach, nad pisaniem i czytaniem sprawozdań „do" i „z". Prócz tego kilkunastu notorycznych bumelantów, znanych z imienia i nazwiska całej załodze, ale od których niesposób się uwolnić, ponieważ każdy posiada wysoko utytułowanego krewnego... Wystarczy, chociaż dziennikarz zapewne nie ujawnił całej prawdy, z prostego jednak działania arytmetycznego wynikało, że gdyby ZWUT im. Komuny Paryskiej mógł sobie pozwolić na likwidację hojnej filantropii, wydajność pracy liczona wartością produkcji na jednego pracownika wzrosłaby momentalnie o całych 10 %! Partia poszła inną drogą: pani M.Sz. — wysłużona robotnica, która własnymi rękami w 1945 roku... itd. — już nie pracuje, zrobiła swoje i musi odejść. Krzy-

wa wydajności pracy może się podniesie, a może i nie, raczej nie — ponieważ przykład pani M.Sz. z pewnością wywrze określony wpływ na całą załogę. I to jest następny przyczynek do sytuacji gospodarczej w Polsce.

Uszczelka a socjalizm

Lenin kiedy powiedział, że socjalizm, to „elektryfikacja plus władza sowiecka". W świetle leninowskiego kryterium, Polska posiada już daleko zaawansowany socjalizm, elektryfikacja bowiem poczyniła duże postępy, a władza sowiecka również. Lenin powiedział także wiele rzeczy innych, m.in. wspomniał o walorach socjalistycznego planowania, co potem Stalin uzupełnił po żołniersku, że „plan — to prawo", to znaczy *prikaz*. I tak już zostało, również w Polsce, gdzie partia opracowuje plany dla każdej dziedziny życia. Najwięcej uwagi partia poświęca planowaniu inwestycji, więc z natury rzeczy o wszystkim musi pamiętać — o każdej gałęzi gospodarki narodowej, o każdym województwie, o wszystkich fabrykach, mostach, tunelach, polach, parkach, festiwalach, uniwersytetach. I o najważniejszym, że inwestycje muszą sprzyjać postępowi technicznemu. Partia zna potrzeby, możliwości, zasady podziału, a ponieważ zgłębiła także co jest najważniejsze w inwestycjach, więc dzieli je sprawiedliwie oraz w myśl zdrowej zasady „wedle stawu grobla". Tak to wygląda w teorii.

W Polsce dużo się pisze na temat „grup nacisku", czyli *lobbies* istniejących w USA. Jak są wpływowo, jak działają, kto na kogo naciska, po co i za ile. O „grupach nacisku" w Polsce jest głucho, przynajmniej w publicznych środkach przekazu. Prywatnie jednak i po cichu mówi się na ten temat od lat. Że istnieje potężna „grupa węglowa", że krzepnie „grupa naftowa", że działają grupy „stalowa", „stoczniowa", „chemiczna" i inne. Jest to niejako branżowy przekrój socjalistycznego *lobby;* dzielą się także na układy regionalne: są więc giganty katowicki, wrocławski, stołeczny, i inne. Każda z grup posiada swoich ludzi ustawionych w odpowiednich miejscach — w najważniejszym obok Gomułki, w Komisji Planowania, w resorcie finansów, w bankach. Kiedy dochodzi do podziału bochenka inwestycyjnego, pomiędzy grupami wybuchają zażarte walki, toczą się przemyślne intrygi o to, aby uszczknąć komu się tylko da kilka czy kilkadziesiąt miliardów złotych i przerzucić je na konto własnej grupy. Oczywiście, jak na całym świecie tak i tutaj, wygrywają silniejsi, przegrywają słabsi. Gierek z rozmachem przebudowuje Katowice kosztem wielu miliardów złotych, za to Kozdra w Lublinie latami nie może wyżebrać kilkuset milionów złotych na remonty kanalizacji miast powiatowych, w których niemal każdego lata wybuchają groźne epidemie wywołane zanieczyszczoną wodą pitną. Minister Mitręga miliardy złotówek inwestycyjnych grzebał

w kopalniach, za to trzech kolejnych ministrów komunikacji nie było w stanie wybłagać dodatkowych dwóch-trzech miliardów złotych dla będącego w katastrofalnym stanie kolejnictwa polskiego. Zawsze i wszystkie podziały nakładów inwestycyjnych były poprzedzane intrygami, walkami, w których każdy chwyt był dozwolony. I to jest jedna, choć nie jedyna przyczyna, że pewne gałęzie przemysłu wysforowały się do przodu, inne pozostały w tyle; że jedne miasta rozbudowano z rozmachem, inne zaś skazano na powolne konanie.

Polska, produkująca już 11 mln ton stali, ale nie potrafi się uporać z... uszczelkami — zwyczajnymi, „głupimi" uszczelkami. W efekcie mała zacofana fabryczka w rodzaju osiemnastowiecznej „manufakturki", trzyma w szachu 1.500 przedsiębiorstw socjalistycznego przemysłu — elektrownie, transport lądowy i morski, gospodarkę komunalną. Pech bowiem chciał, że fabryczka nijak nie mogła znaleźć możnego protektora i latami wegetowała bez inwestycji, klepiąc uszczelki — jak się dało i ile się dało. A dawało się źle i mało. I oto z biegiem czasu w przemyśle zaczęły dziać się koszmarne i śmieszne jednocześnie rzeczy, których na Zachodzie żaden dyrektor ani zwyczajny robotnik nie byłby w stanie zrozumieć. W wielkiej hucie „Zgoda" znajduje się agregat wysokości chyba dwóch pięter, wartości wielu milionów złotych. Jeśli agregat stoi bezczynnie, straty w ciągu kilku godzin sięgają wielu tysięcy złotych. Pewnego dnia powstała taka groźba i rychło okazało się, że zawiodło kilka uszczelek, które trzeba natychmiast wymienić na nowe. Zapasowych huta nie posiadała, ponieważ uszczelki są „deficytowe". Wysłano więc do Warszawy specjalnego posłańca i ten dopiero usilnymi umizgami wybłagał od „manufakturki" kilka uszczelek, które wsadził troskliwie do butonierki i natychmiast wrócił do huty. Koszt delegacji posłańca wyniósł ponad 500 zł, przestój agregatu — kilka tysięcy złotych, a cena każdej z uszczelek nie przekraczała... kilkudziesięciu złotych!

Kiedy sprawę zbadano bliżej wyjaśniło się, że niektóre wielkie przedsiębiorstwa otrzymują przydziały dewiz na import uszczelek. „Manufakturka" zaproponowała: *„Dajcie nam jeden jedyny raz połowę przydziału dewizowego, zmodernizujemy fabrykę, zwielokrotnimy produkcję uszczelek, podniesiemy ich jakość"*. Propozycja była sensowna, początkowo spodobała się możnowładzcom partyjnym i gospodarczym, rychło jednak do akcji weszły „grupy nacisku". *Lobby*'ści wytłumaczyli komu potrzeba, iż nie mogą zrezygnować z przydzielonych dewiz. Ostatecznie stanęło na tym, że „manufakturkę", jako zakład uciążliwy dla stolicy, należy „zdeglomerować", to znaczy przenieść poza stolicę... Jaki będzie dalszy los uszczelek, nikt jeszcze nie wie, być może sprawa ruszy z miejsca po jakimś nadzwyczajnym plenum KC na temat szczególnej roli uszczelek w socjalizmie. Oczywiście, uszczelka, *to tylko przykład, jeden z tysięcy*, kiedy więc partia zdoła omówić wszystkie braki i wydać odpowiednie dyspozycje — w którym wieku?

Dysproporcje rosną

Istnieją różne kryteria oceny sytuacji gospodarczej: dynamika dochodu narodowego, bilans w handlu zagranicznym, siła nabywcza pieniądza, relacje między popytem i podażą oraz dziesiątki innych. Jak wykazuje doświadczenie PZPR, najbardziej niezawodnym kryterium takiej oceny stał się ostatnimi laty specyficzny styl postępowania ekipy rządzącej. Spróbuję to wyjaśnić na abstrakcyjnym przykładzie.

Jeśli sytuacja w pewnej dziedzinie jest kiepska, powiedzmy nie wykonano jakichś tam planów w którejś gałęzi gospodarki narodowej, biuro polityczne rozpatruje sprawę wyłącznie w swoim gronie. Jest to, powiedziałbym, *I stopień zaniepokojenia.* Gdy natomiast sytuacja jest zła w kilku jednocześnie dziedzinach, biuro polityczne zwołuje plenum KC — co stanowi *II stopień zaniepokojenia.* A gdy jest jeszcze gorzej, gdy zaistniał stan kryzysowy w całej gospodarce, biuro polityczne, albo zwołuje plenum albo nie, pisze specjalne listy do wszystkich organizacji partyjnych — i to jest *III stopień zaniepokojenia.* Wszystkie te stopnie były już osiągane wielokrotnie, ostatnio nawet w tym roku. Tym razem jednak sytuacja jest nieporównanie gorsza niż w poprzednich latach i na dobrą sprawę zaistniał najwyższy czas na IV stopień zaniepokojenia — na powiedzenie całej prawdy całemu narodowi.

Jest niedobrze, wręcz fatalnie i może być jeszcze gorzej i nie tylko z powodu pogłębiającej się dezorganizacji oraz coraz większego marnotrawienia dóbr społecznych. Kryzys przeżywany przez gospodarkę Polską ma miejsce w czasie, kiedy na świecie dokonuje się niebywała wprost rewolucja na polu technologii wytwarzania dóbr materialnych i kulturalnych. Fascynują nas loty na księżyc, owszem, słusznie, te loty są rewelacyjne, ale nie mniejszą rewelacją naukowo-techniczną jest to wszystko, co się wyrabia dziś na rynkach. I tutaj jeden charakterystyczny przykład. Jeszcze kilkanaście lat temu okres wymiany całej produkcji rynkowej na nową, dotychczas nie wytwarzaną, trwał 10-15 lat; już w latach sześćdziesiątych cykl ten uległ skróceniu do 5-6 lat, a w latach siedemdziesiątych obniży się przypuszczalnie do 3-4 lat! To jest właśnie najprawdziwsza rewolucja przemysłowa, przewrót w technologii. Oczywiście, mowa tutaj o krajach wysoko rozwiniętych, z którymi Polska na ogół nigdy nie mogła się równać, również Polska przedwojenna. Ale jest tu jedno ale... Chodzi o to, że dysproporcje między gospodarką polską a gospodarką czołowych państw są dzisiaj w wielu dziedzinach *większe niż w latach międzywojennych.* Oto wymowne, jak się wydaje, porównanie liczby samochodów osobowych (w użytkowaniu) przeciętnie na 1.000 ludności w latach 1938 oraz 1967. We wspomnianym okresie liczba samochodów w Polsce zwiększyła się 11 razy, w tym samym jednak czasie w innych krajach wskaźniki wzrostu ukształtowały się następująco: Hiszpania — 14, Grecja — 15,

Włochy — 21, Japonia i Francja — 47... A samochody, to nie tylko motoryzacja, to również szosy i autostrady, handel, motele i turystyka — dziesiątki gałęzi przemysłowych, „ruch w interesie" zwanym gospodarką narodową. I jeszcze jedno porównanie ujawniające zwiększające się dysproporcje. Jak wynika z obliczeń, w krajach wysoko rozwiniętych pełna wymiana tego wszystkiego co produkuje przemysł maszynowy na zupełnie nowe wyroby, dokonuje się przeciętnie co 5-6 lat. A w Polsce, gdzie partia nieustannie podkreśla rolę tego przemysłu jako dźwigni rozwoju gospodarki, cykl ten trwa średnio 12-15 lat, przy czym na Zachodzie wszystko wskazuje na skracanie wspomnianego okresu, w Polsce zaś nie widać oznak radykalnego zwrotu. I to właśnie jest najsmutniejsze.

A więc jest źle, wręcz niedobrze i, jak na ironię losu, prawdę dramatycznie ukazał polskiej ekipie rządzącej... Francuz, znany publicysta, J. J. Servan-Schreiber w swojej głośnej książce pt. „Amerykańskie wyzwanie". Książka została specjalnie streszczona przez PAP (w języku polskim) w kilkudziesięciu zaledwie egzemplarzach przeznaczonych głównie dla czołowego kierownictwa partyjnego i gospodarczego. Jak potem opowiadano sobie na ucho, co najmniej kilkunastu wysoko postawionych czytelników przeżyło szok... Zaszokowały ich przede wszystkim dane o dysproporcjach między USA i Europą Zachodnią, oraz pomiędzy Zachodem i Wschodem. Do najbardziej szokujących opinii i ocen należało następujące zdanie we wspomnianej książce: *„W początkach bieżącego stulecia rozwój był w podstawowym stopniu problemem ilości: według Denisona więcej niż połowa ekonomicznego rozwoju w okresie 1909-1929 była wynikiem wzrostu nakładów pracy i zainwestowanego kapitału. Po depresji przestało to być prawdą. Pomiędzy latami 1929 a 1957 tym ilościowym czynnikom (praca i kapitał) zawdzięczamy tylko jedną trzecią wzrostu dochodu narodowego. Dzisiaj najważniejszym czynnikiem rozwoju ekonomicznego są wiedza i technologiczne innowacje".* Być może ktoś zapyta: gdzież tu powód wstrząsu? A oto i przyczyna: z obliczeń krajowych wynika, że w latach 1961-1968 dwa ilościowe czynniki wzrostu (wzrost zatrudnienia i i potencjału wytwórczego) dały łącznie ponad 52 % całego przyrostu produkcji, co według Denisona, na którego powołuje się Servan-Schreiber, odpowiadało warunkom rozwojowym z lat 1909-1929... Innymi słowy, partia prowadzi gospodarkę polską drogami, po których inne kraje przeszły kilkadziesiąt lat temu! Te kilkadziesiąt lat różnicy, to najbardziej generalna dysproporcja i jeden z najcięższych zarzutów pod adresem elity rządzącej. Cała dotychczasowa polityka ekonomiczna partii polegała w istocie na nieustannym maksymalizowaniu nakładów inwestycyjnych, co w konsekwencji prowadziło, rzecz jasna, do forsownego wzrostu zatrudnienia w przemyśle i ogałacania z sił roboczych pozostałych działów gospodarki narodowej. PZPR i inne partie bloku sowieckiego na czele z KPZS, wykazały pewne umiejętności w organizowaniu procesów industrializacji — w kierowaniu gospodarką

ekstensywną — w budowie tzw. „zrębów". Na nowym jednak etapie, w obliczu rewolucji technicznej, wychodzi na jaw ich absolutna słabość i bezradność, nieprzystosowanie do nowego etapu rozwojowego.

Dzisiejszy przemysł polski jest technicznie zacofany, prymitywny, przestarzały — i co za paradoks! — mimo, iż pod względem wieku zakładów należy do najmłodszych w Europie... A przecież tyle wydatkowano środków inwestycyjnych! Okazuje się wszelako, że „budowle socjalizmu" pod względem efektywności technicznej i ekonomicznej niewiele się różnią od fabryk zbudowanych przez kapitalizm polski w latach poprzedzających obydwie wojny światowe. I na dowód jedno tylko porównanie:

Procentowy udział zakładów w 1965 r.

	nowych	*starych*
Wartość produkcji globalnej	35,9	33,9
Zatrudnienie	33,2	36,6
Środki trwałe	38,3	30,7

„Nowe", to zakłady powstałe w latach 1950-1965, stare zaś liczą po 30-40 lat, nie rzadko nawet 100. Spójrzmy na tabelkę: Zakłady „nowe" dały produkcję tylko o 6 % większą przy zatrudnieniu zaledwie o 9 % niższym, ale przy pomocy potencjału wytwórczego o wartości wyższej o 25 % niż w zakładach starych. Innymi słowy, produkcja w zakładach „nowych" nie była tańsza, niż w starych, raczej droższa. Przy czym, kiedy budowano stare zakłady, nie znano jeszcze komputerów, automatyzacji, dzisiejszych metod organizacji planowania i produkcji oraz wielu innych rzeczy. No, i w owych czasach komuniści nie mieli władzy w Polsce. Z tego punktu widzenia, na czym polega „wyższość socjalistycznej industrializacji"? I czy — wracając do „machejkowego" pytania — tak wielce kosztowne, bo nieefektywne uprzemysłowienie w drugiej połowie XX wieku było społecznie opłacalne? Niby dlaczego?

Wydawać pieniądze rozrzutnie potrafi każdy, do tego nie potrzeba żadnych uzasadnień natury ideologicznej. Z tym właśnie partia radzi sobie najlepiej i z każdym rokiem odkrawa z bochenka dochodu narodowego coraz większy kawał przeznaczony na inwestycje. Inwestycje stały się siłą motoryczną partii, pobudzają do działania działaczy gospodarczych — bez inwestycji, bez nieustannego mnożenia *ilości* murów, maszyn, ton, sztuk, litrów itp. — cała „twórcza" i nieradosna działalność straciłaby sens, rozmach. I dlatego tak mocno wstrząsnął ekipą rządzącą wspomniany już J. J. Servan-Schreiber, który w innym miejscu swej znakomitej książki spostrzegł: *„... inwestycje przyczyniły się do rozwoju ekonomicznego w 23 % (1912-1929) i tylko w 15 % w drugim okresie (1929-1957). Wzrost zainwestowanego kapitału nie jest tym czynnikiem, który tłumaczy nową fazę nowoczesnego wzrostu"*. Rzecz jasna, inwestycje nie straciły sensu w krajach wysoko rozwiniętych, ich udział jednak w dochodzie narodowym

jest tam dużo niższy, niż w Polsce, a *kierunki* inwestowania oraz *metody* realizacji inwestycji różnią się diametralnie od przyjętych w całym bloku sowieckim. Toteż dysproporcje, o których była mowa, są już wielkie, nie maleją i przeciwnie będą rosły.

Coraz więcej rycynusu...

Socjalizm w wydaniu sowieckim ożywił monotonię i szarzyznę hal fabrycznych pstrokatymi transparentami, z wypisanymi „mobilizującymi" hasłami. W jednej z fabryk widziałem transparent o następującej treści: *„Przez realizację uchwały VII Plenum KC PZPR podniesiemy dobrobyt i siłę Polski Ludowej"*. Hasło, jak hasło, nie było lepsze, ani gorsze od innych wymyślanych przez propagandzistów. Kiedy jednak przyjrzałem się transparentowi, zauważyłem wycięte okienko, w które wstawiono ową rzymską siódemkę! W ten oto prosty, można powiedzieć genialny sposób robotnicy uprościli mechanizm propagandy partyjnej: po każdym plenum do okienka wstawia się inną cyfrę — była już IV-ka, V-ka, VI-ka, potem pojawiły się dalsze numery, tylko hasło pozostaje to samo — wiecznie żywe, albo ściślej zawsze martwe. Transparent z okienkiem, to swoiste świadectwo martwicy propagandy partyjnej, paraliżu doktryny politycznej, koncepcji ekonomicznych. Zmieniają się numery porządkowe posiedzeń, rad, narad, konferencji, zarządzeń, okólników i instrukcji, ale poza tym nic się szczególnego nie dzieje. Nie ma nawet niespodziewanych zaskakujących wydarzeń, bo i te nabrały cech systematycznej powtarzalności jak cztery pory roku. Nikogo już nie dziwi, że wiosna, lato, jesień i zima stały się, jak głosi anegdota, czterema plagami socjalizmu. Co rok wydatki inwestycyjne oraz plany w dziedzinie zatrudnienia są przekraczane, co rok występuje ostry deficyt surowców oraz nieplanowany wzrost zapasów coś za bardzo „spada" czy „wzrasta". Akcja toczy się niczym w seryjnym westernie, wiadomo z góry, jak się zacznie (pierwszy kwartał roku) i czym się zakończy (ostatni kwartał). Scenarzyści z biura politycznego nie wysilają się, *happy end* jest zawsze ten sam: *„Odnieśliśmy kolejny sukces, chociaż nie ustrzegliśmy się błędów..."*. W kinie zwanym „Partia" od lat idzie jeden i ten sam film.

Sytuacja jest niedobra, gospodarka silnie niedomaga, tymczasem partia, jak powiedział pewien młody inżynier, *„... aplikuje coraz większe dawki rycynusu"*. Rycynus, to specjalne akcje, którymi partia próbuje wstrząsnąć przemysłem, transportem, rolnictwem, oświatą, kulturą. Kilka lat temu partia postanowiła zmniejszyć tempo wzrostu nakładów inwestycyjnych w przemyśle, w związku z czym nagle ktoś skonstatował, że przemysł wykorzystuje tylko 40-60 % swego kosztownego potencjału wytwórczego: zakłady pracują przeważnie na jedną zmianę, istnieje nadmiar maszyn. Rzucono więc hasło: *„Wykorzystać rezerwy produkcyjne"*, to znaczy uruchomić „wolne moce produkcyjne". Gdy akcja

sięgnęła zenitu, ktoś mądry mimochodem zauważył: *„Towarzysze, przemysł wytwarza nie tylko rzeczy pożyteczne, również niechodliwe buble — czy opłaca się uruchamiać rezerwy w celu mnożenia bubli?"* Uwaga dotarła gdzie potrzeba, akcję przerwano, zresztą zbyt późno, bo ilość bubli „rzucanych" na rynek wzrosła niepomiernie. Rezerwy produkcyjne drzemią dalej, szeregi drzemiących zasilają wciąż nowe zakłady budowane olbrzymim wysiłkiem inwestycyjnym — rycynus nie pomógł. Gdzieś w 1964 albo 1965 roku partia ujawniła (wszystko widzi!) niekorzystne zjawisko w handlu zagranicznym: na rynkach zagranicznych kupcy boczą się na polskie maszyny, nie chcą kupować, a jeśli kupują, to za bezcen; dzieje się tak ponieważ konstrukcja maszyn jest na niskim poziomie, jakość wykonania niedobra, maszyny są zbyt ciężkie, za dużo ważą. Diagnoza była trafna, ale mógłby ją postawić pierwszy lepszy inżynier, każdy technik, nawet przeciętny robotnik, wystarczy bowiem porównać dwie obrabiarki, krajową i z importu, żeby zrozumieć w czym rzecz. Partia postawiła diagnozę i w ślad za tym zaleciła nową „kurację rycynusową" pod tytułem zapożyczonym z elementarza I klasy szkoły powszechnej: „ABC". Podzielimy — orzekł trust mózgów partyjnych — produkowane przez przemysł wyroby na trzy grupy według poziomu nowoczesności: grupa A — poziom światowy, grupa B — średni poziom europejski i grupa C — niski, zacofany poziom. Każda fabryka powinna starać się umieścić jak najwięcej wyrobów w grupie A, względnie B oraz zaniechać produkcji wyrobów grupy C. Do „abecadła" dorobiono wskaźniki procentowe, do wskaźników dopasowano fundusze premiowe. Zapomniano tylko o bagatelce, o tym mianowicie, że aby podnieść poziom konstrukcji i jakość wyrobów przemysłu polskiego, potrzeba najpierw poddać zabiegom modernizacyjnym czołowe gałęzie przemysłu, zaopatrzyć konstruktorów i technologów w należytą aparaturę a jeszcze przedtem usunąć wszystkie tzw. „antybodźce" na drodze do unowocześnienia przemysłu. Efekt kuracji? Większość zakładów rychło zaczęła donosić swym władzom o „przesuwaniu" wyrobów do grup A i B, w wielu wypadkach 70-80 % produkcji awansowało do poziomu światowego! Formalnie wszystko było w porządku, bowiem dla sklasyfikowania poziomu produkcji należało wybrać kilka wyrobów produkcji zagranicznej, porównać parametry i dokonać oceny. Oczywiście, wybierano to, co Zachód miał najgorszego, najstarszego. Akcja ABC, w przeciwieństwie do innych takich zabiegów, uznana została za nieustającą, trwa więc nadal i jak informuje prasa krajowa — z wielkim powodzeniem. Tymczasem w dziedzinie nowoczesności wyrobów przemysłowych niewiele się zmieniło — jak przed laty napotykają na wielkie przeszkody na rynkach światowych. Konstruktorzy polscy, których tęgie głowy znane były jeszcze zanim powstała władza ludowa, powiadają z ironią i sarkazmem: *„Początek niezły, jest już akcja od A do C, czekamy na dalszy ciąg, od C do Z..."*.

Na każdą dolegliwość w gospodarce i na własną nieudolność

partia reaguje „kuracją rycynusową". W sklepach niedobór artykułów gospodarstwa domowego? „Zorganizować akcję pod hasłem '1001 drobiazgów'". „Akcja była, drobiazgów wciąż brak. Rośnie zbyt szybko aparat administracji? „Przeprowadzić akcję redukcji przerostów w administracji". Redukcji dokonano już kilka, a z każdej administracja wychodzi obronną ręką. Pogarsza się bilans handlu zagranicznego, import rośnie szybciej od eksportu? „Ogłosić akcję produkcji antyimportowej". Efekty — jak wyżej. I tak za każdym razem. W mniemaniu partii akcje, to „działanie zrywami", zrywy są mobilizujące, rewolucyjne, rewolucja bowiem, to skok, a skok to właśnie akcja — więc partia skacze i podskakuje, próbując pociągnąć za sobą żywy organizm gospodarki narodowej. Od czasu ostatniego zjazdu PZPR w grudniu 1968 roku Polska jest widownią nowych skoków i podskoków, których strategicznym celem ma być *modernizacja* przemysłu. W samej rzeczy modernizacja, to polskie „być albo nie być", już niesposób rozwijać gospodarki metodami ekstensywnymi, dawno dojrzała potrzeba rezygnacji z *ilościowych* kryteriów rozwoju. Jednakże modernizacja, to etap jakościowo inny od industrializacji, wymaga nowych bodźców, ekonomicznych, także politycznych, moralnych. Można „na siłę", odgórnie, narzucić budowę tysięcy fabryk, ale nie można potem zmusić załóg, dyrekcji do technicznej rekonstrukcji. System zaś społeczno-ekonomiczny istniejący w Polsce nie zdołał wywołać *naturalnej potrzeby* modernizacji, nie stworzył pompy ssącej, zdolnej pochłaniać wynalazki, nowe efektywniejsze technicznie i ekonomicznie maszyny oraz wyroby. Przemysł, i to trzeba powiedzieć jasno i niedwuznacznie, nie pragnie modernizacji, ponieważ *siła robocza jest ciągle tania, bardziej opłacalna od najwymyślniejszych maszyn.*

Partia o tym wie, nie wiedzieć nie może, zdaje sobie sprawę i z tego, że społeczne zapotrzebowanie na modernizację dojrzeć może jedynie pod warunkiem daleko idących *zmian politycznych*, prowadzących do szeroko pojętej demokratyzacji, do tego, co Czechosłowacy w okresie swej krótkotrwałej wiosny nazwali „socjalizmem o ludzkim obliczu". A na to ekipa rządząca nie chce się zgodzić i stąd koncepcje nowych „kuracji rycynusowych". Jedną z nich nazwano *„Nowym systemem bodźców ekonomicznych"*, który ma być wprowadzony z dniem 1 stycznia 1971 roku. Już działają, jak zwykle, liczne komisje, trwa kampania „wyjaśniająca", akcja rozwija się. Nie ma potrzeby wyjaśniać na tych łamach sensu działania nowego systemu bodźców. Teoretycznie chodzi o to, by opłacać pracę robotników i pracowników umysłowych oraz produkcję zakładów w zależności od indywidualnych efektów ludzi oraz przedsiębiorstw. Jest to zasada stara, jak cywilizacja, kierowano się nią, sprawiedliwie lub nie, jeszcze przed wiekami. Rzecz jednak w tym, iż ta racjonalna zasada była martwa i nadal nie znajdzie zastosowania w mechanizmie gospodarczym polskim, ponieważ jest to twór zbudowany niezgodnie z elementarnymi zasadami racjonalnej ekonomiki. Przedsiębiorstwo, czy koncern, pozbawione najważniejszych praw w zakresie

samodzielności ekonomicznej, nie posiada również wpływu na ostateczne kształtowanie się efektów ekonomicznych. Państwo, ściślej partia, decyduje przecież o wszystkim — co budować, a co nie; co produkować i ile; po jakiej cenie sprzedawać w kraju i za granicą; skąd i dokąd trzeba i niepotrzeba importować oraz eksportować; jaka ma być liczebność załóg, procent pracowników umysłowych, fizycznych, kto posiada w zakładzie immunitet, a kto nie. I najważniejsze — wszystkie tzw. wskaźniki dyrektywne, narzucane odgórnie przedsiębiorstwom, zachowują moc obligatoryjną, siłę nakazu, naturę praw. „Nowy system bodźców ekonomicznych" po roku, najwyżej po dwóch latach, okaże się tak samo zawodny, jak wszystkie poprzednie, po których partia obiecywała sobie wiele pomyślności. A co dalej?

Niezależnie od wspomnianej akcji wymyślono nową, którą zgrabnie nazwano *„Selektywną polityką gospodarczą"*. Jest to właściwie przenicowane hasło rzucone w poprzednim pięcioleciu: *„Lata 1966-1970 pięciolatką modernizacji, nowoczesności i jakości"*. Modernizacji, jak wiemy, nie udało się przeprowadzić, nie osiągnięto pożądanych postępów na polu nowoczesności i jakości produkcji. Teraz więc, u progu nowego pięciolecia, partia oferuje kolejne „zamiast". W jaki sposób zamierza ona dokonać modernizacji przemysłu, na czym polega sens „selektywnej polityki"? Podobnie, jak w akcji ABC, tak i w tym przypadku podzielono zakłady na trzy grupy. Pierwsza, rozwojowa, przyszłościowa, wiodąca, kluczowa (i wiele innych przymiotników), w skład której wejść powinny wszystkie zakłady podlegające intesywnemu rozwojowi, to znaczy forsownej inwestycji. Do grupy drugiej zakwalifikować należy zakłady, które mogą pozostać przy życiu, ale nie wolno ich rozwijać będą one mogły otrzymać tylko tyle środków inwestycyjnych, żeby mogły egzystować. Do grupy trzeciej zaliczy się zakłady nie posiadające perspektyw, skazane na szybszą bądź wolniejszą likwidację — dla nich kurek od kranu z inwestycjami będzie zamknięty. Partia zrobiła swoje, wymyśliła kolejny skok, sprecyzowała grupy, teraz z kolei przemysł winien dokonać „obiektywnego, zgodnego z rachunkiem ekonomicznym", podziału zakładów. Okazało się wszakże już w toku pierwszej przymiarki, iż przemysł zachował się identycznie, jak w akcji ABC — do grupy rozwojowej zaliczył ponad 70 % przedsiębiorstw, proponując przyznać im ok. 83 % ogółu nakładów inwestycyjnych, a do grupy ostatniej przemysł zakwalifikował zaledwie kilka procent przedsiębiorstw... Rzecz jasna, taka arytmetyka kładzie na łopatki całą koncepcję, albowiem niesposób w krótkim czasie zmodernizować 70 % przedsiębiorstw, a poza tym na kpinę zakrawa fakt „wpisania" do grupy rozwojowej aż tylu obiektów produkcyjnych. W pierwszej grupie znalazły się m.in. wszystkie co do jednej kopalnie rudy, z których wiele słynie jedynie z tego, iż swój żywot zawdzięczają „grupom nacisku", a nie potrzebom gospodarczym. Z drugiej strony, czyż można się dziwić takiej postawie przemysłu, jego zjednoczeń i zakładów? *„Modernizacja* — powiadają tam ludzie — *owszem, rzecz dobra, skąd jednak wziąć nowoczesne maszyny, ze Związku Sowieckiego? Na import z Zachodu nie dadzą środków..."*. Partia od lat nęka gospodarkę narodową różnymi akcjami, w efekcie więc w gospodarce wykształciły się swoiste *mechanizmy obronne* pozwalające przeżyć, przetrwać kolejny wyskok ekipy rządzącej. Tak i tym razem. Podzielić zakłady na trzy grupy? Proszę bardzo! No to, ciach, dzielimy... Nie, proszę towarzyszy, modernizacji znów nie będzie, nie tędy do niej droga. Minęły bowiem czasy, kiedy rycynus był dobry na wszystko. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, modernizacji nigdy jeszcze nie pomógł.

◆

Oczywiście, istnieje pilna potrzeba podjęcia odważnych decyzji. Przez kogo — przez biuro polityczne, komitet centralny? Przez premiera i rząd albo Sejm? W tej sprawie niezawodny księgowy z *Życia Literackiego*, cytowany na początku Władysław Machejek, posiada wyrobione zdanie. W felietonie pt. „Czekanie na decyzje" nr 28), odpowiadając anonimowemu czytelnikowi piszącemu w liście, iż wszyscy są w oczekiwaniu superdecyzji, pisze: *„A jeśli ten ktoś nie ma czasu na powzięcie owej decyzji, bo to wymaga wielodniowej analizy i konfrontacji, a tymczasem walą się na głowę dziesiątki spraw, w tym także w skali zewnętrznej, międzynarodowej, globalnej, perspektywicznej — no to się czeka. Kogo winić?"* Machejek nie nazywa sprawcy po imieniu, ale z kontekstu felietonu jasno wynika, że winić należy 32 miliony Kowalskich, bo nie chcą podejmować decyzji. Dziwni są ci Kowalscy, boć przecież, kontynuuje Machejek, *„... centralizm demokratyczny został powołany przez najmędrsze umysły i proletariacką praktykę pragnącą zwartości do pobudzania decyzji od z góry w dół — po leninowsku — a nie do skupiania jej i dzierżenia w pojedynczych rękach"*. Chwileczkę, nie potępiajmy jeszcze Machejka, może jednak ma rację? Skoro *„... walą się na głowę dziesiątki spraw..."* i jest tak kiepsko w różnej skali, więc może Kowalscy nie powinni oczekiwać po kimś, kto jest tak bardzo zajęty, żadnych superdecyzji, tylko samemu się o nie zatroszczyć? Skoro Machejek publicznie namawia...

Antoni GUTOWSKI

Sprawy i troski

Prawda o Polakach

Od pierwszego stycznia bieżącego roku razem z ostatnimi życzeniami świątecznymi zaczęły z 26-ciu stanów Ameryki napływać odpowiedzi na pytanie: *Kim jest polski imigrant w Ameryce?* Przydrożna, wiejska skrzynka listowa z numerem 1300 (bo trzynastka zawsze była dla mnie szczęśliwa i dlatego taki numer wybraliśmy na dom, bo zresztą nikt nie chciał) nie mogła zmieścić wielkich pak, które podniecony listonosz wiązał już grubym sznurkiem wszerz i wzdłuż.

— Najwięcej przychodzi z Chicago — powiedział mi. Widocznie poczta nasza zainteresowała się też niebywałym napływem listów. Przychodziło ich dziennie od pięciu-sześciu do czterdziestu, a raz kiedy kochany ksiądz Grzyb z New Jersey przysłał w jednej żółtej kopercie trzydzieści, podskoczyło i przekroczyło pięćdziesiątkę. Nie mogę jeszcze wymieniać nazwisk. To tylko krótka notatka, pierwsze nieformalne sprawozdanie i podziękowanie tym przeszło dwu tysiącom osób, które odpowiedziały. Tym, które jak wspomniany ksiądz Grzyb do grubego pakietu dodawali „Patientia", „Per Aspera Ad Astra", i tym którzy z profesorską przyganą upominali: Nic tu pani na tym nowym naukowym terenie na sucho nie ujdzie!

Illinois prześcigało się z Nowym Jorkiem, a potem szły równo ręka w rękę: 22,74 i 21,23 procent odpowiedzi. Potem długo, długo nic i razem z New Jersey szła Kalifornia po 9½ procent, potem Conneticut, Michigan, Pennsylvania na równi z Maryland i Wisconsin, zaraz potem Ohio, District of Columbia ledwo że jeden procent odpowiedzi, tyle samo z Floridy i Rhode Island a reszta stanów tylko po niepełnym procencie odpowiedzi.

Kim jest polski powojenny imigrant w Ameryce?

Na podstawie dwóch tysięcy i czterdziestu dziewięciu odpowiedzi, które nadeszły w tysiąc dwustu trzydziestu kwestionariuszach od początku roku 1970 do ostatniego dnia lipca, polski powojenny imigrant w Ameryce przedstawia się następująco:

Jest to człowiek w wieku średnim, urodzony pomiędzy rokiem 1916 a 1926 (38½ procent) albo nieco starszy, urodzony pomiędzy 1900 i 1915 (32 procent). Opuścił Polskę przede wszystkim ze względów politycznych, w każdym razie tak stwierdziło 1.279 osób. A jeszcze 125 osób dodało, że to nie oni przyjechali ze względów politycznych, ale ich rodzice, wtedy jeszcze gdy byli zbyt młodzi, aby pobierać tak ważną decyzję.

Z ciekawych, niezrozumiałych dla mnie powodów, zarysowały się jakby na zamówienie trzy dokładnie rozdzielone grupy imigrantów: prawie 26 % przyjechało do Ameryki w ramach Polish Soldiers Quota, 21½ % „within D.P. Act", a 27 % — zaproszeni przez rodzinę w Stanach Zjednoczonych.

Z Anglii przyjechało 39 % osób, z Niemiec prawie 22 %, wprost z Polski prawie 20 %, a aż 4½ % z Argentyny.

27 % imigrantów (554 osoby) przyjechały z ukończonym wykształceniem uniwersyteckim, a prawie 40 % zdobyło dodatkowe wykształcenie w Ameryce: 55 doktorów, 85 magistrów, 101 ukończyło *college*, 143 osoby specjalne zawodowe kursy, które przyznawały dyplom, a 415 osób ukończyło kursy kwalifikujące do wykonywania specjalnej pracy.

Polacy lubią swoją pracę bardzo (38 %), albo dość lubią (27 %), mimo, że praca taka może być mniej zadawalająca niż praca, którą mieli w Polsce (15 %). Przeszło tysiąc osób mieszka w śródmieściu, około 40 % odpowiadających mieszka na przedmieściu *(suburb)*, a tylko 7 % na wsi.

Tylko niecałe 20 % odpowiadających mieszka w dzielnicach polskich. Zaraz po przyjeździe 44 % usadowiło się w polskiej dzielnicy, ale więcej niż połowa wkrótce się wyprowadziła. Polacy bardzo lubią swoje domy. Tysiąc dwieście pięćdziesiąt sześć osób odpowiedziało: *very much* na pytanie czy lubią swój dom albo mieszkanie. Polacy nie tylko lubią swoje domy, ale są właścicielami domów, tysiąc trzysta czterdzieści osiem osób mieszka we własnych domach. A tylko niecałe 17 % przyjechało z dobrą znajomością angielskiego, 10 % z bardzo dobrą, a 45½ % znało angielski słabo. Pomimo to grupa polska usadowiła się jeśli chodzi o wykształcenie i zarobki na poziomie amerykańskiej *middle class* z wyraźnym odchyleniem ku *upper middle*. Czterysta sześć osób, czyli niecałe 20 % ma dochód rodzinny przekraczający 20.000 dolarów, niecałe 5 % ma dochód rodzinny poniżej 5.000, 14½ % zarabia pomiędzy 10.000 a 11.999, a prawie 16 % pomiędzy 12.000 i 14.000 dolarów, 15 % ma dochód rodzinny w granicach 15.000 do 17.999 dolarów. Chociaż połowa odpowiadających liczy w dwóch językach: angielskim i polskim, to jednak zdecydowana większość, przeszło 71 %, modli się po polsku.

Prawie 53 % odpowiadających brało czynny udział w ostatniej wojnie.

Mimo załamywań rąk nad wynarodowianiem się polskich dzieci, język polski jest pierwszym językiem w większości domów imigrantów, którzy odpowiedzieli na moją ankietę. Sześćset czterdzieści cztery osoby mówią z dziećmi w domu tylko po polsku, 240 osób przede wszystkim po polsku, 523 osoby po polsku i po angielsku, a 97 osób przede wszystkim po angielsku i 73 osoby tylko po angielsku.

Większość imigrantów pragnęłaby, aby ich dzieci uważały się przede wszystkim za Polaków (939 osób, czyli 45,83 % całości), ale tysiąc sześćset dwadzieścia pięć, czyli niemal 80 % odpowiedziało, że sami uważają się za Polaków. Jeśli chodzi o dzieci zaczyna się zarysowywać już pewne wahanie, bo aż 502 osoby odpowiedziały, że chciałyby aby ich dzieci uważały się przede wszystkim za Amerykanów, ale tylko 266 odpowiadających uważa się przede wszystkim za Amerykanów.

Polacy myślą w zdecydowanej większości (74½ %), że Amerykanie uważają ich za Polaków, ale jeśli chodzi o Polaków w Polsce, to sytuacja zaczyna się nieco zmieniać, 607 osobom wydaje się, że ich rodacy w Polsce uważają ich za Amerykanów, chociaż jeszcze zdecydowana większość sądzi (1.222), że Polacy w Polsce uważają ich nadal za Polaków. Imigranci są liberalni jeśli chodzi o wybór zawodu przez dziecko czy też wybór partnera w małżeństwie, ale 769 osób odpowiedziało, że chciałoby jednak aby dziecko ich poślubiło Polkę czy Polaka, a 437 decyduje się na kompromis, może być Amerykanin ale *of Polish descent*. Chociaż nie brak uwag i dopisków: Amerykanin pochodzenia polskiego, ale z „naszej" emigracji, albo obydwa kółka *Polish* i *American* zakreślone w kwestionariuszu jednocześnie.

Do 2.049 analizowanych odpowiedzi doszło kilkaset dłuższych i krótszych listów, na wszystkie starałam się osobiście odpowiedzieć. Część wybranych listów tłumaczę i analizuję osobno. Praca jest dopiero zaczęta, podane cyfry to tylko część pierwszych podstawowych danych statystycznych, z których zestawienia dopiero zaczną powstawać tablice i będą wyciągane wnioski.

Niebywała, spontaniczna odpowiedź polskiej emigracji w Ameryce, współpraca prasy, radia, telewizji polskiej, organizacji polskich i polonijnych, a przede wszystkim entuzjastyczna pomoc wielu ludzi w różnych zakątkach Ameryki z którymi wymieniałam listy jak z dawno znanymi przyjaciółmi i którzy własnoręcznie rozdawali, zbierali kwestionariusze, adresowali koperty i nalepiali znaczki, ażeby pomóc zrobić „naszą pracę", jest przedmiotem nieustannego zdumienia moich amerykańskich profesorów i kolegów. Cenzus objął nie tylko te dwa tysiące osób, ale ponieważ rodziny, które odpowiedziały na ankietę mają przeszło 3.000 dzieci, dane statystyczne objęły 5.000 Polaków w Ameryce. Na całą liczbę 140.000 imigrantów polskich powojennych (aż do chwili obecnej) jest to stosunkowo duża cyfra. To prawda, że jest to tzw. *self-selective sample*, ale jest to *sample* wystarczający, aby można było powiedzieć, że 1.625-ciu polskich imigrantów w Ameryce czuje się przede wszystkim Polakami, prawie 92 % odpowiadających nigdy nie zgłaszało się po zasiłki społeczne, a 47½ % przywiozło do Stanów gotowe wykształcenie uniwersyteckie. Przeszło 50 % pracuje w przemyśle, 11 % w wolnych zawodach, przeszło 8 % w szkolnictwie, a tylko 6 % to niewykwalifikowani robotnicy, 14 % to grupa wykwalifikowanych techników, a 16 % to ludzie na wysokich stanowiskach administracyjnych albo zawodowych, tworzący *upper middle class*.

Danuta MOSTWIN

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC"

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT" — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI" — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU" — Za $ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Książki

« Dzieje przemysłu » Al. Bocheńskiego

Dla zrozumienia zaskakującej nas od dziesięcioleci świeżości myślenia Aleksandra Bocheńskiego potrzebny jest klucz. Mnie osobiście wydaje się, że takim kluczem jest arystokratyzm. Nie mam na myśli pochodzenia i przynależności do grupy społecznej, przez Bocheńskiego zresztą ostro krytykowanej, ale pewną strukturę psychiczną, odporną zarówno na świadome jak i żywiołowe działanie procesów unifikacyjnych. Całe życie, cała jego działalność są przeżywaniem problemów Polski i narodu polskiego. Ale mimo stałego zespolenia uczuciowego, Bocheński nigdy nie zespalał się intelektualnie, jego myślenie szło drogami samodzielnymi, odrzucało stereotypy myślenia, rozmijając się z nimi lub zgoła przeciw nim się formując. W tym tkwi źródło jego sukcesów, szczególnie istotnych w kraju, gdzie nigdy nie brakowało — jak pisał Artur Górski — odwagi rzucenia się na Somosierrę, ale brakowało odwagi samodzielnego i konsekwentnego w tej samodzielności myślenia. Każda nowa książka Bocheńskiego naładowana jest nowymi wnioskami i to nawet w sprawach, zdawałoby się, dawno rozstrzygniętych, zdecydowanych, „historycznych".

Ale w tym chodzeniu własnymi drogami, i częstokroć pod prąd, tkwi również źródło jego niepowodzeń. Stojąc poza szkołami, niezbyt dopasowany i do własnej grupy, nie posiadający nawet własnej „kawiarni", Bocheński jest mało znany i rzadko czytany, niestety również i w środowiskach, które z tytułu swego powołania cenić winny wszelką niezależność umysłową i świeżość myślenia. O konsekwencjach braku *publicity* będę pisał na końcu niniejszej recenzji. Teraz przypomnę tylko, że można zgadzać się lub nie z tezami „Dziejów głupoty w Polsce", ale trudno zaprzeczyć, że jest to nadal jedna z najbardziej inspirujących, zmusza-

1. Bocheński Aleksander: *Wędrówki po dziejach przemysłu polskiego*, cz. II, Warszawa 1969, str. 300.

jących do myślenia lektur ostatniego ćwierćwiecza, że polska myśl polityczna i historiozoficzna byłaby bez tej pracy o wiele uboższa.

Studia nad rozwojem przemysłu polskiego podjął Bocheński przed laty nie w rezultacie specjalnego rozmiłowania w przeszłości już nieistniejącej. Przeciwnie, podjął je z myślą o przyszłości, w przeświadczeniu o konieczności dostarczenia wzorców dla wyznawanych i krzewionych przezeń poglądów pozytywistycznych.

Mała to być obszerna, bo trzytomowa, ale popularna, dla szerokiego kręgu czytelników przeznaczona praca. Po tomie I, obejmującym lata do upadku powstania listopadowego, otrzymaliśmy w ubiegłym roku tom II, poświęcony okresowi do odzyskania niepodległości.

Przyznam szczerze, że od lat nie czytałem tak porywającej w lekturze książki historycznej a przecież historia gospodarcza nie jest tą dziedziną, która by budziła wielkie zainteresowanie. Duża w tym zasługa dobrego pisarstwa, różniącego się pod wieloma względami od tego bezosobowego języka, który miał być wykładnikiem naukowości, a do którego, niestety, jesteśmy przyzwyczajeni.

Nie czując się jednak powołanym do omawiania strony literackiej, chciałem zatrzymać się wyłącznie nad tezami autora. Otóż Bocheński podaje w wątpliwość szereg panujących, uświęconych już tez z dziedziny historii gospodarczej i społecznej, bądź też nie dokonując rewizji bezpośrednio, samym zestawieniem materiału kwestionuje inne. Nie wnikając w sprawy drobniejsze, lub mające znaczenie specjalistyczne, przedstawię niektóre wnioski autora w sprawach ogólnych, względnie wnioski moje, wynikające z lektury:

1) Historycy gospodarczy w Polsce przyjęli jako podstawowe kryterium oceny historycznej interes tzw. „mas ludowych", to znaczy w zakresie studiów nad przemysłem przede wszystkim interes klasy robotniczej a w pewnym zakresie i chłopstwa. Ponieważ robotnicy byli wyzyskiwani przez przemysłowców i ich plenipotentów, ponieważ ich (robotników) interesy jako całości były przeciwstawne — zgodnie z marksizmem — interesom kapitalistów, przeto duża część historyków stworzyła sobie kryterium pochodne: wszystko to co było przeciwko kapitalistom zasługuje na uznanie. Bocheński istnienie takiej dyrektywy metodologicznej udowadnia na przykładzie bardzo dużej ilości książek, które wyszły spod pióra licznych autorów, często, niestety, legitymujących się najwyższą tytulaturą naukową.

Bocheński, choć zdecydowanie opowiada się za interesami klasy robotniczej, socjalizmem, likwidacją wyzysku itd., stwierdza, że powyższe kryterium pozbawione jest jakiegokolwiek życiowego i naukowego sensu. Istnieją poważne regiony, w których interesy zarówno kapitalistów jak i robotników są wspólne. Takim regionem jest przede wszystkim rozwój gospodarczy. Kapitalista, zakładający przedsiębiorstwo przemysłowe, działał nie tylko w swoim własnym interesie, choć ten miał głównie (choć nie zawsze) na uwadze. Działał również w interesie robotników, bo dostarczał im zatrudnienia. Działał również w interesie ludności wiejskiej, zwłaszcza tej najbiedniejszej, pozbawionej źródeł egzystencji. Bo jakie złe by nie były warunki w fabrykach, zawsze były one lepsze niż wegetacja wiejska. Ciekawe, że podobne wnioski wysnuł w swoim czasie pisarz-robotnik, Lucjan Rudnicki.

Dla przedstawienia rozumowania autora posłużę się fragmentem, w którym Bocheński analizuje metodę badawczą prof. dr. Ireny Pietrzak-Pawłowskiej:

„Co jest rewoltujące u Pietrzak-Pawłowskiej, to zupełny brak jasnej hierarchii szkodliwości lub pożytku dla kraju opisywanych zjawisk. Na przykład, gdy jest cło na węgiel, to oburza się autorka, iż: 'W cieniu cieplarnianych warunków protekcyjnych kwitły zyski wielkiego kapitału w Zagłębiu Dąbrowskim'. Gdy natomiast koleje żelazne 'wytargowały' zawieszenie cła, to rozpacza znowu, bo otwarto 'niemieckim monopolom węglowym szerokie drogi penetracji na rynek Królestwa Polskiego'. Śledząc to nieustanne miotanie się na wszystkich i na wszystko czytelnikowi nasuwa się przemożne przekonanie, że cały przemysł polski był jedną wielką klęską narodową i lepiej byłoby, żeby kraj pokrywała rejmontowska wieś, pełna słowików, bzu i licznych biednych chłopów. Jest to zresztą wrażenie, które dawniej szerzyła cała nasza literatura a potem cała nasza historia gospodarcza z epoki kultu jednostki" *(op. cit.* str. 233).

Autor sądzi, i niesposób odmówić mu w tym racji, że w negatywnym stosunku do kapitalistycznej industrializacji złączyło się prymitywne pojmowanie marksizmu z postfeudalną mentalnością zubożałej szlachty, przejętą przez znaczną część kształtującej się inteligencji.

2) Wiadomo, jaką rolę w tym, co nazywa się marksizmem odgrywała (a w Związku Sowieckim odgrywa po dzień dzisiejszy) tak zwana „periodyzacja dziejów". Otóż w ramach „periodyzacji" dziejów Polski ustalono, trudno już teraz dociec, kto tego dokonał, że do połowy XVIII wieku mieliśmy w Polsce do czynienia z feudalizmem, później przez lat sto z okresem przejściowym, ale od momentu uwłaszczenia chłopów po powstaniu styczniowym już zdecydowanie z kapitalizmem. Ponoć Kongresówka, dzięki carskiemu protekcjonizmowi i wielkim rynkom rosyjskim rozwijała się tak wspaniale, że tylko brak rozstrzygnięcia kwestii własności chłopskiej uniemożliwiał zaliczenie jej do krajów kapitalistycznych. Natomiast po uwłaszczeniu, kapitalizm począł rozwijać się wręcz burzliwie. W tym skrócie rozumowania nie dokonuję, proszę wierzyć, żadnej prymitywizacji i wywód ten mogę wesprzeć obfitą bibliografią. Tak jak ponoć przynależność do Rosji sprzyjała rozwojowi, tak samo przynależność do zaboru pruskiego lub austriackiego hamowała rozwój, którego nawet uwłaszczenie nie mogło przełamać...

W przytoczonym rozumowaniu było dużo zamierzonego krzewienia rusofilstwa, dużo pragmatyzmu. W podtekście tezy tkwiło, że jeśli polskiej gospodarce więź z Rosją wychodziła na korzyść dawniej, będzie korzystna również i obecnie. Było również w tym

dużo dogmatycznego aprioryzmu, wtłaczania polskiej rzeczywistości historycznej w madejowe łoże „leninizmu": jeśli Lenin „udowodnił", że w Rosji w II połowie XIX wieku panował kapitalizm, to tym samym panował on w bardziej przemysłowo i kulturalnie rozwiniętej Kongresówce[2].

Stalin umarł, „periodyzacje" z tego okresu nabrały nawet trochę humorystycznego zabarwienia, ale teza, stworzona przez profesorów pokutuje nadal. Biedni studenci historii nie mogą się po dzień dzisiejszy uporać z problemem, dlaczego na jednym roku studiów Kongresówka wspaniale się rozwijała, natomiast u progu następnego roku studiów okazuje się, że odbudowana, niepodległa Rzeczpospolita jest wręcz przeraźliwie zacofana i biedna i to mimo odzyskania części wysokouprzemysłowionego Górnego Śląska.

Bocheński też skłonny jest wysoko stawiać korzyści, płynące z więzi z rynkami rosyjskimi, nie dostrzega ujemnych konsekwencji przynależności do państwa zacofanego itd. Mimo to zgromadzony przezeń materiał świadczy, że nie tylko przed uwłaszczeniem, ale i po nim niesposób mówić o kapitalizmie, przynajmniej w zachodnioeuropejskim pojęciu, że przynależność do Rosji wcale nie tworzyła wspaniałych warunków ani dla przemysłu ani dla kapitalizmu. W dalszym ciągu rozwój obu dziedzin był w małym stopniu konsekwencją automatyzmu potrzeb rynkowych. Ciągle entuzjazm, społecznikostwo typu Steinkellera i Kronenberga odgrywały zbyt dużą rolę a kalkulacja ekonomiczna, zabezpieczenie kapitałowe — zbyt małą.

To są dwa podstawowe problemy, ujęcie których decyduje o wartości naukowej II tomu „Wędrówek".

Jest jeszcze problem trzeci, wykraczający poza ramy historii gospodarczej i który winien doczekać się odrębnego omówienia. Problem ten, przewija się przez całą książkę i dałby się określić jednym terminem: Aleksander margrabia Wielopolski. W tym nazwisku splata się węzeł centralnych problemów nie tylko przeszłości ale i teraźniejszości, bo przecież linia polityczna Polski Ludowej w *najlepszym swym wariancie* (znamy przecież tej polityki warianty o wiele gorsze) jest lub byłaby kontynuacją Wielopolskiego. Ale PZPR i Gomułka wstydzą się swego antenata, chcą być koniecznie kontynuacją romantyków, powstańców, rewolucjonistów (z wyłączeniem Piłsudskiego i Legionów). To jedna z aktualnych antynomii ideologicznych Polski Ludowej. Bocheński, zgodnie ze swą linią rozumowania, wytyczoną jeszcze w „Dziejach głupoty w Polsce" bierze w obronę zarówno margrabiego jak i jego linię polityczną atakując pragmatyczną stronę powstania listopadowego i styczniowego. Problemy nie łatwe, w których tak niespostrzeżenie nawet można wejść na tory rozumowania stereotypowego. Pamiętam, jak próbował wszcząć sensowną dyskusję na te tematy w 1958 roku na krakowskim zjeździe historyków wielki uczony, Henryk Wereszycki, lecz został zakrzyczany przez ludzi równie stereotypowych jak i wymownych. A jednocześnie każde pokolenie młodych Polaków, wchodzące w życie, znajduje się w obliczu konieczności ponownego przemyślenia tych zagadnień od podstaw. Może *Kultura* spróbowałaby taką dyskusję na nowo zainicjować?

2. Jeśli o tym już mowa, trzeba dodać, że periodyzacja ta przez kilka lat spełniała jeszcze jedną rolę: służyła zacieraniu znaczenia roli jaką odegrały zarówno rozbiory jak i odzyskanie niepodległości. W tym duchu został nawet „ustawiony" początkowo I tom „Historii Polski" Instytutu Historii PAN. Świat naukowy dość zdecydowanie konstrukcję tę odrzucił.

I na tym można by omówienie książki zakończyć. Trafiają się jednak sytuacje, w których sprawy skądinąd drugorzędne nabierają specyficznego znaczenia. Idzie mi o ujęcie problemu żydowskiego. Podczas rozmaitych spotkań, narad i dyskusji historyków w Polsce nieodmiennie postuluje się konieczność uwzględniania problematyki żydowskiej w badaniach i syntezach. Nie można więc powiedzieć, że problematyka żydowska nie napotyka na zrozumienie. Ale rezultaty nadal są wątłe. Składają się na to zarówno trudności językowe, czyli brak historyków władających językiem żydowskim i hebrajskim, oraz trudności metodologiczne: Kto jest Żydem, a kto Polakiem jest niekiedy problemem nader trudnym do rozstrzygnięcia. Przypomina się dowcip sprzed paru lat: jaka jest różnica między Arturem Rubinsteinem a (powszechnie nielubianym) wiceministrem Rubinsteinem? Otóż ta, że pierwszy jest wielkim synem narodu polskiego, a drugi paskudnym Żydem. Ten dowcip doskonale ilustruje zarówno trudności klasyfikacyjne jak i uczuciowe implikacje, dość zresztą wielostronne.

Bocheński, wywodząc się intelektualnie z wykształconej na Michale Bobrzyńskim grupy konserwatywnej, od lat był i pozostaje zwolennikiem „narodu otwartego", zwłaszcza w stosunku do Żydów. Rolę Żydów w rozwoju gospodarczym Polski ocenia wysoko, co poprzez krytykę gnuśności gospodarczej szlachty nabiera szczególnego wyrazu. Bez polskiej z przeświadczenia lub z natury działalności gospodarczej, lecz żydowskiej z pochodzenia burżuazji, ekonomika polska byłaby o wiele bardziej wątła. Kilka zdań tej książki, napisanej kilka lat przed wydrukowaniem, nabrało szczególnego wyrazu. Pisząc o emigrowaniu wielu utalentowanych finansistów żydowskich z Kongresówki, Bocheński konkluduje: „Jestem pewien, że nie uczyniono nic, aby zatrzymać (w Polsce — J.L.) Laskich i Frenklów, a nawet lękam się bardzo, że uczyniono moc idiotycznych rzeczy, aby się ich pozbyć" (*op. cit.* str. 93). Tylko sytuacja sprawiła, że potępienie to tak aktualnie brzmi w naszych uszach![3].

Józef LEWANDOWSKI

3. Przy tej okazji czuję się w obowiązku podać do wiadomości publicznej następującą sprawę:

W 1968 roku, w okresie największego natężenia kampanii antysemickiej w Polsce, działając w najsłuszniejszej trosce o los Żydów i żydowskiego pochodzenia Polaków, inż. Simon Wiesenthal opublikował listę osób odpowiedzialnych w pierwszym rzędzie za tę kampanię. Wśród napiętnowanych w jakiś sposób znalazł się i Aleksander Bocheński, rzekomo aktywny antyse-

Nowości prozy amerykańskiej

Amerykański rynek wydawniczy zalewany jest ogromną ilością książek wydawanych w tym kraju. Wśród pozycji marnych, albo nieraz bardzo marnych, nie trudno jest przegapić coś naprawdę wartościowego. By uniknąć podobnych błędów krytyka amerykańska bierze udział w selekcji bieżącej produkcji wydawniczej za pomocą całego szeregu metod. Układane są listy *best-seller'*ów, istnieje popularny klub najlepszej książki miesiąca, szanujące się pisma codzienne o dużym nakładzie, wydają w niedzielę specjalny dodatek literacki, a znakomity *New York Times Book Review* zatrudnia jako recenzentów nazwiska ogólnie szanowane. Do tego wszystkiego dodać należy zwyczaj obdarzania nagrodami najlepszych pozycji książkowych, przy czym jedną z najbardziej znanych jest National Book Award. Ostatnio tę właśnie cenną nagrodę uzyskała Joyce Carol Oates, młoda amerykańska prozaiczka, autorka kilku dobrych powieści i tomu znakomitych opowiadań. W bieżącym roku National Book Award, przyznano jej za grubą, nieco posępną w kolorycie, powieść pod tytułem „Them". Jest to rodzaj rodzinnej sagi (gatunek bardzo popularny w Stanach), która zaczyna się na krótko przed drugą wojną światową, a kończy w dniu dzisiejszym. Bohaterkami są kobiety, matka a potem córka, obydwie ze *slums'*ów, obydwie próbujące się z nich wydostać. Tłem akcji jest nędza, jej odcienie, psychologicznym *leit-motiv'*em samotność w rodzinie.

Bohaterki są zdolne głównie do nienawiści i odrzucania. Symboliczny awans społeczny dokonuje się, gdy młoda Lorette, wcześnie doświadczona przez dobrowolnie uprawianą prostytucję i nieco otępiała po biciu jaki jej sprawia purytański i brutalny ojczym, wychodzi za mąż za szlachetnego i niemrawego wykładowcę z *high school.*

Książkę czyta się ciężko, a to co wydawało się największym osiągnięciem pisarskim Oastes, czyli jej mistrzowskie opanowanie *slang'*u współczesnej młodzieży, tego niemal kodu, który potrafiła przenieść do fikcji literackiej tak by był prawdziwy i odczytywalny, nie znajduje tutaj zastosowania. Najciekawsze jest wyjaśnienie autorki dotyczące powstania książki. Otóż wykładając literaturę amerykańską na jednym z *college'*ów zaczęła otrzymywać intymną i bardzo osobistą korespondencję od jednej z byłych słuchaczek, dziewczyny skromnego pochodzenia. Listy te, pisane nieskładnym językiem, pełne naiwnych refleksji i autentycznego głodu wiedzy, odsłaniające brutalność dzieciństwa będącego udziałem większości biednych Amerykanów, stały się impulsem dla autorki. „Them" jest sagą o nędzy, ciężkim pięciu w górę, samotności i nienawiści. Na pewno nie jest to książka, którą można by polecić na wakacje, w zupełnym przeciwieństwie do „Travel with my aunt" Grahama Greene'a. Greene jest na rynku amerykańskim bardzo popularny, a jego ostatnia powieść utrzymuje się na liście *best-seller'*ów już ponad trzydzieści tygodni.

mita od czasów przedwojennych, czego świadectwem m.in. miała być książka „Dzieje głupoty w Polsce".

Jako historyk, który z racji badań swych śledził pisarstwo Bocheńskiego od jego zarania, po znalezieniu się na emigracji uznałem za konieczne zwrócić uwagę p. Wisenthala na popełniony w tym wypadku błąd.

Z satysfakcją przeczytałem odpowiedź p. Wiesenthala, wycofującego się z zarzutów i stwierdzającego, że został wprowadzony w błąd przez kogoś, kto „prawdopodobnie jakieś osobiste porachunki wyrównał".

„Travel with my aunt" są dowcipną i lekko napisaną historią o przygodach typowego angielskiego urzędnika bankowego, który z okazji rodzinnego pogrzebu styka się z od lat niewidzianą, niebanalną i kontrowersyjną ciotką. Jego życie ulega od tej pory całkowitej przemianie. Ciocia ma ponad siedemdziesiątkę, aktualnego kochanka Murzyna, zatrudnionego w charakterze lokaja i szalenie o ciocię zazdrosnego, licznych dawnych adoratorów rozsianych po Europie, i mocno rozwinięte pragnienie rozrywki w połączeniu z pogardą do monotonnego życia. Kiedy nieskazitelny uprzednio urzędnik bankowy przekonuje się, że w pielęgnowanym przez siebie starannie ogródku zakopał nie prochy babki, ale podrzuconą mu w urnie kokainę i kiedy policja, z którą nie miał kontaktu przez całe życie, zaczyna mu deptać po piętach, decyduje się na akt niesłychanej odwagi, a mianowicie na wspólną podróż z nieodpowiedzialną ciotką.

Rozrywki cioci są skomplikowane, przemyca się narkotyki i handluje się bronią, a charakter i upodobania widać zaraźliwe, bo pod koniec podróży bohater osiada w jednym z malowniczych i niezbyt cywilizowanych południowoamerykańskich krajów, i decyduje się na ożenek z czternastoletnią miejscową pięknością, córką naczelnika poczty.

Ciocia wydaje się za amanta z lat młodości, tak że *happy-end* jest raczej familijny. Podskórną pointą są oczywiście drwiny ze schematycznych życiorysów, szablonowej moralności i niedopowiedziana rada, że na zmianę nudnego życia nigdy nie jest za późno.

W duchu trochę innej humorystyki utrzymana jest powieść Jimmy Breslina „The gang that couldn't schoot straight". Środowiskiem w którym toczy się akcja jest nowojorska mafia, a fabuła kręci się wokół usiłowań małego i trochę niezręcznego gangstera, by przechwycić władzę od potężnego papy, porośniętego już mocno w piórka. Postacie są autentyczne, obserwacje z życia nowojorskiej mafii stuprocentowo prawdziwe, zapewne dlatego że Jimmy Breslin jest specjalistą od podziemia, a szczególnie od podziemia nowojorskiego wywodzącego się z Włoch. Połączenie włoskiej giętkości wobec litery prawa z amerykańską bezwzględnością porachunków daje znakomite gangsterskie efekty. Mor-

derstw jest w książce sporo, odbywają się nadzwyczaj sprawnie, a sceny w kaplicy pogrzebowej, kiedy rywalizujące ze sobą gangi spełniają uroczyście wymogi pogrzebowego *savoir-vivre'u*, należą do nieodparcie komicznych. Książka nie ma wielkich aspiracji literackich, ale napisana jest z dużą znajomością rzeczy i cieszy się wielkim powodzeniem.

Pozycją, która prawdopodobnie nigdy nie znajdzie się na liście *best-seller'ów*, ze względu na pewną ekskluzywność tematu, jest „Bech, A Book" Johna Updike'a. Updike jest jednym z nielicznym amerykańskich stylistów, typowym prozaikiem-poetą, a jego najnowsza książka ukazuje wszystkie możliwości jego talentu. Siedem opowiadań połączonych aneksem i żartobliwą biografią bohatera, Becha, jest rodzajem natchnionej parodii. Bech podróżuje jako ambasador kulturalny własnego rządu po drugiej, wrogiej połowie świata (Rosja, Bułgaria, Rumunia), wygłasza przemówienia na uniwersytetach, próbuje narkotyków podczas wakacji spędzanych z kochanką. Niektóre z tych opowiadań były już drukowane, a nawet przekładane, jak chociażby znana w Polsce „Bułgarska poetka". Styl Updike'a jest czysty, chłodny, jego bohater jest mądry, rozczarowany, jego spotkania z życiem są spotkaniami z nową formą rozczarowań, z wyrzekaniem się złudzeń. Rozczarowania są ironiczne, bo życie jest ironiczne, przygody są ograniczone, bo każda biografia jest z konieczności ograniczona. Updike ma w prozie amerykańskiej pozycję zupełnie indywidualną, a jego bohater przeprowadzając analizę własnych słabości, wytrąca jednocześnie broń z ręki przyszłym krytykom. Znać siebie, to dużo dla każdego człowieka. Znać siebie, to bardzo dużo dla pisarza. To ironiczne pocieszenie Updike'a wydaje się samo w sobie zamykać krąg jego wielbicieli. Będąc znakomitym pisarzem, nie jest po prostu pisarzem dla wszystkich, i na szczęście nie stara się nim być.

Pozycją, nie będącą w czystym tego słowa znaczeniu fikcją literacką, jest zbeletryzowany tom reportaży z kampanii prezydenckiej Nixona, zatytułowany „The selling of the president".

Autor, Joe Mc Ginness, brał udział jako reporter we wszystkich etapach kampanii prezydenckiej Nixona. Napisaną przez niego książkę czyta się z zapartym tchem i bardzo mieszanymi uczuciami. Jest to jakby reportaż z kreowania człowieka, z kreowania osobistości, z tym że proces ten dotyczy kogoś, kto kandyduje na najpoważniejsze stanowisko w państwie. Maszyneria *advertising company* jest tak precyzyjna, jej działanie tak dokładnie obliczone pod kątem otrzymania pożądanych efektów, że wydaje się, iż cokowiek by w te tryby wrzucić, nieporęcznego, nieskrystalizowanego, niejasnego, wyjdzie inne, lśniące blaskiem zamierzonym przez ekspertów. Wbrew pozorom nie Richard Nixon jest tutaj postacią centralną, chociaż wokół niego przewijają się tłumy specjalistów i nim tylko zajmują. Najbardziej pasjonujące postacie to eksperci. Henry Trevylyan, *top adviser* z michigańskiej agencji, to typ człowieka który, jak sam mówi, zamieniłby

pudełko zapałek w bohatera. Nie jest to nawet cynik, tylko wąsko nakierowany specjalista. Jego stosunek do Nixona jest stosunkiem kreatora do produktu. Boleje nad jego wadami (brakiem osobowości, brakiem wdzięku, pewną topornością) nie dlatego by dotyczyły go one osobiście, ale dlatego, że utrudniają mu sprzedaż produktu, każą dokładnie zastanawiać się nad atrakcyjnym opakowaniem. Program polityczny Nixona interesuje go wyłącznie w kontekście efektowności sloganów. Podobny stosunek jest udziałem innych ekspertów. Stosunki między ekipą telewizyjnych specjalistów a Nixonem układają się źle. Po porażce z Kennedym, Nixon uświadomił sobie potęgę telewizji, potęgę maszynerii która tworzy masowy obraz i dostarcza go bezpośrednio do domu wyborcy, oddał się w ręce ekspertów, ale zrobił to *contre cœur*, upokorzony, że będą nim sterować. Jak wynika z zapisków Mac Ginnessa, prasę z kampanii usunięto niemal całkowicie. To co mogło być nagrane na *recording* było gwarantowane i nikt nie chciał brać na siebie ryzyka spotkań dziennikarskich, które nie poddawały się stuprocentowej reżyserce. Tak zwane spotkania z wyborcami były przygotowane do ostatniego szczegółu, włącznie z procentowym wyliczeniem jakie mniejszości narodowe powinny brać w nich udział. Są w tej książce momenty komiczne jak np. kiedy w całym Chicago nie można znaleźć pronixonowskiego Murzyna, albo kiedy pani Pat Nixon, zachwycona postępami kampanii, zapomina o otaczających ją kamerach i zaczyna sama sobie bić brawo. Chociaż przez książkę przewijają się dziesiątki postaci żadna z nich nie wypowiada się na tematy polityczne, ani nie próbuje oceniać Nixona inaczej niż przez pryzmat *publicity*. Nie jest to środowisko hippisów ani radykalnych studentów, ale środowisko zawodowców od reklamy. Charakterystyczny jest *happy end*, kiedy zebrani dowiadują się o wynikach wyborów. Obie strony są szczęśliwe i obie strony rozchodzą się w całkowitej obojętności, względem siebie.

Joe Mc Ginness wykazał dużą dojrzałość nie próbując wykroczyć poza ramy reportażu. Za to że Nixon wypadł bezbarwnie i nieatrakcyjnie na tle ludzi wychodzących ze skóry, by uatrakcyjnić jego *image*, nie można go winić. Pójście drogą taniej gloryfikacji obecnego prezydenta byłoby na pewno łatwiejsze, niż zdanie obiektywnej relacji z tego co działo się wówczas za kulisami maszyny wyborczej. Z kręgów zbliżonych do Białego Domu padły już głosy, oceniające książkę w sposób daleki od zachwytu, ale dla czytelnika możność wglądu w kulisy politycznego cyrku jest szansą nie do przegapienia.

Jolanta DWORZECKA

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

F i l m

180. O ZBIGNIEWIE CYBULSKIM mówią i piszą: Jerzy Afanasjew, Jerzy Andrzejewski, Sylwester Chęciński, Wiesława Czapińska, Grigorij Czuchraj, Jörn Donner, Bogumił Drozdowski, Jacek Fedorowicz, Wojciech Has, Gustaw Holoubek, Zygm. Huebner, Wojc. Jaruzelski, Zygm. Kałużyński, Bogumił Kobiela, Tad. Konwicki, Kaz. Kutz, Stan. Lenartowicz, Tad. Łomnicki, Zdzisław Maklakiewicz, Marcel Martin, Janusz Morgenstern, Adam Pawlikowski, Jan Zb. Słojewski, Aleks. Ścibor-Rylski, Andrzej Wajda i Lucyna Winnicka (Wprowadzenie Krzysztof Teodor Toeplitz. Materiały zebrał i oprac. Włodzimierz Bielicki. Biofilmografia: Leszek Armatys. Wywiady przeprowadził Andrzej Markowski).

Warszawa, 1969, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, str. 172, ilustr.

Masowy, starannie zredagowany i zilustrowany hołd pamięci wielkiego aktora. Od powtórzeń i zazębień wspomnień Polaków odcina się brutalne i dosadne wspomnienie cudzoziemca Jörna Donnera. Czyta się je — jakby dotyczyło nie tylko Cybulskiego ale i Hłaski.

Szkice o literaturze angielskiej

181. CHWALEWIK, Witold: *Z literatury angielskiej.* Studia i wrażenia. Warszawa, 1969, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 424 (4).

Przedruki esejów i recenzyj dotyczących Szekspira, Conrada, Wellsa, Kiplinga, Eliota, Laurence Sterne'a, Fieldinga i Chaucera (w dosyć kapryśnej kolejności). Na plan pierwszy wysuwają się jednak istotnie studia nad Szekspirem i ciekawe spostrzeżenia autora o możliwości wpływu legendy o Popielu (w wersji Kromera znanej w Anglii z rynkowych adaptacyj), o śladach znajomości „De optimo senatore" Goślickiego u Szekspira itp. Z rzeczowymi wywodami na temat poloniców u Szekspira kłóci się ostra krytyka szkiców szekspirowskich Jana Kotta podjęta ze stanowiska mędrca i szkiełka — i przekładów Sity, których walorów artystycznych prof. Chwalewik zdecydowanie nie dostrzega.

Literatura piękna (poezja)

182. GOMULICKI, Juliusz Wiktor, ed.: *Cztery wieki poezji o Warszawie.* Wybrał oraz wstępem i przypisami opatrzył Juliusz W. Gomulicki. Tekst i bibliografię opracował Andrzej Biernacki. Opracowanie graficzne Jerzy Jaworowski. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 361 (1).

Doskonała antologia wierszy o Warszawie; najobszerniejsza z dotychczas ogłoszonych; sięgająca po mało znane teksty zapomnianych autorów — a wśród współczesnych uwzględniająca w ramach możliwości pisarzy zazwyczaj pomijanych (np. Stanisława Balińskiego, Jana Lechonia, Zbigniewa Jasińskiego, Kazimierza Wierzyńskiego). W przypisach piękne przypomnienie bohaterskiej postaci prez. Stefana Starzyńskiego (przy „Pieśni o Stefanie Starzyńskim" Lechonia).

Literatura piękna (proza powieściowa)

183. DĄBROWSKA, Maria: *Przygody człowieka myślącego.* Przedmowa: Anna Kowalska. Komentarz i przygotowanie tekstu z rękopisów Ewa Korzeniewska. Warszawa, 1970, Czytelnik, str. 906 (2), front. port.

Z tą książką nie można się pogodzić, nie można jej akceptować, — i trudno uwierzyć, że napisała ją autorka, którą w emigracyjnym *wishful thinking* odczytywaliśmy drastycznie inaczej! „Przygody człowieka myślącego" są w tak wysokim stopniu nasycone autobiografią, stopień identyfikacji z postaciami powieściowymi jest tak oczywisty i wysoki, że pozwala to na porównanie autorki z bohaterami „Zniewolonego umysłu". Dwa przykłady interpretacji wydarzeń historycznych uzasadnić mogą, jak sądzę, to porównanie. 1) Janek, legionista, uczestnik walk nad Styrem, więzień obozu w Szczypiornie, ranny w 1920 w kampanii bolszewickiej — w końcu września zapisuje w „raptularzyku" taką diagnozę „nowej, niepodległej rzeczywistości": „Choć nasze prawo do niepodległości proklamowały dwa potężne państwa — Rosja Sowiecka i Stany Zjednoczone — to Polska nie ma przyjaciół ani znaczenia w świecie". Tenże Janek „mało co wiedział i o Lwowie, i o naszej wiosennej wyprawie na Kijów, był wtedy jeszcze w Podchorążówce, gdzie nie bawiono się w politykę, a tylko pilnowano zapiętości guzików" (str. 153). 2) We wrześniu 1944 „generał, wódz naczelny klęski", „człowiek niepozornej postaci, pozbawionej wyrazu, gładko wygolonej, ale z jednej strony opuchniętej twarzy, i zaspanego spojrzenia" „ze łzami w oczach wyglądał ratunku od nienawistnej sobie Czerwonej Armii". „Mały człowiek, któremu powierzono los narodu i stolicy" miał według Dąbrowskiej „nie więcej pojęcia, jak pokierować wypadkami", niż 13-letni Michaś Wochelski albo dozorca kamienicy, Wiśniaty.

Powieść ukazała się w wersji nieautoryzowanej, odtworzonej z rękopisów po śmierci autorki. Byłoby jednak znowu *wishful thinking* posądzanie Korzeniewskiej o „ufryzowanie" tekstu pod dyktando cenzury.

184. KUŚNIEWICZ, Andrzej: *Król Obojga Sycylii.* Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 269 (1).

Bardzo oryginalnie pomyślana powieść-scenariusz-reportaż o świecie w okresie wybuchu I wojny światowej, „Es war einmal...". Książka wybijająca się zdecydowanie na pierwszy plan produkcji powieściowej ostatnich lat. Autor próbował już wcześniej podobnej techniki „W drodze do Koryntu" (1964) i filmowej „Eroice"; tu mamy do czynienia z utworem znacznie dojrzalszym a przy tym zdradzającym ogromną erudycję autora i umiejętne przemyślenie lektury Kafki, Rotha, Wittlina.

Świat klasyczny (zbeletryzowane biografie)

185. BOCHEŃSKI, Jacek: *Nazo poeta.* Warszawa, 1969, Czytelnik, str. 285.

Jest to, oczywiście, zbeletryzowana biografia Owidiusza, poety wygnańca i próba odtworzenia wytoczonego mu procesu. Jest to także powieść nastręczająca wspaniałe możliwości snucia analogii ze współczesnością.

186. KRAWCZUK, Aleksander: *Kleopatra.* Wrocław, 1969, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, str. 258 (2), ilustr.

Relacja historyczna, podsumowująca stan wiadomości o Kleopatrze. Wzorem Graves'a Krawczuk stara się zachować maksimum obiektywizmu, pozostawiając czytelnikowi wyciąganie wniosków z obrazu faktów ukazujących „wielkość ambicji i nikłość środków politycznych".

Historia literatury

187. PODRAZA-KWIATKOWSKA, Maria: *Młodopolskie harmonie i dysonanse.* Warszawa, 1969, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 285.

Tom szkiców poświęconych wnikliwej analizie przeciwstawnych stanowisk zarysowujących się w literaturze młodej Polski. „Jeden element stanowi ideał zgody, jedności, integracji, ideał harmonii zatem, drugi natomiast dezintegracyjny, zawiera wszelkiego rodzaju dysonanse". Autorka analizuje te zjawiska na przykładach twórczości Marii Komornickiej, Antoniego Langego i Miriama, od którego zapożyczyła tytuł tomu.

Pamiętniki i eseje oparte na materiale pamiętnikarskim

188. NATANSON, Wojciech: *Z różą czerwoną przez Paryż.* Kraków, 1970, Wydawnictwo Literackie, str. 293 (3).

Tom szkiców o paryskich przygodach pisarzy polskich od Kochanowskiego do Przybosia. „Róża czerwona" z tytułu książki odnosi się do Słowackiego, który w dniu niedoszłego pojedynku z Ropelewskim kupił na targu przy Madeleine pąk czerwonej róży, aby go „w dobrym lub złym wypadku" posłać Joannie Bobrowej. Lektura interesująca mimo nieco surowego serwowania cytat i anegdot.

189. KOZIKOWSKI, Edward: *Od Prusa do Gojawiczyńskiej.* Warszawa, 1969, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, str. 346.

Dwadzieścia opowieści o pisarzach nieżyjących, z którymi stykał się Kozikowski. Najwartościowsze dotyczą pisarzy mniejszego kalibru np. Macieja Szukiewicza, Remigiusza Kwiatkowskiego, Zdzisława Kleszczyńskiego (autora arcypopularnego ongiś wiersza o ks. Józefie Poniatowskim) i in.

Reportaże z podróży po świecie

190. BUDREWICZ, Olgierd: *Spotkania z Polakami.* Warszawa, 1969, Wydawnictwo Interpress, str. 192 (4), ilustr.

Publikacja propagandowa dla „Polaków za granicą" tzn. zawieszonych między PRL a „krajem osiedlenia" i zezujących w stronę Warszawy. Wśród sylwetek Polaków spotkanych przez autora w czasie paroletniej włóczęgi po obu półkulach najczulej nakreślone przypadły właścicielom biur podróży i współpracownikom centrali handlu zagranicznego „Ciech" i „Animex". Do wyjątków należy ciepło nakreślona sylweta Andrzeja Bobkowskiego z ostatnich miesięcy jego życia.

191. LOVELL, Jerzy: *Podróże Polaków.* Impresje reportażowe. Warszawa, 1969, Czytelnik, str. 198 (2).

Reportaże z klasycznego kręgu wypadów obywateli PRL do miast i krajów „turystycznych" za Żelazną Kurtyną. Jedynym wyjątkiem jest króciutka relacja o Sycylii. Wydawcy zachwalają „bogactwo wrażeń i obserwacyj"; jest ich istotnie wiele — ale dziwnie przypominają dreptanie w kółko po dobrze wydeptanych szlakach. Autor zdaje sobie z tego sprawę i w tym kryje się pewna wartość jego książki.

Historia (I wojna światowa)

192. WRZOSEK, Mieczysław: *Polskie korpusy wojskowe w Rosji w latach 1917-1918.* Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, str. 365.

Książka omawia sytuację Polaków w Rosji po upadku caratu i koncepcje polityczne stojące u podstaw tworzenia formacji wojskowych. Główny zrąb książki rozpada się na rozdziały: „Formowanie I Korpusu w r. 1917", „Formowanie wojska polskiego w Rosji 7. XI. 1917 - 27. II. 1918", „Korpus polski na Białorusi w 1918 r." i „Polskie formacje wojskowe na Ukrainie w pierwszej połowie 1918 r. a państwa centralne". Książka oparta jest o materiały rękopiśmienne pochodzące m.in. z aktów gen. Lucjana Żeligowskiego, Michała Stan. Kossakowskiego, płk. Stan. Laudańskiego, Zygmunta Nagórskiego (w Centr. Arch. Wojskowym), archiwum Jana Steckiego (w Bibl. KUL'u). i in.

193. DERUGA, Aleksy: *Polityka wschodnia Polski wobec ziem Litwy, Białorusi i Ukrainy (1918-1919).* Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, str. 330 (2). (Polska Akademia Nauk, Zakład Historii Stosunków Polsko-Radzieckich).

Autor uważa, iż polityka wschodnia Rzeczypospolitej sprowadzała się w omawianym przez niego okresie do dziejów wojny, której celem było „włączenie do Drugiej Rzeczypospolitej rozległych ziem litewsko-białoruskich i ukraińskich". Wstępne rozdziały książki omawiają programy terytorialne głównych stronnictw politycznych oraz rządów Moraczewskiego i Paderewskiego. Dalsze rozdziały dotyczą Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, sprawy Wilna, IV Dywizji Żeligowskiego, petraktacyj Piłsudskiego z Petlurą itd. Autor korzystał m.in. z materiałów zebranych przez Romana Knolla, Leona Wasilewskiego, Archiwum Paderewskiego, z archiwów MSZ, Dowództwa Armii Hallera, itd.,

Historia (II wojna światowa)

PORWIT, Marian: *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku.* Część I: Plany i ich załamanie się. Warszawa, 1969, Czytelnik, str. 334 (2) + szkice i mapy.

Autor określa „Komentarze" jako „omówienie" kampanii 1939 r. na wzór „gier wojennych" w praktyce pokojowej. Tytuły najważniejszych rozdziałów określają wymownie wnioski autora: Rozdz. V: „Wbrew zasadom sztuki wojennej (Plan operacyjny „Zachód" z 1939 r."; rozdz. VIII: „Bitwa, która mogła odmienić losy kampanii. (Działania Armii „Kraków" i Armii „Karpaty" od 1 do 5 września)"; rozdz. IX: „Bitwa, w której zapomniano o celu walk" (Armia „Modlin" i SGO „Narew" od 1 do 5 września)"; rozdz. XI: „Bitwa wydajna za drogo okupiona (Podwójna bitwa Armii „Pomorze" od 1 do 5 września); rozdz. XII: „Bitwa niewykorzystanych możliwości" (Bitwa Armii „Łódź" etc.).

195. ZABIEŁŁO, Stanisław: *W kręgu historii.* Warszawa, 1970, Instytut Wydawniczy „Pax", str. 217 (3).

Przedruki artykułów ogłoszonych poprzednio w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym, Sprawach Międzynarodowych, Kierunkach* itp. Cz. I pt. „Polska w II wojnie światowej" rozpoczyna się artykułem o Konferencji w Jałcie („uchwały w sprawie Polski były bez wątpienia zwycięstwem polskiego obozu demokratycznego", str. 27), po czym obszerny artykuł pt. „Prolegomena „Burzy" na temat „ewolucji planów powstania w Kraju". Cz. II omawia politykę zagraniczną ZSSR, — trzecia pt. „Z rozmyślań o historii" analizuje m.in. politykę zagraniczną marsz. Piłsudskiego i sprawę wojny prewencyjnej (tu autor powołuje się parokrotnie na Piotra Wandycza). W recenzji książki Micewskiego „W cieniu marsz. Piłsudskiego" Zabiełło uważa, iż autor nie docenił roli Bogusława Miedzińskiego „bezsprzecznie najwybitniejszego przedstawiciela piłsudczyków". Ignacego Matuszewskiego określa jako „bezwzględnie bardzo zdolnego i inteligentnego".

Pamiętniki z okresu okupacji i Powstania Warszawskiego

196. BIAŁOSZEWSKI, Miron: *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego.* (Przedmowa Janusza Wilhelmiego). Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 228.

Wstrząsający opis procesu „opadania cywilizacji", stopniowej redukcji funkcji życiowych do poziomu człowieka jaskiniowego. Wrażenie to wzmaga stylizacja pamiętnika, świadomie czy nieświadomie nasuwająca przypuszczenie, iż autor jest kilkunastoletnim wyrostkiem; ma to posmak nieprzyjemnej dziecinnady, drażniącej po odkryciu, iż autor miał w r. 1944 dwadzieścia dwa lata. Niejasna jest również granica między autentycznymi zapiskami z dnia na dzień a późniejszymi uzupełnieniami i zmianami. Ale — mimo tylu zastrzeżeń — wstrząsający, dobrze napisany obraz koszmaru, zadziwiająco bezpośredni i czytelny, stojący w jaskrawym kontraście do wymyślnie zaszyfrowanych wierszy Białoszewskiego.

197. PRZYBYLSKA, Wanda: *Cząstka mego serca.* Pamiętnik z lat wojny. Wstęp i opracowanie Lesława M. Bartelskiego. Warszawa, 1969, Czytelnik, str. 146 (2).

Wzruszająca relacja o latach okupacji i początku powstania „sierpniowego" (tak nazywa je autorka) wydobyta z pamiętnika czternastoletniej Wandy Przybylskiej, poległej w pobliżu klasztoru SS. Urszulanek 4 września 1944 r. w Warszawie. Pamiętnik ukazał się ostatnio w przekładach na języki włoski, japoński i duński.

Nadesłane nowości wydawnicze

TROŚCIANKO (Wiktor). *Wiek męski.* Powieść. Str. 360. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970; 14 sh.).

WIENIEWSKI (Ignacy). *Kalejdoskop wspomnień.* Przedmowa Wita Tarnawskiego. Str. 160. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970; 8 sh.).

SOLSKI (Wacław). *Psy wśród ludzi.* Str. 160. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970; 8 sh.).

ŁYSEK (Paweł). *Twarde żywobycie Jury Odcesty.* Str. 160. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970; 8 sh.).

KARSOV (Nina) — SZECHTER (Szymon). *Nie kocha się pomników.* Str. 312 i 8 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970; 12 sh.).

MICEWSKI (Andrzej). *Postawy i poglądy.* Z doświadczeń ideowych dwudziestopięciolecia. Str. 192. (Wyd. Biblioteka ODISS, Warszawa, 1970; 40 zł.).

VOISÉ (Waldemar). *Myśl społeczna siedemnastego wieku.* Str. 375 i 5 nlb. (Wyd. P.W.N., Warszawa, 1970; 50 zł.).

RABA (Joel). *Robotnicy śląscy. 1850-1870.* Praca i byt. Str. 208. (Wyd. ODNOWA, Londyn, 1970).

BRODA (J. W.). *Na ruchomej taśmie życia.* Str. 116. (Biblioteczka kieszonkowa (2)., Ottawa, 1970).

Oblaci Polscy 1920-1970. Zarys dziejów prowincji polskiej misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej z okazji 50-lecia istnienia. Opr. Józef Pielorz, OMI. Str. 180. Zbiór ilustracji i dokumentów. Lista ofiarodawców. (Wyd. Dom Generalny, Rzym, 1970).

JANTA (Aleksander). *Schron.* Epilog w jednej odsłonie. Str. 23 i 1 nlb.. (Wyd. TEMATY, 1970).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Chodniki się psują powoli.* Utwór dramatyczny. Wyd. II. Str. 18 i 2 nlb. (Wyd. London, Kanada, 1970).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Mickiewicz a Lermontow.* Str. 5 (Wyd. London, Kanada, 1970 — fotokopia, Odbitka ze „Stolicy", Nr 14/15, 1966).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Los dramaturga* (Lermontow jako dramaturg). Str. 10. (Odbitka z „Dialogu", Nr 10, 1964; London, Kanada, 1970).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Chopin.* Poemat. Wyd. III Fotograficzne London, Kanada 1970).

WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Dewaluacja przeszłości.* Str. 266-280. (Odbitka z TEMATÓW Nr 31-32, N. Jork - Londyn, Jesień - Zima 1969).

La presse clandestine en U.R.S.S. 1960-1970. Présenté et traduit par Michel SLAVINSKY. Str. 252 i 4 nlb. 8 pages illustrations hors texte. (Wyd. Nouvelles Editions Latines, Paris, 1970).

CHYZ (Martha). *Savez-vous, à l'Ouest?* Przekład z ukraińskiego François Perrin. Str. 208 (Wyd. Centre de Psychologie et de Pédagogie. Association Coopérative, Montreal).

VAN STRAATEN (Werenfriend; o. praem.). *Où Dieu pleure.* Str. 256. (Wyd. Une Edition de l'Aide à l'Eglise en détresse, Pays Bas, 1970).

Appels des juifs d'U.R.S.S. Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. Bibliothéque Juive Contemporaine, Paryż, 1970).

Auschwitz selon Varsovie ou chambres à gaz „déjudaïsées". Str. 27 i 1 nlb. (Wyd. Association Indépendante des Anciens Déportés et Internés Juifs de France, Paryż, 1970).

DZIEWANOWSKI (M. K.) *The Russian Revolution.* An Anthology. Str. 222 i 6 nlb. (Wyd. Thomas Y Crowell Co., New York, 1970).

Diplomat in Paris 1936-1939. Memoirs of Juliusz Łukasiewicz Ambassador of Poland. Opracował Wacław JĘDRZEJEWICZ. Str. 408 z Bibliografią i Indeksem. (Wyd. Columbia University Press, Londyn, Lipiec 1970, cena 113 sh.).

California Slavic Studies. Vol. V. Pod redakcją Nicholas V. RIASANOVSKY & Gleb STRUVE. Str. 248. (Wyd. University of California Press, Berkeley-Los Angeles-London, 1970, dol. 7,50).

NIGANATE (L. R.). *The First Slipped By.* Str. 173 i 1 nlb. (Nakładem Autora, Canada, 1969).

BLACKWELL (William L.). *The Industrialization of Russia.* An Historical Perspective. Str. 198 z Bibliografią i Indeksem. (Wyd. Thomas Y. Crowell Co., New York, 1970).

POMPER (Philip). *The Russian Revolutionary Intelligentsia.* Str. 216 z Bibliografią i Indeksem. (Wyd. Thomas Y. Crowell, New York, 1970).

McCONNELL (Allen). *Tsar Alexander I.* Paternalistic Reformer. Str. 232 z Bibliografią i Indeksem. (Wyd. Thomas Y. Crowell, New York, 1970).

RONNEBERGER (Franz). *Southeast Europe in Contemporary International Politics.* Str. 84. (Zeszyt I. East Europe Monographs, pod redakcją Gottholda Rhode i Jerzego Hauptmanna. Wyd. Governmental Research Bureau, Kansas City, Missouri, 1969. Cena zeszytu dol. 2,00).

FULLER (J. F. C. — Major-Gen., C.B., C.B.E., D.S.O.). *The Battle of Warsaw, 1920.* On the occasion of the 50-th Anniversary of the Polish victory over the Bolshevik Army. Str. 40. (Gryf Publ. Londyn).

GÖMÖRI (George). *Herbert and Yevtushenko: On Whose Side of History?* Str. 50-61. (Nadbitka z „Mosaic", Zeszyt 3/1, 1969).

Polnische Stimmen. Eine Dokumen-

tation vom 13. Mai 1969 bis 25. April 1970. Opracował i opatrzył przedmową Andrzej J. CHILECKI. Str. 104. (Wyd. Edition Atlantic Forum, Bonn-Bruxelles-New York, 1970).

USCHAKOW (Aleksander). *Das Erbe Stalins in den deutsch-polnischen Beziehungen.* Stalin's Legacy in German-Polish Relations. Str. 48. (Wyd. Verlag Wissenschaft und Politik, Köln, Odbitka z „Internationales Recht und Diplomatie".

STROBEL (Georg W.). *Parlament und Volksräte in Polen.* Str. 24. Powielacz (Zeszyt 29/70 — Berichte des Bundesinstituts für Ostwissenschaftliche und Internationale Studien, Köln, Czerwiec, 1970).

Handbuch der Kulturgeschichte, pod redakcją Dr. Eugen Thurnhera, *„Die Kultur der Polen"* opracował Karl HARTMANN. Str. 180 in 4°. 250 ilustracji, 3 tabele, Bibliografia i Indeks. (Wyd. „Athenaion" Frankfurt a/M, 1970).

SAWCZENKO (Fedir). *Zaborona Ukrajinstwa* 1876. Harvard Series in Ukrainian Studies. Vol. 14. Str. 414. (Wyd. Wilhelm Fink Verlag, München, 1970).

PIDDUBCHESHEN (Eva). *„... And Bless thine Inheritance".* Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Friends of the Ukrainian Catholic University in Rome, New York, Schenectady, N.Y., 1970).

ONACKYJ (Jewhen). *Po pochyłyj płoszczi.* Zapysky żurnalista i dypłomata. Cz. II. Str. 262. (Wyd. „Dniprowa Chwyla", München, 1969).

OSTROMYRA (Maria). *W doswytniu hodynu.* Powist'. Str. 263. (Wyd. J. Serediak, Buenos Aires, 1969).

KAMIŃSKYJ (Anatol). *Za suczasnu koncepcju ukrajińskoji rewolucji.* Str. 133. (Wyd. „Suczasnist'", München, 1970).

ROMANENCZUK (Bohdan). *Azbukownyk. Encyklopedia Ukraijńskoji Literatury.* Tom I. Str. 472. (Wyd. „Kyiw", Filadelfia, 1969).

HOŁOBOROD'KO (Wasyl). *Łetiucze Wikonce.* (Poezje). Przedmowa Petra Hołubenka. Str. 233 i 9 nlb. (Wyd. Persza Ukrajińska Drukarnia u Francji; Ukrainśke Wydawnyctwo Smołoskyp im. B. Symonenka, Paryż - Baltimore, 1970).

SWERTYUK (Yewhen). *Sobor u rysztowanni.* Przedmowa Marka Antonowycza. Str. 173 i 3 nlb. (Wyd. Persza Ukrajińska Drukarnia u Francji; Ukrajińske Wydawnyctwo Smołoskyp im. B. Symonenka, Paryż-Baltimore, 1970).

STACHIW (Matwij). *Tretia Sowietśka Respublika w Ukrajini.* Str. 244. (Wyd. Naukowe Tow. im. Szewczenka, New York, 1968).

BRODSKIJ (Josif). *Ostanowka w pustynie.* Stichotworenia i poemy. Str. 228. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1970).

Historiska Och Litteraturhistoriska Studier, Zeszyt 45. Str. 247 i 5 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapets i Finland Förlag, Helsinki, 1970).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-6-70
Rektorem Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie został wybrany o. prof. dr Czesław A. Krąpiec. O. Krąpiec wykłada w KUL'u od 1951 r. Od 59 r. był dziekanem Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej. ■ Aby zrealizować plan budownictwa I półrocza w PRL, trzeba zwiększyć dostawy materiałów i poprawić organizację pracy, a tymczasem wskutek niedostatecznych ilości środków transportowych dostawy np. żwiru na budowach spadły o połowę. Na 27 zjednoczeń tylko 8 wykonuje swoje zadania planowe.

19-6-70
Na skutek wypadku samochodowego zmarł w Krakowie 69-letni historyk i publicysta, prof. Konstanty Grzybowski. ■ W dwudziestoletnią rocznicę śmierci Ksawerego Pruszyńskiego w Zw. Literatów Polskich w Warszawie zorganizowano wieczór poświęcony jego pamięci.

24-6-70
Zmarł Eugeniusz B. Szermentowski, literat i dziennikarz.

1-7-70
Zmarł w Lublinie, w wieku lat 68, Konrad Bielski, współtwórca — wraz z J. Czechowiczem — awangardowej grupy poetyckiej. Wielokrotny przewodniczący lubelskiego oddziału Zw. Lit. ■ Zmarł w Krakowie, w 68 roku życia, Kazimierz Podsadecki, znany malarz, w latach dwudziestych grafik i ilustrator awangardowych czasopism literackich, wydawanych przez Peipera, „Zwrotnicy" i „Linii".

4-7-70
Odnaleziono w Polsce nowe fragmenty Dzienników Stefana Żeromskiego. ■ W Warszawie zakończył się IV Krajowy zjazd Kółek Rolniczych. W czasie obrad wytyczono główne kierunki rozwoju polskiego rolnictwa. Z obszernym przemówieniem wystąpił Gomułka. Wskazał na perspektywy w zakresie intensyfikacji rolnictwa (zużycie nawozów w 1975 r. ma wynieść 190-200 kg/ha), jak i wydajności z ha (w końcu przyszłej pięciolatki średnie plony 4 zbóż mają osiągnąć ok. 25 q, w ostatnim czteroleciu wynosiły 20,4 q). Oceniając ubiegłoroczną suszę i wyjątkowo długotrwałą zimę, Władysław Gomułka podkreślił, że skup żywca będzie mniejszy o ok. 40 tys. ton niż w roku ubiegłym; przewiduje się również niższe plony i mniejsze zbiory zbóż, co spowoduje konieczność dodatkowego importu zbóż.

9-7-70
Rząd w Moskwie uznał poetkę rosyjską Natalię Gorbaniewską za chorą umysłowo i polecił jej internowanie w szpitalu „o charakterze specjalnym" aż do nowego zarządzenia. Rozprawa odbyła się bez udziału skazanej, która od grudnia ub. roku przebywa w więzieniu. ■ Parlament czeski pozbawił M. Dubczeka mandatu poselskiego. Jednocześnie parlament skasował trybunały specjalne, powołane do rehabilitacji. Mogą być rozpatrywane jedynie wyroki zapadłe do 1956 r. i jedynie przez sądy wojskowe. ■ Ks. Czesław Domin został mianowany przez Papieża biskupem sufraganem katowickim, ks. Tadeusz Błaszkiewicz biskupem-sufraganem przemyskim, zaś ks. Antoni Adamiuk biskupem sufraganem opolskim. ■ W Płocku zmarł, w 64 roku życia biskup sufragan płocki, Piotr Dudziec. ■ Zmarł w Krakowie, w wieku lat 80, prof. Płoszewski, historyk i edytor, był redaktorem Wydania Na-

rodowego Dzieł Adama Mickiewicza, które ukazało się w latach 1949-1955, oraz krytycznej edycji dzieł Stanisława Wyspiańskiego (1958-1966).

10-7-70
Przedstawiciele Bułgarii, Czechosłowacji, Mongolii, Polski, NRD, Węgier i ZSSR zawarli w Moskwie porozumienie w sprawie utworzenia Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego. Bank ma siedzibę w Moskwie, jego kapitał zakładowy wynosi 1 mld rubli dewizowych. Bank jest upoważniony do nawiązywania stosunków również z instytucjami finansowo-kredytowymi państw kapitalistycznych. Rumunia złożyła oświadczenie, że zbada możliwość udziału w tej lub innej formie w działalności banku.

18-7-70
Nagrody państwowe z dziedziny literatury otrzymali w br. jedynie Jan Dobraczyński i Jarosław Iwaszkiewicz. Te nazwiska są najlepszą charakterystyką polityki kulturalnej PRL. ■ Przygotowuje się Narodowy Spis Powszechny 1970. Ma on na celu zebranie informacji na temat płci, wieku i stanu cywilnego społeczeństwa, jego stanu wykształcenia, uzyskane będą również dane dotyczące ruchów migracyjnych ludności i jej cech społeczno-zawodowych, a także informacje o rodzinach i gospodarstwach domowych, indywidualnych gospodarstwach rolnych, wykazy nieruchomości etc. Prezes St. Urzędu Statyst. p. W. Kawalec obiecuje, że zeznania będą chronione „tajemnicą statystyczną".

19-7-70
Komitet Centralny KPZS postanowił zwołać 24 zjazd partii na marzec 1971 r. Zatwierdzony porządek obrad przewiduje, że na zjeździe wygłoszą referaty Breżniew (sprawozdawczy) i Kosygin (ekonomiczny). Dokonany zostanie również wybór nowych władz partii. ■ Państwowa Komisja Leków zatwierdziła do produkcji środek przeciw chorobie wieńcowej „bicordin". Prace badawcze na tym lekiem, prowadzone przez prof. Stanisława Binieckiego trwały 10 lat, a osiągnięte rezultaty klasyfikują „bicordin" jako środek o stardardzie światowym. ■ *Życie Gospodarcze* donosi: Z szortami męskimi, które teraz się sprzedaje należy na urlopie postępować bardzo delikatnie. Kiedy się zabrudzą trzeba je przez 3 godziny moczyć w wodzie, której temperaturę należy ustabilizować na 20 stopni, a na każdy litr wody wsypać 3 gramy środków piorących. Potem należy je wyprać w temperaturze 40 stopni. Następnie należy urządzić drugie pranie w temp. 80 stopni. Przy pierwszym praniu stężenie środków piorących wynosić powinno 3 gramy na 1 litr, a przy drugim praniu 5 gramów na 1 litr wody. Potem urządzamy szortom płukanie w ciepłej wodzie. Następnie płukanie odbyć się powinno w zimnej wodzie. Prasować szorty należy już nie mokre, ale jeszcze nie suche żelazkiem o temp. 200 stopni C. Po wykonaniu wszystkich tych czynności ściśle według instrukcji dołączonej do szortów — nasz urlop właśnie się kończy. ■ Kiedy szedł u nas film „Ptaki" pokazujący inwazję ptaków na ludzi — warszawskie mieszczuchy mówiły: bzdura! Dowiedziały się o tym ptaki. Setki tysięcy ptaków pokazały co potrafią i zaatakowały osiedle warszawskie Koło — Sowińskiego. Ptaki rzuciły się na mury, zaczęły je dziobać i wkrótce zjadły prawie całe domy. Przerażeni mieszkańcy salwowali się ucieczką. Potem najedzone ptaki odleciały, a przyleciała komisja badać co się stało. Otóż Instytut Techniki Budowlanej zalecił otynkować te domy o elewacjach z gazobetonu płynnymi tapetami z masy celulozowej. Masa ta jest dla ptaszków prawdziwym przysmakiem. Teraz 16 wieżowców trzeba będzie okryć siatką ochronną, na to położy się styroplan, na to tynk. Pragniemy podnieść zasługi Instytutu Techniki Budowlanej, który co prawda nie wymyślił dobrego sposobu na tynkowanie domów z gazobetonu, ale za to rozwiązał problem dokarmiania ptaków, co też ważne. ■ *Polityka* zaś donosi: Precedens. Na ogólnopolskiej giełdzie obuwniczej przedstawiciele handlu zrezygnowali z olbrzymiej oferty wytwórców (4 mln par obuwia), ponieważ obuwie to nie odpowiadało — ich zdaniem — życzeniom klientów. Jest to jeden, ale nie jedyny sygnał, że handel w tym roku w ogóle ma trudności ze sprzedażą wielu wyrobów m.in. konfekcji.

1-8-70
W ciągu lipca UB dokonała szeregu aresztowań w Warszawie, Łodzi, Wrocławiu i Lublinie. Wśród aresztowanych w Lublinie i Warszawie znajdują się księża i studenci KUL'u, m.in. ks. Herbert Czuba, oskarżeni o rozpowszechnianie druków krytykujących władze PRL. ■ W Łodzi i Warszawie aresztowano kilkunastu studentów i pracowników naukowych, m.in. adiunkta chemii na Uniwersytecie Łódzkim Kapuścińskiego. Oskarża się ich również o rozpowszechnianie druków antypaństwowych i wydawanie tajnego biuletynu. Wykryto spisek, którego uczestnicy zamierzali wysadzić pomnik wdzięczności dla ZSSR w Warszawie. Przeprowadzono rewizje i aresztowania w Łodzi wśród oficerów. ■ Dla krajowych posiadaczy dewiz wprowadzono w bankach oprocentowane rachunki walutowe. ■ 1-2 października odbędzie się w Warszawie 11 Międzynarodowy Zjazd Tłumaczy Literatury Polskiej. Przewiduje się udział ok. 100 uczestników. ■ W Białymstoku zakończył się 11 Festiwal Kultury Młodzieży Esperanckiej. Wzięli w nim udział esperantyści z Czechosłowacji, Bułgarii, Holandii i Związku Sowieckiego. ■ W PRL przygotowuje się Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych. Ma się rozpocząć 18. 10. br. w Milcu, podczas ogólnopolskiego przeglądu folklorystycznego „Jarmark pieśni i tańca". ■ W Kazimierzu nad Wisłą powstaje Muzeum Kapel Ludowych, które będzie gromadzić stare instrumenty muzyczne, stroje i wyroby ludowe. ■ W Czechosłowacji kursują potajemnie ulotki, wzywające ludność by 21-go — w drugą rocznicę okupacji — zademonstrowała nie wychodząc z domów po godz. 19.00. ■ Ostatnia powódź w południowej Polsce spowodowała zalanie 90 tys. ha pól uprawnych. Ewakuowano 16 tys. osób. Globalne straty sięgają 4 miliardów złotych. W kilka dni później w województwie krakowskim ogłoszono ponownie alarm powodziowy. ■ W Warszawie zakończyła się piąta tura rozmów politycznych między PRL i NRF. Trzydniowe rozmowy poświęcone były ustaleniu tekstu przyszłego porozumienia. Następna tura rozmów odbędzie się w Bonn w pierwszej połowie września br. ■ Ponowna fala ulewnych deszczów zagroziła nową powodzią. Najtrudniejsza sytuacja była w pow. Nowy Sącz. Według szacunkowych danych Wydz. Rolnictwa WRN w Krakowie, z 80 proc. zalanych pól nie uda się zebrać plonów. Straty w samym rolnictwie w woj. krakowskim wynoszą blisko pół miliarda złotych.

7-8-70
Polska posiada obecnie 560 misjonarzy: w tym 365 księży, 58 braci, 129 sióstr i 8 świeckich pomocników na misjach. W porównaniu z innymi krajami chrześcijańskimi jest to bardzo mało. Np. Holandia ma 9 tys. misjonarzy na 5 mln wiernych. Polscy misjonarze pracują w 44 krajach Azji, Afryki, Oceanii i Ameryki Południowej. Najliczniejsze grupy polskich misjonarzy pracują w Brazylii, Argentynie, Paragwaju; w Afryce: w Zambii, Ugandzie i Tanzanii; w Azji: w Indonezji, Indiach, Japonii oraz na Nowej Gwinei w Oceanii. Zgromadzenia polskie najliczniej reprezentowane na misjach: werbiści (102 misjonarzy), salezjanie (73), chrystusowcy (44), misjonarze (37), jezuici (30). Ze zgromadzeń żeńskich: franciszkanki misjonarki Maryi (35), służebniczki NMP ze Starej Wsi (19), siostry św. Rodziny z Bordeaux (14), siostry służebniczki Ducha Świętego (119). ■ Od trzech lat istnieje tzw. fundusz miejski, opierający się w dużej mierze na dopłatach do cen

napojów alkoholowych. W ciągu tego okresu zebrano 1362 mln złotych. Z pieniędzy tych korzystają tylko małe miasta, których liczba mieszkańców nie przekracza 20 tys. ■ CEKOP sprzedał dotychczas 38 cukrowni do 13 krajów na trzech kontynentach. Każdy z tych zakładów wytwarza rocznie 1 mln ton cukru. ■ Rodzina zatrudniająca pomoc domową, płaciła za nią dotychczas 25 zł miesięcznie składki ubezpieczeniowej (chyba, że nie miała dzieci, wtedy 100 zł). Obecnie ZUS podwyższył składki na 10 proc. zarobku pomocy, co praktycznie wynosi — 70-100 zł. ■ Pół miliarda znaczków pocztowych wydała w tym roku Wytwórnia Papierów Wartościowych. Przewiduje się, że wpływy ze sprzedaży polskich znaczków za granicą, osiągną po raz pierwszy milion dolarów.

9-8-70
Nieudana próba porwania polskiego samolotu pasażerskiego „Antonow 24", kursującego na trasie Szczecin-Katowice. Porywacz, 27-letni Waldemar Frej, został aresztowany w Berlinie wschodnim i przekazany władzom PRL. ■ Inżynier czeski wraz z dwoma synami porwali samolot pasażerski „Iliuszyn 14" kursujący między Pragą a Bratysławą zmuszając pilota do lądowania w Wiedniu. Sprawcy zostali zatrzymani przez władze austriackie. ■ Nieporozumienie. Od lat na Białorusi obchodzona jest uroczyście rocznica spalenia przez Niemców w czasie ostatniej wojny wsi *CH*atyn w Mińszczyźnie (rajon Łachojsk). 22 marca 1943 r. cała wieś — 154 ludzi — została spalona przez Niemców jako represja przeciw partyzantom. Niemcy w analogiczny sposób spalili 116 wsi na całej Białorusi. Polscy publicyści bardzo często mylą *Ch*atyn z *K*atyniem, wyciągając mylne wnioski, że idzie tu o posunięcie sowieckie, mające na celu dezinformację w sprawie Katynia. Nastąpiło to m.in. ostatnio z okazji wizyty sekretarza ONZ w Związku Sowieckim, który w *Ch*atyniu składał wieniec.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-6-70
W Bibliotece Uniw. State University College w Buffalo otwarto salę im. dr. Franciszka Fronczaka. Prof. W. Drzewieniecki informuje, że z nowym rokiem akadem. p. E. Korzeniowska będzie w College wykładała literaturę i język polski. ■ W New Yorku zmarł władyka Wasyl, głowa Białoruskiej Autokefalnej prawosławnej cerkwi w USA. Jego następcą został wybrany władyka Andrzej z Cleveland. ■ Zmarła w Minneapolis wybitna ukraińska poetka, eseistka i rzeźbiarka, Oksana Łaturynśka. ■ Prof. Dr Ołeksander Ohłoblin, wybitny historyk, wybrany został na Prezydenta Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk na kadencję 1970-1974. ■ Związek Polaków w Melbourne obchodził swoje XX-lecie. Oprócz szeregu uroczystości wydano specjalny numer *Głosu Polskiego* (dawny organ Stowarzyszenia) w nakładzie 12.000 egz. Związek liczy 184 członków.

21-6-70
Zmarł w Detroit jeden z wybitniejszych członków Polonii detroickiej, redaktor Tadeusz Czechowski. Przyczyną zgonu był dokonany na niego napad rabunkowy przez trzech młodych Murzynów. T. Czechowski był współpracownikiem red. *Dziennika Polskiego* i działaczem harcerskim.

1-7-70
W ciągu czerwca odsłonięto we Francji trzy pomniki dla uczczenia trzydziestolecia polskiego czynu zbrojnego: w Montmorency, Dambrichard i Lagarde.

Pomniki były ufundowane przez Polaków we Francji przy życzliwym poparciu społeczeństwa francuskiego.

4-7-70
Na skutek wypadku samochodowego zmarł w Australii gen. Juliusz Kleeberg, Prezes Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii. ■ Odbyło się doroczne walne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu.

7-7-70
Zmarł w Londynie płk Kazimierz Ryziński. ■ „Ivonne" W. Gombrowicza ma być wystawiona przez Teatr Miejski w Göteborgu. ■ W Jerozolimie powstał Oddział Związku Żydów Polskich.

10-7-70
Zmarł w Los Angeles Wiktor Podoski, artysta grafik. Przeżył lat 69.

18-7-70
Zmarł w Dallas, USA, w wieku lat 64, Zbigniew Korfanty, adwokat. W czasie ostatniej wojny zaznaczył się głównie jako aktywny członek Komisji badającej powody klęski wrześniowej.

20-7-70
Na dorocznym festiwalu muzycznym kanadyjskiej rozgłośni radiowej CBC (koncerty publiczne transmitowane przez wszystkie stacje) odegrano po raz pierwszy kompozycje Witolda Lutosławskiego: „Paroles tissées" i Krzysztofa Pendereckiego: „Sonatę na wiolonczelę z orkiestrą". Ponadto odbyła się prapremiera Waltera Buczyńskiego, kanadyjskiego kompozytora i pianisty pochodzenia polskiego: „Miniatury na orkiestrę".

25-7-70
Walne Zebranie Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich we Francji wybrało prezesem honorowym ks. A. Poniatowskiego. Prezesem został Edward Brzeski a sekretarzem gen. Krystyna Starnawska. ■ W Buffalo odbyła się konferencja przedstawicieli dwóch miejscowych uniwersytetów w sprawie utworzenia wspólnego Instytutu Spraw Wschodnio-Europejskich i Rosyjskich. Powołano komitet dla ostatecznego przepracowania planu realizacji. Jego przewodniczącym został mianowany prof. W. Drzewieniecki, inicjator projektu.

26-7-70
Zmarł w Londynie, w wieku 76 lat, mjr Witold Kączkowski, jeden z niewielu ocalałych więźni z Kozielska.

28-7-70
Zmarł w Londynie Juliusz Scharf, b. dyrektor Drukarni Narodowej w Krakowie, w czasie wojny księgarz i wydawca na Śr. Wschodzie, dyrektor księgarni Cracovia Book w Londynie. Przeżył 78 lat.

1-8-70
W ciągu sierpnia Radzie Bezpieczeństwa ONZ będzie przewodniczył przedstawiciel PRL. Ostatni raz Polak przewodniczył Radzie Bezp. 10 lat temu. ■ W polskim Londynie mówi się, że p. Juliusz Sakowski wystąpił z inicjatywą połączenia tzw. „Zamku" ze Zjednoczeniem Narodowym. W myśl tych projektów p. August Zaleski ma po pewnym czasie ustąpić na rzecz amb. E. Raczyńskiego. Po raz pierwszy od rozłamu emigracji *Dziennik Polski*, w którym czynnikiem decydującym jest p. Sakowski — zamieszcza przychylne

artykuły o działalności rządu p. Zaleskiego. ■ Rząd Niemieckiej Republiki Federalnej przedłużył na rok umowę z Radio Free Europe i Liberty.

5-8-70
Po śmierci gen. Kleeberga w Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii wybuchł kryzys personalny. Kierownictwo Rady objął p. J. Dunin-Karwicki zamiast 1-go wiceprezesa Rady p. Andrzeja Sochackiego. Zarzuca się p. Karwickiemu to, że pominął względy statutowe, automatycznie powierzające kierownictwo p. Sochackiemu, w ostatnich wyborach p. Sochacki otrzymał 85 głosów na 96 delegatów a p. Karwicki jedynie 53 głosy. Poszczególne organizacje polskie w Australii domagają się zwołania najszybciej Zjazdu delegatów Rady, by wybrać prezesa i prezydium i uniknąć grożącego rozbicia.

6-8-70
Zmarł w Londynie, przeżywszy lat 71, Zdzisław Miłoszewski, publicysta, b. urzędnik Min. Spraw Zagr.

7-8-70
Egipt i Izrael zgodziły się na zawieszenie działań wojennych.

13-8-70
W stanie Texas, niedaleko Brownsville, polski przemysłowiec Jan Caupta przystąpił do budowy pierwszego polskiego miasta tropikalnego w USA, p.n. Janów. Powstało już kilkadziesiąt domów i buduje się tam zespół domów dla polskich emerytów. ■ W roku szkolnym 1970-71 nastąpi likwidacja wielu szkół katolickich w różnych stanach. Powód pozbawienie ich prawa do subwencji rządowych. M.in. likwidacji ma ulec ok. 20 % szkół katolickich, a wśród nich szkoły, w których uczono polskiego. ■ Rektor polskiego Kolegium Związkowego w Cambridge Spring, dr H. Parciński, opublikował wyniki badań w sprawie akredytacji kursów języka polskiego w różnych stanach amerykańskich. Okazało się, że tylko w 6 stanach, a mianowicie w Kalifornii, Idaho, Kansas, Illinois, Michigan i New York nauczyciele polskiego mogą być oficjalnie uznani i akredytowani w publicznych szkołach średnich. Rektor Parciński zarzuca władzom, że nie dysponują materiałem sprawozdawczym do spraw nauki języka polskiego w szkołach i wystąpił z żądaniem, aby zagadnienie to zostało włączone do oficjalnej sprawozdawczości w szkolnictwie amerykańskim.

14-8-70
Z Watykanu donoszą, że papież Paweł VI załatwił odmownie prośbę Synodu ukraińskiego episkopatu (który odbył się w Rzymie w październiku 1969), podniesienia kościoła greko-katolickiego do godności patriarchatu. Papież ponadto zakwestionował legalność samego Synodu. Tę nieoczekiwaną decyzję tłumaczy się obawą zadrażnień z Moskwą. ■ Adw. Kobeliński wiceprezes Kongresu Polonii Amer. w Chicago, wystąpił z inicjatywą stworzenia w Chicago bloku wyborczego wespół z Murzynami, co mogłoby dać zdecydowaną większość w wyborach na mayora Chicago. Podobny blok miał miejsce niedawno — z pełnym sukcesem — w Detroit. W Chicago pertraktacje były już daleko posunięte — sprawa miała być przedyskutowana na Konwencji Kongresu. W ostatniej chwili wniosek wycofano na skutek presji gub. stanu Illinois, Ogilvie, i obecnego mayora miasta Daleya — przywódców *lobby* irlandzkiego.

Listy do Redakcji

Tel-Aviv, 12 lipca 1970.

Do Redakcji *Kultury*,

Numer 1-szy *Kultury* z roku 1970 zawiera artykuł p. Zygmunta Haupta pt.: *El Pelele*, w którym między innymi autor przenosi słynną rzeźbę Gian Lorenzo Berniniego wraz z kościołem Santa Maria della Vittoria do... Wenecji. Tymczasem grupa św. Teresy znajduje się w kościele pod wezwaniem S. Maria della Vittoria ale w Rzymie, gdzie oglądałem ją kilkakrotnie. Pisze o rzeźbie obszernie K. Chłędowski w dziele pt.: „Rzym — ludzie baroku", który podaje życiorys Berniniego i omawia jego działalność artystyczną.

Z wyrazami poważania,

Prof. dr Henryk DORSKI

◆

Londyn, 1 lipca 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 6(273) *Kultury* ukazał się niedługi artykuł Michała K. Pawlikowskiego pt. „O ostatniej powieści J. Mackiewicza". Znajdują się w nim dwa fragmenty. Pierwszy:

> „Czytałem również głosy 'krytyczne' lub raczej oszczercze, o których powiem kilka słów na końcu".

Drugi, zamykający artykuł:

> „Wśród głosów 'krytykujących' ostatnią powieść Józefa Mackiewicza zwrócił moją uwagę artykuł pt. 'Los kolaboranta' w reżymowej *Kulturze* z 25 stycznia br. Artykuł podpisał Roman Korab-Żebryk nazywający siebie „b. dowódcą brygady wileńskiej AK". Artykuł jest całostronicowy i wypełniony oszczerstwami i nieprawdopodobnymi łgarstwami. Pan Żebryk cytuje również rozmaitych autorów m.in. Józefa Garlińskiego, autora recenzji książki Mackiewicza w londyńskim *Tygodniu polskim* z 4 października ub. roku.
>
> Białoruskie przysłowie powiada: 'Swoj swojeho poznau' ".

Moja wypowiedź („Głośno, ale prawdziwie") nie była recenzją z książki J. Mackiewicza. Napisałem artykuł historyczny, oparty na dokumentach i źródłach, zawierający szereg ważnych cytatów, w którym ustosunkowałem się do poglądów historycznych i politycznych zawartych w recenzji Tadeusza Norwida *(Wiadomości*, nr 36, wrzesień 1969 r.) z powieści „Nie trzeba głośno mówić".

Nie interesuje mnie ton wypowiedzi Pawlikowskiego, bo merytorycznie nie ma on znaczenia, muszę natomiast ustosunkować się do jego opinii, że mój artykuł jest „wypełniony oszczerstwami i nieprawdopodobnymi łgar-

stwami". Cytowane przeze mnie powyżej zdania nie pozostawiają co do tego żadnej wątpliwości.

Będę wdzięczny Michałowi Pawlikowskiemu za rzeczową i dokumentarną wypowiedź, w której udowodni, że mój artykuł zawiera łgarstwa i oszczerstwa. Dopóki tego nie uczyni, zmuszony będę uważać, że to on właśnie, choć próbuje zarzucać to innym, sam ucieka się do „oszczerstw i nieprawdopodobnych łgarstw".

Łączę wyrazy poważania,

Józef GARLIŃSKI

◆

Paryż, 23 czerwca 1970.

Drogi Redaktorze,

W numerze 6(273) *Kultury*, w dziale „Wydarzenia miesiąca", str. 150, czytamy: „W sztokholmie zmarła wybitna poetka szwedzka, Nelly Sachs, laureatka nagrody Nobla w 1965".

„Wybitna poetka szwedzka" — czy w takim razie Witold Gombrowicz nie był wybitnym pisarzem argentyńskim?

Z wyrazami niezmiennej sympatii,

Stanisław GOMBIŃSKI

◆

Detroit, lipiec 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem pod wrażeniem przeczytanej książki, Roman Abraham — „Wspomnienia wojenne znad Warty i Bzury" (wydawnictwo MON, Warszawa 1969), która zaskoczyła mnie niemile i zdopingowała do przesłania tych paru uwag.

Byłem jednym z uczestników kampanii wrześniowej w szeregach Wlkp. BK. Pewny jestem, że sztab Wlkp. BK prowadził dziennik działań.

Nie mogę dociec wartości i celu, jakiemu ta książka ma służyć. Nie jest to wiarogodne sprawozdanie historyczne, oddające działalność Wlkp. BK w wojnie 1939. Roi się od nieścisłości, fantazji, ignorancji. Dominuje kontrowersja i subiektywizm. Jeśli jest to tylko powieść — brak elementów literackich. Jako epopeja żołnierska, „Wspomnienia" nie są pozbawione (niestety brak stylu i humoru) heroizmów Zagłoby.

Łączę wyrazy szacunku,

Józef D. HARASZEWSKI

◆

Toronto, 10 lipca 1970.

Szanowny i Drogi Redaktorze,

Prof. J. Rudnyćkyj srodze się na mnie pogniewał, a wydaje mi się iż pretensje jego są niesłuszne lub że wynikły na tle nieporozumienia.

Na ostatnim zjeździe Zrzeszenia Kanadyjskich Slawistów na York University mówiono o likwidacji czasopisma wydawanego przez prof. Domaradzkiego, które z reguły ukazywało się bardzo nieregularnie, ni to w odstępach półrocznych, ni kwartalnych. Niezależnie od tego nastąpiła wcale poważna

zmiana Redakcji. Z wypowiedzi na tej konferencji wynikało bezspornie, iż dotacje władz państwowych (uniwersyteckich) oraz inne pozwolą na utrzymanie jednego czasopisma, którego redakcja mieści się w Carleton University w Ottawie. Zapewniano iż wysiłki czynione przez Redakcję pozwolą na rozbudowę pisma, które wobec tego stanie się oficjalnym i jedynym organem Zrzeszenia Slawistów. Ale nie to jest podstawą żalu prof. Rudnyćkiego: nie wspomniałem o publikowaniu *Slavica Canadiana*, co tym bardziej go — i słusznie — oburzyło, iż przecież ogłosiłem tam kilkakrotnie recenzje różnych prac.

Być może nie mam racji, ale *Slavica Canadiana* nie uważam za czasopismo, ale publikację serii *Slavistica*. O tych publikacjach, ukazujących się pod redakcją prof. J. Rudnyćkiego miałem sposobność niejednokrotnie pisać i to z najwyższym uznaniem. Omawiałem niemal każdy tomik *Slavica Canadiana*, będący najbardziej wyczerpującą bibliografią pozycji slawistycznych w Kanadzie.

Pod koniec kwietnia br. prof. Rudnyćkyj omawiał ze mną niektóre zagadnienia związane z tą publikacją i chyba mógł stwierdzić, iż nie tylko je dostrzegam, ale że zastanawialiśmy się na utrzymaniem ich. Jeśli prof. Rudnyćkyj uważa *Slavica Canadiana* za czasopismo — to naturalnie popełniłem gaffę i nie pozostałoby mi nic innego jak przeprosić Czytelników i prof. Rydnyćkiego.

Z wyrazami poważania,

Benedykt HEYDENKORN

◆

Paryż, 8 sierpnia 1970.

Drogi Panie Redaktorze,

Pragnę wyrazić publicznie żal za to że na podstawie ogłoszonej przez *Kulturę* fotokopii maszynopisu Dziennika zarzuciłem Gombrowiczowi kłamstwo i że siląc się na zrozumienie uczynku tak do niego nie podobnego uciekłem się najniepotrzebniej w świecie do teorii „fałszu z grzeczności".

Wiemy dziś dzięki sprostowaniu, które ogłosił Pan w ostatnim numerze *Kultury*, że Gombrowicz nie skłamał (pisząc inkryminowany list do Iwaszkiewicza nie wiedział że *Kultura* nie otrzymała na czas jego korekty).

Łączę najlepsze pozdrowienia,

E. JELEŃSKI

◆

Baltimore, 9 lipca 1970.

Drogi Panie Redaktorze!

Chciałabym dodać kilka słów do artykułu p. Józefa Gidyńskiego „Florian Znaniecki — Klasykiem Socjologii".

Czytając książkę Roberta Bierstedta o humanistycznej socjologii Znanieckiego zwróciłam uwagę na fragment przytoczony przez p. Gidyńskiego.

„... Nawet obecnie, wiele lat po tym jak chłopi polscy, stanowiący przedmiot analizy, zostali zasymilowani...".

Asymilacja grupy etnicznej następuje wtedy, gdy nie można tej grupy już odróżnić od przyjmującego *(receiving)* ją społeczeństwa. Florian Znaniecki w swojej przedmowie do książki Jerzego Zubrzyckiego, „Polish Immigrants in Britain", tak pisze:

„... Skupiska polskie (w USA) złożone przeważnie z ludzi którzy importo-

wali tu swoją tradycyjną kulturę ludową zostały zasymilowane w sensie zaakceptowania zawodowej i literackiej kultury amerykańskiej. Mimo to, w ciągu ostatnich 30-tu lat, i mimo wzmożonego udziału tych ludzi w kulturze Amerykańskiej ich zainteresowanie Polską i polską kulturą powyżej poziomu kultury ludowej, rozwinęło się i rozszerzyło gwałtownie".

Znaniecki już przeszło 15 lat temu zwrócił uwagę na wzmagający się w Ameryce *ethnic revival*. Dzieło Znanieckiego, wydaje mi się, jest nie tylko kluczem do zrozumienia jednostki, ale w dalszym ciągu kluczem do zrozumienia psychologii polskiego chłopa, który nie rozpłynął się w amerykańskim *melting pot*.

Łączę uprzejme pozdrowienia,

Danuta MOSTWIN

◆

New Haven, Conn., lipiec 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

W swoim artykule „Twardowski — *Nowyj Mir*" J. Szenfeld pisze: „Wychodzący w dalekiej Buriackiej Autonomicznej Republice miesięcznik „Bajkał" ośmielił się opublikować genialną satyryczną powieść braci Strugackich „Ślimak na zboczu", za co wyleciał ze stanowiska redaktora naczelnego bohaterski Afrikan Balburów".

To wyjaśnienie o przyczynach usunięcia A. Balburowa ze stanowiska głównego redaktora jest prawdziwe tylko częściowo. Wielka szkoda, że pan Szenfeld nie podaje wszystkich przyczyn zdjęcia Balburowa.

Otóż w numerze 1 i 2 czasopisma *Bajkał* w 1968 r. obok powieści braci Strugackich były opublikowane fragmenty powieści A. Bielinkowa „Kapitulacja i koniec sowieckiego inteligenta J. Olesza". Te fragmenty ukazały się pod wspólnym tytułem „Poeta i grubas". I chociaż te fragmenty poprzedziła wspaniała recenzja laureata nagrody leninowskiej Kornieja Czukowskiego, publikacja fragmentów przez A. Balburowa na łamach *Bajkału* równała się samobójstwu. Bo właśnie w tym samym czasie manuskrypt powieści był „zarżnięty" przez cenzurę; tylko dlatego, jak mówił sam autor, A. Bielinkow: „Nie mogłem zrobić w nim (rękopisie) tych poprawek, które by przekształciły go w inną książkę: 'Zwycięstwo i odrodzenie się sowieckiego faszysty M. Szołochowa' ".

W lecie tego samego 1968 r. A. Bielinkow nielegalnie opuścił Związek Sowiecki.

Ten fakt stał się przysłowiową kropką nad „i" i zadecydował o losie Afrikana Balburowa.

Oprócz tego, pan Szenfeld słusznie twierdzi, że w Polsce dotychczas nie ukazała się żadna z powieści A. Sołżenicyna. Nie wiem, czy Gomułka rzeczywiście zabronił wydania „Jednego dnia Iwana Denisowicza", jak to stwierdza autor artykułu, lecz ci wszyscy, którzy regularnie czytali warszawską *Politykę*, mogli na jej łamach przeczytać większą część tej powieści.

Z poważaniem,

E. SZTEIN

◆

Orlando, Fla, 12 sierpnia 1970.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W październiku 1969 roku zamówiłam w Polish American Book Co., w Chicago „Siostry" Barbary Toporskiej. Książki tej nie tylko do tej pory nie

dostałam ale wyżej wymieniona księgarnia ignorując ogólnie przyjęte obyczaje nawet nie pofatygowała się poinformować mnie dlaczego nie chce mi tej książki dostarczyć, mimo moich wielokrotnych zapytań.

W międzyczasie bez kłopotów otrzymałam inne tytuły, innych wydawnictw, z tejże księgarni. Wydaje się więc, iż nie chodzi tu wyłącznie o niedołężność kierownictwa księgarni.

Kilka tygodni temu prosiłam znajomych o poszukanie „Sióstr" w Nowym Jorku. Niestety nie znaleźli jej na półkach księgarskich. Przy okazji wspomnieli, że sami nie mogli dostać innego tytułu wydanego przez Instytut Literacki, „Nie trzeba głośno mówić" — Mackiewicza.

Nikt nie spodziewa się od naszych po amatorsku i byle jak prowadzonych księgarni emigracyjnych sprawności i uprzejmości równej standartom ogólnie przyjętym w zachodnim świecie handlowym. Tym niemniej można jednak wymagać od naszych księgarzy dostarczania klientom niewyczerpanych nowości wydawniczych, bo w końcu po to chyba są.

Mam nadzieję że może znajdzie się jakiś ruchliwy księgarz, który mi nareszcie „Siostry" zaoferuje, gdyż nie chce mi się wierzyć, aby wszystkie księgarnie emigracyjne „patriotycznie" solidaryzowały z reżymową nagonką na wydawnictwa Instytutu Literackiego.

Łączę wyrazy głębokiego poważania,

Barbara SZUBSKA

P.S. Niestety nie mogę udokumentować całej mej korespondencji z chicagowską księgarnią, gdyż częściowo pisałam na kartkach pocztowych bez odbitek.

◆

Londyn, 5 sierpnia 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem czyta się uwagi J. Łobodowskiego o książce Kuncewiczowej „Don Kichote i niańki".

Sprawa wymowy obcojęzycznych nazw i imion własnych jest słabym punktem wielu cywilizowanych narodów i przedmiotem niemal permanentnej dyskusji językoznawców. Istnieją w zasadzie dwa rozwiązania — 1) utrzymanie oryginalnej pisowni i 2) przyjęcie pisowni fonetycznej. Bywa i trzecia możliwość, gdy istnieje tradycyjna pisownia (przeważnie pochodzenia łacińskiego) typu np. Kartezjusz. Najprostsze rozwiązanie znajdują narody o odmiennym alfabecie, Grecy, Rosjanie, Arabowie, używając przeważnie transkrypcji fonetycznej nazw i imion. Narody posługujące się alfabetem łacińskim w ogromnej większości zachowują pisownię oryginalną w odniesieniu do imion własnych. A wymowa? Wymowa zależy od tradycji, stopnia kultury, znajomości języków obcych i trochę — szacunku dla wielkich imion.

Język hiszpański jest w polskiej wymowie szczególnie upośledzony (choć podobno jest drugim, wielkim językiem białej rasy, jeśli chodzi o zasięg terytorialny) bo jak słusznie podkreślił p. Łobodowski, docierał do Polski do niedawna poprzez kurtynę francuszczyzny skutecznie wypaczającej wymowę wszystkiego co nie francuskie. Mało która nacja odnosi się z taką megalomanią do wszelkich nazw, imion i terminów obcych jak właśnie Francuzi. Myślę, że ignorancja spikerów radia i telewizji jest tego najlepszą ilustracją. Przykłady: Bach wymawiany jako „Bak", Mozart jako „Mozar", Marlena Dietrich — „Ditrisz", Gunnar Jarring oczywiście „Żaring", Olaf Palme — „Palm", by nie wspomnieć Heath'a i U'Thant'a. Nic więc dziwnego że od paru stuleci mamy Don Żuana, Don Kiszota i mnóstwo innych zniekształceń. Argument o braku dźwięku „h" w języku francuskim jest bez znaczenia, bo każdy Francuz np. uczący się angielskiego świetnie dźwięk ten

wymawia. Oddać tu wypada honor polskim spikerom, którzy podobnie jak ich brytyjscy, niemieccy, skandynawscy i inni koledzy, starają się nie kaleczyć imion nie tylko sławnych ludzi, pozostawiając ten przywilej Francuzom.

Myślę, że przyklasnąć trzeba inicjatywie oczyszczania naleciałości francuskiej wymowy i kontynuować próby przywrócenia wymowy oryginalnej — lecz chyba i pisowni? Czy Don Kijote nie wygląda lepiej niż „Don Kichote" (którego sporo czytelników spróbuje wymówić „Kiszote"). Pisownię fonetyczną zapewne trzeba pozostawić (lub często — wprowadzić) imionom arabskim, chińskim czy rosyjskim. Dlaczego jednakże wymyślono w kraju Husajn lub Fajsal — trudno się domyśleć, zapewne ten sam umysł, którego dziełem jest „India"? Czekać wypada na „Chinę", „Włochę", i inne dziwologi. Brrr.

Z szacunkiem,

M. D. ZAKRZEWSKI

◆

WYJAŚNIENIE

W swojej „dyskusji z czytelnikami" *(Kultura,* nr 5/272) Juliusz Mieroszewski jak gdyby mimochodem zahacza również o problem dyskryminacji nie-Żydów w Izraelu. Sprawa nie warta byłaby polemiki, gdyby wśród wielu ludzi nie panowało rzeczywiście przekonanie, że Żydzi — którzy sami byli ofiarami dyskryminacji i prześladowań w wielu krajach — w swoim własnym kraju dyskryminują innych. Opinia ta oparta jest na podstawowym nieporozumieniu wokół uprawnień nie-Żydów w Izraelu.

Także Mieroszewski uważa, że Izrael dyskryminuje nie-Żydów i podkreśla, że: *„trudno jest walczyć z dyskryminacją w innych krajach, jeśli stosuje się dyskryminację w stosunku do obcych we własnym kraju"*. Mieroszewski wyraża przekonanie, że: *„gdyby Izrael przyjął zasadę, że Izraelczykiem może być każdy bez względu na religię i pochodzenie narodowe — przyczyniłoby się to znacznie do wygaśnięcia antysemityzmu w świecie"*.

Istota nieporozumienia tkwi w mieszaniu dwóch pojęć — Żyda i Izraelczyka. Postulat Mieroszewskiego jest bowiem w praktyce realizowany od pierwszej chwili istnienia Izraela. Zgodnie z ustawą o obywatelstwie, wszyscy mieszkańcy dawnej mandatowej Palestyny, którzy w dniu proklamowania Izraela znajdowali się na jego terytorium, stali się automatycznie jego obywatelami. Zasada, w myśl której Izraelczykiem może być każdy, niezależnie od pochodzenia narodowego i religii — jest obowiązująca w Izraelu od ponad 23 lat. Izraelczykami są Arabowie, Druzowie i Czerkiesi (którzy nawet służą w armii), Beduini, nawet Polacy. Istnieje w Izraelu nieduża co prawda kolonia polska — są to dawni żołnierze armii Andersa, którzy z różnych przyczyn wybrali Izrael jako swoje miejsce zamieszkania. Są obywatelami izraelskimi i korzystają identycznie z tych samych praw, co wszyscy inni obywatele.

Istota nieporozumienia polega na tym, że Żydzi, którzy przyjeżdżają do Izraela, otrzymują — na mocy tzw. „ustawy o powrocie" — automatycznie obywatelstwo izraelskie. Natomiast nie-Żydzi nie otrzymują tego obywatelstwa *automatycznie* ale muszą się ubiegać o nie na drodze normalnej, jak we wszystkich innych krajach, tj. po upływie kilku lat pobytu w kraju. Przy tym nie obowiązuje — jak w wielu innych krajach, nawet bardzo demokratycznych — żaden cenzus czy ograniczenia.

Na nieznajomości stanu faktycznego oparte jest także twierdzenie, że z przywileju automatycznego obywatelstwa i wszystkich innych związanych z tym uprawnień nie korzystają osoby pochodzenia nie-żydowskiego, nawet

jeśli są spokrewnione z „rodziną izraelską". To ostatnie określenie jest bardzo mgliste, bo nie wiadomo, czy dotyczy np. także rodziny druzyjskiej, arabskiej czy tylko żydowskiej. Faktem jest, że uprawnienia nowego imigranta, łącznie z obywatelstwem, ogromnymi ulgami celnymi (faktycznie — zwolnienie od cła na cały przywieziony majątek), zwolnieniem od podatku przez pierwsze trzy lata pobytu w Izraelu itd. — dotyczą zarówno nowego imigranta Żyda jak i członków jego rodziny, nawet jeśli nie są Żydami. Nie dotyczą natomiast nie-Żydów, przybywających do Izraela, bądź w celu osiedlenia się na stałe, czy też na pobyt czasowy. Czy to jest dyskryminacja?

Sedno sprawy polega na tym, czy uprzywilejowanie *wyłącznie* Żydów jest usprawiedliwione. Izrael nie jest klasycznym krajem imigracji, jak np. Australia czy Kanada. Izrael jest krajem imigracji żydowskiej. Słusznie Mieroszewski podkreśla, że: *„Izrael jest historycznym i mistycznym Domem Izraela i w konsekwencji każdy Żyd, gdziekolwiek by się znajdował, ma naturalne prawo powrotu do Izraela"*. Czy to prawo należy przyznać wszystkim bez wyjątku ludziom na świecie, którzy mają ochotę osiąść w Izraelu? Na jakiej podstawie? Czy taki postulat można w ogóle wysunąć pod adresem jakiegokolwiek państwa na świecie?

Uprzywilejowanie Żydów, przyjeżdżających do Izraela, pociąga za sobą szereg skomplikowanych problemów, podobnie zresztą jak samo określenie „kto jest Żydem?" Wokół tej sprawy toczyły się w Izraelu i w ogóle wśród Żydów, gwałtowne dyskusje i między innymi doszło do kilkakrotnych kryzysów rządowych w Izraelu wokół tej sprawy.

Czy Żydzi są narodem czy też wyznaniem?

Historycznie rzecz biorąc, Żydzi są zarówno narodem, jak i grupą wyznaniową. Ale w odróżnieniu od niemal wszystkich narodów (z wyjątkiem Druzów i innych nielicznych narodów), Żydzi są narodem jednowyznaniowym. I w odróżnieniu od wszystkich innych wyznań, żydostwo, czyli judaizm, jest wyznaniem jednonarodowym. Oprócz historycznego epizodu, jakim było państwo Chazarów na przełomie IV i V wieku, żaden inny naród, oprócz Żydów, nie wyznawał judaizmu.

Z tych dwóch zasad — jednonarodowości wyznania i jednowyznaniowości narodu — wynika cały szereg cech, charakteryzujących żydostwo. Na przestrzeni wieków odejście Żyda od religii żydowskiej i przyjęcie innego wyznania — chrześcijańskiego czy muzułmańskiego — oznaczało jednocześnie odejście od narodu żydowskiego. Nie ma i nie było Żydów-chrześcijan czy Żydów-muzułmanów. Nie tylko dlatego, że żydowska gmina wyznaniowa takich odszczepieńców religijnych wykluczała, ale w pierwszym rzędzie dlatego, że oni sami odchodzili od religii, bo chcieli odejść od narodu. Przejście na inne wyznanie oznaczało zawsze wynarodowienie i asymilację z otaczającym narodem, wśród którego dana gmina żydowska żyła.

Zasadniczej zmianie ulegać zaczęła w ostatnim stuleciu druga zasada — że Żydem jest tylko człowiek wyznający religię żydowską. Na przełomie XIX i XX wieku, pod wpływem rozwijającego się ruchu laicyzacji społeczeństwa żydowskiego — zapoczątkowanego przez zainicjowany przez Mendelsohna ruch „haskali" — pojawiają się po raz pierwszy Żydzi-ateiści. Początkowo są eliminowani z gminy żydowskiej — i tym samym z narodu żydowskiego — na równi z przechrztami, ale w miarę, gdy laicyzacja postępuje naprzód, stwarzają nową rzeczywistość strukturalną gminy żydowskiej. Zaczęto tolerować Żydów świeckich. Ale nadal nie tolerowano Żydów, którzy przyjęli inne wyznanie. Istniała bowiem obawa, że mogą zostać „zalani" przez napływ obcych elementów do żydostwa. Jednakże warunki materialne i polityczne Żydów nigdy nie sprzyjały takiemu napływowi.

Po co wszystko to przypominamy obecnie? Zrozumienie tego jest bowiem niezbędne dla właściwego odczytania wydarzeń nam jak najbardziej współczesnych.

W roku 1948 nastąpiło odrodzenie żydowskiej państwowości w Izraelu. Państwo Izrael nie powstało po to, by zapewnić możliwość bytu państwowego kilkudziesięciu tysiącom Żydów, którzy mieszkali w Palestynie w owym czasie. ONZ przyjmując uchwałę o utworzeniu żydowskiego państwa, wyraźnie stwierdziła, że ma to być dom dla Żydów. Zresztą nawet Gromyko podkreślał konieczność utworzenia państwa, w którym będą mogli żyć jak wszystkie inne narody w swoich państwach Żydzi, którzy tyle wycierpieli podczas drugiej wojny światowej w Europie.

Tak więc Izrael jako niepodległe państwo powstał w samym swym założeniu jako państwo, stojące otworem dla *wszystkich* Żydów na świecie, którzy zechcą doń przyjechać. I pierwszą ustawą, uchwaloną przez parlament nowego państwa, była wspomniana „ustawa o powrocie", stanowiąca m.in. o nadaniu automatycznego obywatelstwa każdemu *powracającemu* do swej ojczyzny Żydowi.

W związku ze specjalnymi przywilejami, z jakich korzystają Żydzi wracający do Izraela, powstał problem określenia, kto jest Żydem. Odpowiedź na to pytanie nie jest bynajmniej tak prosta, jak to się niektórym może wydawać. Jakie kryteria należy bowiem stosować — rasowe? Religijne? Rasowych kryteriów nikt stosować nie chce i nie może zresztą, ponieważ dwa tysiące lat życia wśród innych narodów dawno już zamazały wszelkie specyficzne cechy rasowe, o ile takie kiedykolwiek w ogóle istniały. Pozostaje więc stosowanie kryteriów religijnych, które obowiązywały przez dwa tysiące lat życia w diasporze. Ale temu sprzeciwiają się postępowe i świeckie koła, które uważają, że byłaby to próba odwrócenia procesu historycznego. Gdyby zresztą trzymać się ściśle tych kryteriów, okaże się, że ogromny — chyba sięgający powyżej 50 % — odłam Żydów wcale nie jest Żydami, ponieważ jest niewierzący.

Trzeba więc znaleźć nowe kryteria, odpowiadające współczesnym wymogom współczesnego społeczeństwa. Ale nie jest to wcale tak łatwe, ponieważ wymaga zerwania z kryteriami historycznymi.

Procesów historycznych nie można przyspieszyć przytupywaniem nogą.

Aleksander KLUGMAN

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆

Kanadyjski korespondent „Kultury": Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3e Trimestre 1970.

BIBLIOTEKA NARODOWA

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : **Roman Krolikowski,** 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : **Tadeusz Dabrowski,** « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « **Vistula** « **(Australia) Pty Ltd.,** Daking House, Rawson Place, Sydney	$ US 1,25	$ US 7,00	$ US 12,0
AUSTRIA : **Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I,** Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762		160 szyl.	310 szyl.
BELGIA : **Janina Korab Brzozowska-Csaky,** 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23.	60,00 F. b.	350,00 F b.	600.00 F.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	6,00 F	32,00 F	60,00
HOLANDIA : **Inz. J. Minkiewicz,** Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h	41,00 Fl.
KANADA : **M. Jaxa-Debicka,** Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; **Krystyna Krakowska,** 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., **Tel.** : 482-4673; **B. Krasuski,** 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. **Donald Malinowski,** 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; **Józef Polkowski,** 110 Cobourgh Str., apt. 301. Ottawa 2, Tel. : 233-7212; « **ZWIAZKOWIEC** », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 $ Can	8,00 $ Can	13,00 $ C
NIEMCY : **St. Mikiciuk,** 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : **Br. Lubinski,** Klommenstengt 8, Moss.	6,50 F	35,00 F	66,00
SZWAJCARIA : **Maria Wasung,** 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F.
SZWECJA : **Norbert Zaba,** Kaliskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor	58,00 Kor
U.S.A. : **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; **Ada Dziewanowska,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; **Adam J. Galinski,** 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; **T. Konopacki,** 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; **Christian M. Kretowicz,** 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, **Polish Amer, Book Co,** 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; **The Polish Book Importing Co.,** 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik,** 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; **Jan Zych,** 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12.00 dol
W. BRYTANIA : **P.C.A. Publications, Ltd.,** 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.		£ 2.07.00	£ 4.10.0
WLOCHY : **Witold Zahorski,** Roma, via Gallia 60 Int. 27 Tél. : 75-67-241	750 L	3.800 L.	7.500

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 187 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRĄG PIERWSZY

Głośna powieść rosyjskiego pisarza. Tłumaczył z rosyjskiego *Michał Kaniowski. Całość w dwóch tomach.*

T. I. str. 400.
T. II. str. 304. Cena I/II F. 60 (dol. 12; £.6)

◆

TOM 188 — SŁAWOMIR MROŻEK

DWA LISTY

I INNE OPOWIADANIA

Pierwsze wydanie książkowe opowiadań znanego pisarza

Str. 192. Cena egz. F. 18,50 (dol. 4; 32 sh.)

◆

TOM 189 — WITOLD GOMBROWICZ

PORNOGRAFIA

Tom III-ci DZIEŁ ZEBRANYCH (pierwsze wydanie „Pornografii" ukazało się w r. 1960 jako tom 54-ty Biblioteki „Kultury")

Str. 168. Cena egz. F. 15; (dol. 3,75; 31 sh.)

◆

TOM 190 — SERIA „DOKUMENTY"

ANDREJ AMALRIK

CZY ZWIĄZEK SOWIECKI PRZETRWA DO R. 1984 ?

wraz z trzema listami Amalrika i listem Piotra Jakira. Przedmowa *Adama Kruczka*

Str. 89. Cena egz. F. 10 (dol. 2,25; 18/6)

◆

TOM 191 — WITOLD GOMBROWICZ

KOSMOS

Tom IV-ty DZIEŁ ZEBRANYCH (pierwsze wydanie „Kosmosu" ukazało się w r. 1965 jako tom 111 Biblioteki „Kultury")

Str. 160. Cena egz. F. 15; (dol. 3,75; 31 sh.)

Cena 6,00 F

Richard, 24, rue Stephenson, Paris-18e